Allan K. Echols

# Wzgórza renegatów

## (The Renegade Hills)

Pierwsze wydanie: 1952

© Public Domain
Allan K. Echols (1896-1953). Tekst znajduje się w domenie publicznej na podstawie reguły „Life+70”

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

## Rozdział 1

## Spotkanie nocą

**W**ielki dyliżans Concord trząsł się przez cztery pełne godziny bez odpoczynku, na swoich paskach z bydlęcej skóry. Jego żółte koła zapadały się w błotnistych wybojach, obijały o kamienie na wpół utwardzonego żwirem szlaku, deski podłogi uderzały o podpory, a pasażerowie podskakiwali na siedzeniach z końskiego włosia niczym popcorn w rondlu.

Jim Webster zjadł posiłek złożony z fasoli i solonej wieprzowiny, podczas dwudziestominutowego postoju wczesnym rankiem, a teraz, gdy zaprzęg wjechał do Woodbine, ciało miał całe obolałe, jakby ujeździł pod siodło z tuzin mustangów. Wiosenne deszcze pojawiały się i znikały z przerwami, przez ostatnie dwa dni, a teraz po zmroku, gdy woźnica zatrzymał dyliżans przed hotelem, zaczęło naprawdę mocno padać.

Webster w ciasnym wnętrzu dyliżansu założył na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, podczas gdy pozostałe pół tuzina pasażerów wysiadło i popędziło w stronę hotelu, z którego zadaszonego ganku strugi wody hałaśliwie spływały przez rynnę. Woźnica już otwierał bagażnik z tyłu, a Webster podciągnął kołnierz swojego płaszcza przeciwdeszczowego, przebrnął przez błoto, wyjął siodło i worek z rzeczami i rzucił je na ganek hotelu. Dobrze było znów stanąć pewnie na twardej ziemi.

Stetson z wysoką główką sprawiał, że wyglądał na jeszcze wyższego niż swoje sześć stóp i dwa cale. Choć Websterowi brakowało niewiele do trzydziestki, miał mocno zarysowaną dojrzałą szczękę, a słońce wyryło w kącikach jego poważnych szarych oczu, kurze łapki. W sumie, przy jego długiej twarzy i kwadratowej szczęce, oraz wysokim wzroście, szczupła budowa ciała nie sugerowała, że miało ono taką wagę, jaką faktycznie osiągało, z szerokimi, płaskimi ramionami i długimi, muskularnymi nogami.

Jim z łatwością podniósł worek z rzeczami i siodło, po czym ruszył w stronę drzwi hotelu, kiedy zauważył stojącego obok nich mężczyznę, palącego papierosa i rzucającego mu oceniające spojrzenia. Webster, wyćwiczony w szybkiej obserwacji, zauważył, że czekający przy drzwiach był młodszy od niego, że pomimo spalonej wiatrem cery, miał jasną skórę i parę niebieskich oczu, które zdawały się szybko odczytywać wszystko, co wygląd mógłby mu powiedzieć o Websterze.

Młodszy mężczyzna, gdy Webster zbliżył się do niego, otworzył mu drzwi i obdarzył go krótkim, bezosobowym uśmiechem, po czym wszedł za nim do hotelowego lobby. Webster wpisał do hotelowej księgi wynajęcie pokoju i zaczął wchodzić po sosnowych schodach; w pewnej chwili coś

sprawiło, że spojrzał w dół na lobby, zanim przeszedł na drugie piętro. Młody mężczyzna stał przy ladzie, leniwie przeglądając księgę hotelową.

Webster rzucił worek i siodło na podłogę swojego obskurnego pokoju, przewiesił płaszcz przeciwdeszczowy przez oparcie hikorowego krzesła i zdjął marynarkę i koszulę, wieszając pas z bronią na poręczy łóżka. Umył się i właśnie się golił, gdy usłyszał za plecami lekkie skrzypnięcie. Zobaczył, że klamka drzwi obraca się tak cicho, jak tylko pozwalał na to jej zardzewiały mechanizm. Zrobił dwa szybki kroki przez pokój i sięgnął po broń, kiedy drzwi otworzyły się, a młody człowiek z holu wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Z podrażnionymi nerwami, po długiej, niewygodnej podróży, Webster spytał krótko:

— Czy próbowałeś kiedyś może zapukać?

Młodzieniec popatrzył z uśmiechem na lufę rewolweru, z którego celował do niego Webster.

— Na ogół robię to — uśmiechnął się. — Ale tym razem nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Webster, prawda?

— Czy księga hotelowa nie odpowiedziała ci na to pytanie?

— Ciężko się podróżuje dyliżansem w taką pogodę — zauważył filozoficznie młodzieniec. — To działa na nerwy.

— Czy po to się trudziłeś po schodach na górę, aby mi to powiedzieć, przyjacielu?

— Nie. Nazywam się Hammond. Dick Hammond. Szef kowbojów na ranczu Double H Swansona. A teraz, jeśli nie nazywasz się Webster, pójdę sobie stąd… — powiedział.

— No dobrze — odparł Webster. — Nazywam się Webster, a ty Hammond i czego chcesz?

— Idź, skończ się golić. Potem zabiorę cię w odwiedziny. Swanson czeka na ciebie.

Webster włożył z powrotem broń do kabury, wciąż wiszącej na pasku na słupku łóżka.

— Myślałem o tym, żeby się wyspać, wynająć jakiegoś konia i pojechać do niego z samego rana. Czy jemu się spieszy?

— Niespecjalnie — odparł Hammond, siadając na brzegu łóżka i szukając przyborów do skręcania papierosów. — Po prostu chciał, żebym cię uprzedził. Nie chce, żebyś pojawiał się na ranczu. Jest tutaj, w mieście. Zabiorę cię do niego, jak tylko będziesz gotowy.

Webster stwierdził:

— W porządku. W mojej torbie z rzeczami, na wierzchu jest butelka. Nalej nam po drinku, a ja skończę się golić.

Odwrócił się do szafy i wziął do ręki maszynkę do golenia. Hammond nalał drinki do dwóch szklanek, podczas gdy maszynka zeskrobywała zarost z pokrytej pianą twarzy Webstera.

Webster przyglądał mu się w lustrze na szafie i doszedł do wniosku, że młody Hammond jest tym, za kogo się podaje. Swobodny luz młodzieńca wydawał się być częścią jego osoby, zrodzony był z naturalnej pewności siebie i czegoś w rodzaju spokojnego rozbawienia biegiem spraw, w ogólności. Webster poczuł lekkie zniecierpliwienie tym, że zachował się tak

podejrzliwie w stosunku do tego człowieka, ale przypomniał sobie o swojej misji oraz o tym, że nie brakowało tutaj ludzi, którzy z zadowoleniem przyjęliby szansę zabicia go, zanim jeszcze nawet zobaczył Swansona.

Skończył się golić, założył czystą koszulę i kurtkę, po czym zapiął pas i przywiązał końcówkę kabury do nogi za pomocą sznurka z surowej skóry. Następnie uniósł jedną ze szklaneczek.

Hammond wstał, uniósł swoją szklaneczkę i powiedział:

— Na szczęście! — a gdy wychylili swoje drinki, dodał. — I będziesz go potrzebował, to prawda.

— Niech będzie — powiedział Webster. — Dokąd teraz pójdziemy?

— Poczekaj, aż zejdę na dół i przejdę na drugą stronę ulicy, zanim ty też zejdziesz za mną. Poczekaj aż zobaczysz, jak przechodzę pod latarnią w drzwiach stajni. Idź za mną, ale nie podchodź zbyt blisko.

— Jest aż tak źle?

— Może być. Swanson nie chce, aby widziano cię z kimkolwiek związanym z Double H.

Webster strząsnął wodę ze swojego żółtego śliskiego płaszcza przeciwdeszczowego i założył go na siebie. Hammond otworzył drzwi, popatrzył w prawo i w lewo wzdłuż słabo oświetlonego korytarza i wyślizgnął się do niego, zamykając za sobą drzwi.

Po jego wyjściu Webster wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył ostrze. Rozpiął płaszcz przeciwdeszczowy i rozciął śliską tkaninę od wewnątrz, w otworze kieszeni. Wyjął rewolwer z kabury i włożył go za pas. Następnie zapiął płaszcz, włożył prawą rękę do kieszeni płaszcza i przez rozdarcie chwycił rękojeść broni.

Mniej więcej pasowało. Mógł iść ulicą z rękoma w kieszeniach płaszcza i prawą dłonią na rękojeści rewolweru.

Po kilku minutach zszedł na dół i zatrzymał się na zadaszonej werandzie hotelu, pozwalając by jego wzrok omiatał błotnistą ulicę. Deszcz zmienił się w jednostajną mżawkę, a woda spływała z dachu ganku strumieniami, które pluskały w rynnie. Droga zmieniła się w błotniste grzęzawisko, z wypełnionymi po brzegi wodą koleinami po kołach dyliżansu. Kilka domów dalej, kryty wóz ugrzązł aż po piasty, a zaprzęg został wyprzężony i odprowadzony.

Większość budynków była ciemna i prawie niewidoczna w stałym deszczu, ale gdzieniegdzie przez okna świeciły ponuro światła. Przed dwoma oświetlonymi budynkami, nad drzwiami migotały lampy naftowe, a dalej w głębi ulicy kolejna latarnia rzucała żółty blask nad szerokimi, czarnymi wrotami stajni. To właśnie to wejście obserwował Webster, dopóki nie zobaczył człowieka, który zatrzymał się pod latarnią, zapalił papierosa i ruszył dalej.

Webster rozpoznał czarny gumowy płaszcz przeciwdeszczowy Hammonda i podążył za nim chodnikiem z desek, czasem przechodząc pod markizami, czasem wystawiony na deszcz. Jedynymi innymi ludźmi, jakich zobaczył na ulicy, byli dwaj kowboje wyskakujący przez wahadłowe drzwi jednego z oświetlonych miejsc, biegnący na odległość kilku domów i chowający się do drugiego. Oczywiście, w obu wypadkach to były saloony.

Szanse, że ktoś miałby mnie obserwować są niewielkie, pomyślał Webster, lecz zmysł ostrożności, który rozwinął w swej pracy, sprawiał, iż mimo wszystko zachowywał pełną ostrożność i szedł ulicą, nie koncentrując się wyłącznie na idącym przed nim człowieku. Mijając wejścia do saloonów, zauważył, że jak na taką noc, kiedy większość ludzi wolałaby chyba zostać w domu, miejsca te były niezwykle zatłoczone. Jak na miasto, które nie zdradzało zbyt wielu oznak ożywienia, było tutaj sporo ludzi ciągle jeszcze na nogach.

Przechodząc koło wozowni, obok stajni, zobaczył, że wzdłuż ogrodzenia ustawionych było w rzędzie kilkanaście krytych wozów, a na placu i pod dachem szopy znajduje się wiele koni i mułów. Na wolnych działkach obok wozowni, gdzie kończył się drewniany chodnik, znajdowało się jeszcze szereg innych obozowisk. Miasteczko, choć niewielkie, wydawało się zatłoczone, pomimo pustki panującej na zalanej deszczem ulicy.

Jim zszedł z chodnika i zaczął brnąć przez błoto, z niewielkimi sukcesami starając się omijać kałuże. Wtedy z ciemności wyłonił się Hammond i stanął obok niego.

Nagłe pojawienie się Hammonda sprawiło, że mocniej chwycił za rękojeść rewolweru, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo był spięty podczas tej trzydniowej podróży do północnej części Teksasu, która nie była mu specjalnie znana.

Głos Hammonda wciąż był uprzejmy.

— Przepraszam za te wszystkie tajemnice, Webster. To był pomysł Swansona, ale on ma rację. To piekielnie niebezpieczne miejsce; możesz rzucić człowiekowi złe spojrzenie i skończyć, płynąc przez tysiąc mil w dół Red River, z dziurą po kuli w plecach. Są ludzie, którzy mogliby cię zabić, zanim jeszcze spotkałbyś się ze Swansonem, gdyby tylko zobaczyli cię ze mną. Ta sprawa jest aż tak drażliwa.

— To musi być strasznie nerwowe miasto — warknął Webster, chyląc głowę przed deszczem. — Na czym polega ten problem?

— To już tylko parę kroków stąd — uchylił się od odpowiedzi Hammond. — Swanson ci powie.

Skręcili za róg i minęli rząd ciemnych domów, a po około stu metrach Hammond chwycił go za ramię i zatrzymał koło ogrodzonego podwórka. Otworzył furtkę i wszedł do środka, a Webster podążył za nim.

Dom był tak samo ciemny jak reszta budynków w miasteczku, lecz na pukanie Hammonda otworzyły się drzwi, wypuszczając trochę światła w noc, i weszli do środka. Kobieta, która otworzyła drzwi, przywitała ich miło, kiwając głową do Webstera i mówiąc do Hammonda:

— Dobry, Dick. Chłopcy, powieście swoje płaszcze tutaj, w holu. Eric czeka na was.

Następnie skierowała swe przyjaźnie zaciekawione spojrzenie na Webstera i uśmiechnęła się do niego, mierząc go wzrokiem. Była może po czterdziestce, ale dbała o siebie; była atrakcyjna i promieniowała ciepłą życzliwością.

— Pani Halsell, to jest Jim Webster — przedstawił go Hammond.

Webster uścisnął jej wyciągniętą dłoń, a ona oznajmiła:

— Czekaliśmy na ciebie. Dzisiaj na dworze mamy pogodę idealną dla kaczek, co?

Bardziej zdziwiony niż kiedykolwiek, Webster potwierdził swoją tożsamość i podążył za kobietą oraz Hammondem do większego, lepiej oświetlonego pokoju. Zdążył tylko pochwalić przytulny wygląd pomieszczenia, gdy jego wzrok padł na mężczyznę, który wstał z męskiego, tapicerowanego fotela i nabijał fajkę.

Szybkie spojrzenie Webstera omiotło wysokiego mężczyznę po pięćdziesiątce. Miał cienkie, piaskowe włosy zaczesane prosto do tyłu i starannie przystrzyżone; nosił wąsy przycięte krócej, niż powszechnie noszono w Teksasie, a jego twarz była szczupła i koścista, ze stalowoniebieskimi oczami pod krzaczastymi, żółtymi brwiami. Jego szczęka składała się z płaskich wystających powierzchni, zaś usta były wąskie, lecz nie zawzięte. Idąc w jego stronę, Webster dostrzegł w nim siłę i odpowiedzialność, a być może także pewien chłód.

Hammond przedstawił go:

— Panie Swanson, to jest Jim Webster.

Gdy uścisnęli sobie dłonie, usta Swansona rozciągnęły się w przyjemnym, ale powściągliwym uśmiechu.

— Miło cię poznać, Webster. Spodziewaliśmy się ciebie. Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci kłopotu, ściągając cię tutaj tak pośpiesznie. Poznałeś panią Halsell?

— Tak.

Kobieta podeszła i zajęła fotel obok fotela mężczyzny, a Webster przyglądał się im obojgu. Istniało co najmniej bliskie powiązanie między nimi, ale będzie musiał poczekać, aby dowiedzieć się, co ono oznacza. W międzyczasie, oceniając Swansona, zobaczył człowieka, którego uznał za w pełni zdolnego do zajmowania się własnymi sprawami, a to samo w sobie dało mu powód do zdziwienia, które zachował dla siebie, czekając na wyjaśnienia.

Swanson wskazał cybuchem fajki na fotel, usiadł i zaczął ponownie nabijać fajkę tytoniem, podczas gdy Webster zajął swoje miejsce. Następnie Swanson otworzył pudełko cygar, których przyjęcia Webster odmówił i zaczął skręcać sobie papierosa. Młody Hammond, ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do tego miejsca, znalazł fotel po drugiej stronie pokoju i przyciągnął go do kręgu.

Z gwałtownością, która zaskoczyła Webstera, Swanson powiedział:

— Wyglądasz na człowieka, który potrafi o siebie zadbać, trzeba to przyznać.

— Udało mi się jak odtąd przeżyć — przyznał Webster, ukrywając narastające w nim zniecierpliwienie. Nie był przyzwyczajony do prowadzenia interesów w pełnym ludzi salonie, ze śladami kobiecej ręki.

— To już samo w sobie jest czymś — przyznał Swanson. — Jeśli choćby połowa historii, które o tobie słyszałem, jest prawdziwa.

— Prawdopodobnie najbezpieczniej byłoby gdyby pan odrzucił większość z nich, jak sobie wyobrażam — stwierdził Jim.

Swanson powiedział:

— Powiem ci, dlaczego kazałem Dickowi spotkać się z tobą w taki sposób, zamiast zaczekać, aż przyjedziesz na ranczo. Pomyślałem, że kiedy usłyszysz, jak się sprawy mają, sam będziesz wolał takie rozwiązanie. Rozumiem, że jesteś samotnym wilkiem i lubisz rozgrywać swoje karty po swojemu. Z naszej strony byłoby absolutnie w porządku, gdybyś zdecydował się załatwić tę sprawę w taki właśnie sposób.

— A teraz, sytuacja wygląda następująco. Nasze ranczo Double H znajduje się nad rzeką, około pięciu mil od miasta. Mamy pięć tysięcy akrów dobrej trawy, na ogrodzonym terenie. W twojej części Teksasu pięć tysięcy akrów to niewiele ziemi, lecz tutaj, gdzie trawa jest gęsta, a ziemia jest ogrodzona i podzielona wewnętrznymi płotami na części, w celu kontrolowania wypasu, ranczo tej wielkości stanowi znaczną inwestycję. Oczywiście zajmujemy się także rozrodem, ale robimy też duże obroty, kupując i sprzedając. Po drugiej stronie rzeki leży Terytorium Indian i jest to obecnie najbardziej bezprawna kraina, jaką można znaleźć w Stanach Zjednoczonych. Przechodzą tędy szlakami stada, kierując się do Kansas, i właściciele przepędzający bydło są już w tej okolicy często mocno zniechęceni. Nie mają pieniędzy aby podążać dalej, albo brak im odwagi by spróbować przeprowadzić stado przez Terytorium Indian, więc sprzedają je nam. Niektórzy z nich próbują ruszyć dalej i tracą swe stada lub życie, a nierzadko i jedno i drugie. Paru udaje się przez Terytorium przedostać, lecz do pilnowania tam bydła potrzeba tak wielu uzbrojonych ludzi, że nie wszyscy chcą ryzykować.

— No cóż, niezależnie od powodów, kupujemy sporo bydła od właścicieli pędzących stada. Pasiemy je za ogrodzeniem i sami przeprowadzamy wzdłuż Terytorium lub przez nie. Część sprzedajemy Agencjom Indiańskim, część liniom kolejowym, które zaczynają budować tory na Terytorium, a część przeganiamy do stacji kolejowej i wysyłamy do Kansas City lub Chicago.

— To jest, tak właśnie robiliśmy kiedyś. Ale teraz zaczynamy mieć mniej więcej takiego samego pecha, jak niektórzy mniejsi organizatorzy przepędów. Tracimy jedno stado za drugim. Zatrudniamy więcej ludzi, a oni są zabijani. Planujemy nasze wyprawy w tajemnicy i rozpoczynamy przepędy w środku nocy, a ledwie stada przekroczą rzekę i dotrą do gór po jej drugiej stronie, gdy uderza na nie banda, a my pozostajemy z kilkoma martwymi ludźmi na głowie i tracimy nasze bydło. Sytuacja robi się taka, że boimy się już wysyłać kolejne krowy za rzekę. A więc, tak to wygląda: Nie możemy prowadzić interesów, skoro nie jesteśmy w stanie dostarczyć naszego towaru na rynek, a jeśli go tam wysyłamy, to on tam nie dociera. Na tym właśnie polega problem, który masz rozwiązać. Jest zupełnie prosty. Posłałem po ciebie, aby cię zatrudnić, żebyś się tym zajął.

Pani Halsell i Hammond nie mogli się powstrzymać od śmiechu, a nawet Webster i Swanson lekko się uśmiechnęli.

— Rzeczywiście, proste — zauważył sucho Webster. — Wystarczy powstrzymać te ataki. Dlaczego wasze prawo się tym nie zajęło? Przecież macie tu prawo, prawda?

— W pewnym sensie, tak. Jesteśmy jedynym miastem w tym hrabstwie; mamy może pięciuset stałych mieszkańców, którzy utrzymują

miasto, więc mamy takiego szeryfa, na jakiego miasto tej wielkości może sobie pozwolić. To miasto tranzytowe, przez które nieustannie przewija się strumień ludzi, kowboje prowadzący stada przyjeżdżają i odjeżdżają, podobnie przewoźnicy, osadnicy i różnego autoramentu hołota. Z jednej strony nasz szeryf ma pełne ręce roboty, próbując powstrzymać tych przejezdnych przed zabijaniem się nawzajem. Ale ważniejszy jest fakt, że nie jest nawet w stanie ścigać tych bydłokradów.

— Dlaczego nie?

— Red River znajduje się o dwie mile od miejsca, w którym w tej chwili siedzisz. Oddziela ona Teksas od Terytorium Indian. Jeśli nasz szeryf wyruszy na północ, to ledwie przejedzie te dwie mile do brzegu rzeki, znajdzie już poza swoim okręgiem. Od tego miejsca, to już nie jego sprawa. Terytorium Indian zarządza rząd federalny, a on jest w Waszyngtonie, ponad tysiąc mil stąd. Wysyła politycznych nominatów do Fort Smith w Arkansas, ponad dwieście mil stąd, a ci ludzie są to zazwyczaj jacyś podejrzani politykierzy z Waszyngtonu. Są to ludzie, którzy są tak skompromitowani, skłóceni, że powinni być zadowoleni z takiej pracy. Co oznacza to, że są oni bezwartościowi lub nieuczciwi, albo i jedno i drugie. Jedynym prawem na Terytorium Indian jest garstka zastępców szeryfów, którzy nie są lepsi od ludzi, z którymi mają walczyć. A Terytorium - ta jego część po drugiej stronie rzeki - to masa splątanych wzgórz, tak dzikich, jak żadne inne tereny, jakie kiedykolwiek widziałeś w życiu. Dodajmy do tego brak prawa i pełno kryjówek, których żaden uczciwy biały człowiek nigdy nawet nie widział na oczy. Co więc otrzymujemy? Odpowiedź jest taka, że ten zakątek Terytorium Indian, położony po drugiej stronie rzeki, jest rajem dla osobników wyjętych spod prawa. Każdy obwieś spod ciemnej gwiazdy na południowym zachodzie udaje się tam, gdy tylko gdzie indziej robi się dla niego zbyt gorąco. I łączą się razem, kiedy tylko zachodzi taka potrzeba. Założyłbym się, że przy niejednym przedsięwzięciu udałoby się zebrać wystarczającą liczbę złodziei, by ukraść stado dziesięciu tysięcy sztuk bydła strzeżone przez kompanię Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Trzeba ich wytępić, Webster, zanim znów będzie można bezpiecznie przeprowadzać bydło lub towary przez Terytorium Indian.

Webster zaśmiał się sucho.

— I to jest ta prosta praca, o którą mnie państwo proszą. No cóż, nie posiadam uprawnień Szeryfa Stanów Zjednoczonych i nie mam własnej armii.

— Dokładnie — odparł równym głosem Swanson. — To jeden z powodów, dla których mógłbyś osiągnąć w tej sprawie jakiś znaczący postęp. Widzisz, rząd federalny nie może lub nie chce ich powstrzymać, a żadna władza z Teksasu tam nie sięga. Praktycznie nie obowiązuje tam prawo. Każdy człowiek musi tam liczyć sam na siebie. A więc, gdybyś pracował tam dla mnie i zostałbyś zaatakowany podczas ochrony mojej własności, mógłbyś zrobić to, co wszyscy inni, broniąc siebie i własności swojego pracodawcy. W przypadku ludzi odpowiedzialnych za ten atak, mógłby być to koniec sprawy.

— Albo mój koniec.

— To jest ryzyko, którego podejmujesz się w swojej pracy, oczywiście.

— Oczywiście — zgodził się Webster. — Nie wiem, jak wiele mogę dla państwa zrobić, ale rozejrzę się i zacznę nad tym pracować. Może będę w stanie coś zrobić, a może nie. Powiem państwu o tym później, jak już wszystko ocenię.

— To uczciwe postawienie sprawy — przyznał Swanson. — Jak już mówiłem, słyszałem o twojej pracy. A teraz co do wynagrodzenia. Ile zazwyczaj dostajesz za taką pracę?

— Tego znów nie mogę tak od razu powiedzieć — odparł Webster. — Ile sztuk bydła państwo stracili, odkąd warunki tak się pogorszyły?

— Być może tysiąc sztuk; może tysiąc pięćset.

— A ile sztuk zazwyczaj wysyłacie państwo na przepęd?

— Od trzystu do sześciuset sztuk, zależnie od perspektyw sprzedaży i tego, co mamy przygotowane i uważamy za bezpieczne do wysłania.

— W takim razie — oznajmił Webster — będę musiał sformułować naszą umowę w taki sposób: jeśli uratuję wam stado bydła, które wiecie, że stracilibyście, gdyby nie ja, będziecie mi państwo winni trzydzieści procent wartości tego stada w gotówce. Jakiekolwiek przyszłe stada ocalone dzięki mojej pracy będą oczywiście stanowiły czysty zysk, więc możecie państwo rozdzielić tę opłatę na wszystkie przepędy, które bezpiecznie przejdą, dzięki temu co zrobiłem.

Te słowa sprawiły, że Swanson na chwilę zamilkł. Webster zauważył, że dokonuje on w głowie pewnych obliczeń.

— A co z wydatkami? — zapytał ostrożnie Swanson.

— Żadnych. Biorę to na siebie.

Webster przyjął z podziwem sposób, w jaki ten człowiek podjął decyzję. Swanson powiedział nagle:

— A więc, umowa stoi. Jeśli mi pomożesz, będzie warto, a jeśli nie, nic mnie to nie będzie kosztować. Zgadza się?

— Tak. Ale jeszcze jedno. Chcę mieć wolną rękę. Czy ktoś jeszcze wie o tym, że po mnie państwo posłali?

— Nikt poza naszą trójką.

— W takim razie chcę, żeby tak to pozostało. Będę kręcił się po mieście, zajmując się własnymi sprawami i nie chcę, aby ktokolwiek z państwa mnie rozpoznawał, jeśli wpadnie na mnie na ulicy. Cieszę się, że doszło do tego spotkania, panie Swanson. Czy będzie w porządku, jeśli skontaktuję się z panem przez panią Halsell?

— Oczywiście, Webster. Jest właścicielką połowy Double H. Ma tyle samo udziałów, co ja.

— I jeszcze jedno — odpowiedział Webster. — Możecie państwo usłyszeć o mnie rzeczy, które wam się nie spodobają. Być może będę musiał robić rzeczy, których państwo nie będziecie rozumieć. Chcę, żebyście byli przygotowani na prawie wszystko.

Swanson mruknął w zamyśleniu:

— Hum-m — po czym powiedział: — W porządku.

— I jeszcze jedno. Chciałbym, żebyście państwo powiadomili kilku ranczerów, którym możecie zaufać. Oto, co chciałbym, abyście powiedzieli, a czego nie powinniście mówić. Chcę, abyście dowiedzieli się

od nich, czy będą gotowi na zawołanie, jeśli będziecie ich potrzebować, do raczej gorącej roboty. Krótko mówiąc, lepiej starajcie się wybrać ludzi, którzy stracili coś przez tę bandę z Terytorium i nie darzą jej miłością. Chciałbym ludzi, którzy nie będą się bali wziąć pewnej nocy karabinów w dłonie, przekroczyć rzeki i zaatakować rabusiów w miejscach, w których nie mają żadnych praw do wymierzania sprawiedliwości. Myślicie państwo, że jesteście w stanie to zrobić?

— Mógłbym znaleźć z tuzin takich odpowiedzialnych ludzi — zapewnił go Swanson. — Może nawet i więcej.

— W takim razie proszę ich wyczuć i zasugerować im, że pewnej nocy może ich pan nagle wezwać. Ale proszę nie mówić im niczego więcej; niech pan nie mówi im o tym, że po mnie posłaliście, nie sugeruje, że ma pan człowieka pracującego nad tą sprawą; po prostu proszę nic nie mówić. Czy to pana satysfakcjonuje?

— Cokolwiek powiesz.

— W porządku. Wpadnę kiedyś do pani Halsell. Przekażę jej każdą wiadomość, jaką mam dla pana, a pan może zostawić u niej wszystko, co chce przekazać mnie. Przynajmniej na razie nie będę się zbliżał do Double H. Zgoda?

Swanson wstał i uścisnęli sobie dłonie. Swanson zapytał konwersacyjnym tonem:

— Co zamierzasz zrobić najpierw?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odpowiedział równie swobodnie Webster. — Ale ponieważ kłopoty wydają się leżeć po drugiej stronie rzeki, przypuszczam, że odpocznę przez noc, a potem pojadę tam i rozejrzę się.

Młody Hammond roześmiał się.

— Przez najbliższy tydzień nie przekroczysz rzeki, chyba że twój koń jest napędzany silnikiem na parę. Rzeka jest bardzo wysoka, to szeroki na milę potok szalejącej wody powodziowej. Sum nie byłby w stanie przeprawić się przez nią o własnych siłach.

— Więc to dlatego w mieście jest tak wiele wozów.

— Tak. Ale nawet gdyby dziś przestało padać, minąłby jeszcze tydzień, zanim wozy mogłyby przekroczyć granice Terytorium. A w międzyczasie miasto będzie musiało po prostu nadstawiać głowę i pozwalać, by ta cała hołota upijała się, biła i demolowała to miejsce.

— W takim razie — stwierdził Webster — spędzę ten czas na zapoznaniu się z nimi. Mówi pan, że żadne stado ani ładunek towarów nie może stąd wyruszyć, nawet potajemnie, bez narażenia się na zasadzkę. To sugeruje, że ci bandyci mają oczy i uszy w mieście.

— Jestem pewien, że masz rację — zgodził się Swanson. — Ale jak dowiedzieć się, gdzie jest przeciek; to jest problem!

— Tak — odpowiedział Webster. — To jest problem. Dobranoc, pani Halsell. Dobranoc, panowie.

## Rozdział 2

## Miasteczko na szlaku

Webster znajdował się w holu wejściowym, zakładając płaszcz przeciwdeszczowy, gdy frontowe drzwi nagle się otworzyły. Uniósł wzrok i zobaczył wchodzącą blondwłosą dziewczynę, której nieprzemakalna kurtka z ciemnej podgumowanej tkaniny, połyskiwała od kropel deszczu. Odezwała się pośpiesznie, gdy zamykała za sobą drzwi i najwyraźniej zanim zobaczyła Webstera.

— Tato, pośpiesz się, dobrze? Deszcz na chwilę przestał padać, a Emory ma na zewnątrz bryczkę. Chce nas zawieźć do domu i wrócić do miasta, zanim znowu zacznie padać.

Kiedy to mówiła, Webster przeciągnął płaszcz przez głowę, rozprostowując go do dołu, a ona zobaczyła, że osobą do której mówiła nie był jej ojciec, tylko jakiś nieznajomy. Zamilkła nagle, a jej policzki zaróżowiły się z zażenowania.

Webster zaklął pod nosem; dziewczyna była ładna, ale w tej chwili nie chciał nikogo widzieć. Zobaczył Swansona wychodzącego z salonu, a za nim Hammonda i czekał na nich, żeby wyjaśnili całą sytuację.

Swanson momentalnie okazał swoje zniecierpliwienie, co słychać było w tonie jego głosu.

— Szkoda, że nie poczekałaś jeszcze parę minut — powiedział.

Pani Halsell roześmiała się i zwróciła do dziewczyny.

— Równie dobrze możesz wejść i poznać naszego przyjaciela.

Wrócili do salonu, a Swanson stukał cybuchem fajki w swoje wielkie, białe zęby. Nagle zapytał:

— Czy Emory czeka w powozie?

— Tak, ale będzie się niecierpliwił, jeśli się nie pośpieszymy.

— Do diabła! — burknął Swanson i na chwilę pogrążył się w myślach. Dziewczyna rzuciła Websterowi krótkie spojrzenie i zwróciła wzrok na panią Halsell, dostrzegając, że coś jest nie w porządku.

Webster poświęcił chwilę, by przyjrzeć się jej dokładniej. Miała skandynawskie rysy twarzy, takie same jak jej ojciec, tylko łagodniejsze. Jej oczy były niebieskie, a żółte włosy upięte pod kapturem kurtki. Na ustach dziewczyny gościł pełen humoru, a jednocześnie szczery uśmiech, nadający jej twarzy wyraz, który Webster określił jako naturalny i zdrowy. Jak na tak piękną dziewczynę, była wyjątkowo mało afektowana.

— Posłuchaj, Dick — polecił Swanson z nagłą stanowczością. — Idź tam na dwór i dopilnuj, żeby Emory tu nie wszedł. Powiedz mu, że zaraz wychodzimy. Ale zatrzymaj go w tej bryczce.

— Dobrze — odparł Hammond, złapał swój płaszcz i wyszedł w noc.

Wtedy Swanson powiedział:

— Soniu, chcę, żebyś poznała Jima Webstera. Webster, moja córka.

Webster potwierdził te słowa z leciutkim rozbawieniem w kącikach ust, wywołanym wyrazem szczerego zdziwienia na twarzy dziewczyny, która podała mu rękę.

— Posłuchaj, Soniu — powiedział jej ojciec. — Miałem nadzieję, że nie zobaczysz na razie Webstera. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że w ogóle obaj się znamy. Ale teraz, gdy już go zobaczyłaś, nie odzywaj się do niego, jeśli go gdzieś spotkasz. Nie znasz tego człowieka, nigdy nie widziałaś go na oczy. Czy to jasne?

— Tak, tato — odpowiedziała z powagą. — Jasne jak słońce. Zamierzacie razem z nim obrabować bank czy coś podobnego?

— Nigdy nie wiadomo — oznajmił krótko jej ojciec. — I mogłabyś trafić razem z nami na szubienicę, jeśli nie zapamiętasz sobie tego, co powiedziałem.

— Ale dlaczego?

— Tego nie mogę ci powiedzieć — odparł jej ojciec. — Ani słowa więcej. Pracuje dla mnie, ale gdyby niektórzy ludzie o tym się dowiedzieli, mogłoby go to kosztować życie. Mógłby dostać kulkę w plecy, nawet gdyby pewni ludzie tylko zobaczyli, że patrzysz na niego na ulicy. Czy rozumiesz to dokładnie?

— Widzę, że jestem jak Meduza z wężowymi lokami — powiedziała. — Spojrzę tylko na człowieka i on pada trupem.

— Spojrzysz na tego człowieka, i on może umrzeć; a ja na razie nie chcę, żeby umierał.

— A więc, może później — uśmiechnęła się i uniosła nos, patrząc w stronę ojca. — No dobrze, postaram się trzymać moje śmiercionośne spojrzenie z dala od pana Webstera, dopóki nie będziesz gotowy na jego śmierć.

— Chciałbym, żebyś czasem choćby spróbowała zachować powagę — oznajmił jej ojciec ze zniecierpliwieniem. — Mogłoby ci się spodobać takie nowe doświadczenie. A teraz idź na zewnątrz i wsiądź do powozu. I nie wspominaj o tej sprawie nikomu, nawet Emory'emu.

— W porządku — odparła dziewczyna. — Ale to straszne brzemię dla moich młodych barków, być wtajemniczoną w taki mroczny sekret i nie móc powiedzieć ludziom, jakie to ekscytujące.

— Wynoś się stąd — burknął Swanson, zakładając płaszcz przeciwdeszczowy. Wziął panią Halsell w ramiona i pocałował ją. — Na razie — powiedział do Webstera. Po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi i zostawiając Webstera samego z panią Halsell.

Jim stał z panią Halsell, aż usłyszeli odjeżdżający powóz. Położył rękę na klamce. Potem zatrzymał się na chwilę.

— Ten Emory — powiedział do kobiety. — Kim on jest? Może powinienem wiedzieć.

Pani Halsell zastanowiła się chwilę nad jego pytaniem, po czym odparła:

— Emory Dustin. To odnoszący sukcesy młody człowiek zajmujący się handlem bydłem. I jest zakochany w Soni.

— A co ona do niego czuje?

— A co to… — kobieta urwała i rzuciła mu ostre spojrzenie, po czym zdecydowała się odpowiedzieć. — Jest bardzo zamożnym człowiekiem, bardzo ambitnym i bardzo przystojnym. Myślę, że mogłaby trafić gorzej.

— Dzięki. Nie miałem zamiaru być zbyt wścibskim. Prawdopodobnie będę chciał się czegoś dowiedzieć o wszystkich tutaj, zanim zakończę swoją pracę.

Uśmiechnęła się do niego i odprowadziła go do wyjścia.

— Pamiętaj — powiedziała. — Chcemy wiedzieć wszystko, czego się dowiesz. Po prostu przyjdź tu po zmroku, gdy będziesz miał nam coś do przekazania.

Webster obiecał, patrząc na nią badawczo. Musiała chyba czytać w jego myślach lub dostrzec ciekawość, którą, jak mu się wydawało, dobrze ukrywał.

— Myślę, że powinnam powiedzieć ci coś jeszcze — powiedziała pani Halsell. — Pan Swanson i ja jesteśmy wspólnikami na ranczu. Mój mąż zmarł nieco ponad dwa lata temu, a ja sprzedałam panu Swansonowi połowę udziałów w tym miejscu, ponieważ sama nie byłam w stanie nim zarządzać. On jest wdowcem, a ja wdową i jesteśmy partnerami. Tej jesieni zamierzamy się pobrać. To dlatego, że oboje z Sonią tak bardzo go potrzebujemy, namówiłam go, aby zatrudnił kogoś do wykonania pracy, o którą cię poprosiliśmy. Przez długi czas był ranczerem w Teksasie i nie boi się toczyć własnych bitew. Ma już sześć ran postrzałowych, a to dostatecznie wiele jak na mężczyznę w jego wieku. Nie chcę, by dalej wiódł tak ciężkie życie, jakie prowadził przez tak długi czas. Dlatego właśnie to ty masz podjąć to ryzyko.

— Zakładam, że sporo pani o nim myśli.

— On, Sonia i Dick są wszystkim, co mam na świecie i potrzebujemy go. To wspaniały człowiek.

— Jestem pewien, że tak; i do tego jest szczęściarzem. No cóż, skontaktuję się z panią.

Na chwilę przestało padać, a Webster brnął przez błoto i wyłożone deskami chodniki, aż wrócił do biznesowej części miasta. Kilku mężczyzn przemieszczało się od jednego oświetlonego salonu do drugiego. Szedł powoli, porządkując rzeczy, które usłyszał, układając je sobie w myślach i zastanawiając się nad swoim pierwszym ruchem.

Wiedział przy tym, że nie ma jeszcze żadnego specjalnego ruchu do wykonania. Przedtem, w domu pani Halsell, jego pierwszą myślą było aby zdobyć konia, wyruszyć na Terytorium i pokręcić się tam przez jakiś czas, rozglądając się po górach i osadach, sprawdzając, jakie informacje uda mu się zdobyć. Jednak wysoki stan wody na razie przekreślił ten pomysł.

A gdy myślał o faktach, które mu przekazano, stawało się dla niego coraz bardziej jasne, że wskazówki dotyczące kłopotów muszą znajdować się w tym miasteczku. Ktoś tutaj musiał być w kontakcie z bandytami,

którzy żerowali na stadach i ładunkach, w przeciwnym razie nie byłoby takich konsekwentnych strat. Byłoby wbrew logice, by każde stado, każdy ładunek, które wyruszały za rzekę i zagłębiały się w bezmiarze niskich gór na Terytorium, natykały się na bandę rabusiów i były przechwytywane, wyłącznie na skutek zwykłego pecha.

To było równie dobre miejsce by zacząć, jak każde inne. Nie miał pojęcia, od czego zacząć, ale, jak sądził, w jego przypadku zwykle tak było. Nie był systematycznym detektywem, ani nie egzekwował prawa korzystając z podręczników i kodeksów. Był po prostu człowiekiem, który musiał dowiedzieć się, kto i co robi, oraz spróbować sprawić, by zaprzestał swej działalności.

Po prostu - musiał dowiedzieć się kto i sprawić, by przestał. Zaśmiał się sam do siebie.

Jim podążał za trzema zgrzebnie ubranymi mężczyznami, aż skręcili w wahadłowe drzwi saloonu z dwiema dymiącymi lampami naftowymi nad wejściem, przepchnął się za nimi między skrzydłami drzwi i znalazł się w zatłoczonej sali barowej.

Poczuł lekki cień zaskoczenia, wchodząc z niemal bezludnej ulicy, w burzową noc, i nagle znajdując się w środku hałaśliwego tłumu ludzi, w jasno oświetlonym saloonie.

Przez chwilę stał nieruchomo, zwracając uwagę na długi sosnowy bar po lewej stronie, oblężony przez ludzi zdradzających ślady pracy przy zaprzęgach i na szlakach. Po prawej stronie, wzdłuż ścian, znajdował się szereg stolików dla pijących, a w szerokiej środkowej części sali stały duże okrągłe stoły, przy których toczyły się rozgrywki karciane. Bar Red River był bardzo ruchliwym miejscem.

Webster podszedł do gry w studa, obserwował ją przez chwilę, obrzucając wzrokiem grających twardzieli i ruszył dalej, przechodząc do gry w blackjacka. Szukał nie jakiegoś konkretnego człowieka, ale czegoś, co powiedziałoby mu, czego powinien szukać. Nie wiedział. Musiał po prostu rozglądać się, aż coś mu powie, że widzi to, czemu powinien się przyjrzeć.

W końcu dotarł na drugi koniec baru, blisko tylnej części budynku. Było tu ciemniej i nie tak tłoczno, więc podszedł do końca baru, gdzie stał tylko jeden człowiek, i kiwnął na barmana palcem, aby podał mu drinka.

Wtedy jakiś człowiek obok niego, powiedział:

— Pozbyłeś się już skurczy w nogach?

Rozejrzał się wokół siebie, zobaczył starego Jake'a, woźnicę dyliżansu, który odezwał się do niego, i kazał barmanowi napełnić również szklaneczkę swojego rozmówcy.

— To była ciężka droga — przyznał. — Moje bryczesy lepiej pasują do siodła niż do siedzenia dyliżansu.

— Widać to od razu, patrząc na ciebie — uśmiechnął się starzec. — Nie wspominając o tym, że miałeś ze sobą siodło.

— Masz bystre oko — zauważył Webster z zadowoleniem. — Musisz dużo widzieć.

Stary Jake był nieco ponad pięciostopowym workiem brązowej skóry i kości, był twardy jak kłoda drewna i nosił parę poplamionych tytoniem

wąsów, które byłyby dostatecznie duże dla mężczyzny dwa razy większego od niego. Miał jedno niebieskie oko, które zawsze łzawiło, a jego nos wydawał się nieustannie wymagać wytarcia w rękaw koszuli.

— Mam tylko jedno oko, ale widzę dużo — przyznał.

Był bardziej niż lekko pijany i wydawał się być w samotnym nastroju. Dziwne stworzenia, ci starzy woźnice dyliżansów. Wykonują ciężką, niebezpieczną pracę za niewielkie wynagrodzenie, są twardzi jak skała, nie okazują współczucia i nie pragną go, byli rasą, która zawsze fascynowała Webstera. Czuł do nich odrazę i jednocześnie współczuł im. Ale uwielbiał słuchać ich rozmów. Byli wręcz stworzeni do dyskutowania.

Rozmawiali przez kilka minut, a po kilku kolejnych drinkach whiskey postawionych przez Webstera, Jake pogrążył się w opowieściach o wielu rzeczach, które widział tym jednym dobrym okiem.

— Obserwowałeś kiedyś, jak zachowuje się człowiek, który ma umrzeć i o tym nie wie? — zapytał z nutą filozoficznej mądrości w swym trzeszczącym głosie.

— Ale — odparł zamyślonym tonem Webster, — wydaje mi się, że gdyby człowiek nie wiedział, że umrze, to zachowywałby się tak samo, jak gdyby nie miał umrzeć. Oczywiście, z drugiej strony, gdyby wiedział, że umrze, można by się spodziewać, że będzie się zachowywał nieco inaczej. W każdym razie wydaje się, że tak właśnie mogłoby to wyglądać.

Webster wiedział, jak rozmawiać z filozofami spod corralowych ogrodzeń.

— No cóż, i tak, i nie — stwierdził mędrkowato Jake. — Ale i tak jest to interesujące. Bierzesz człowieka, który ma umrzeć, ale o tym nie wie, i wiesz co? Po prostu robi sobie to i tamto, jakby nic w świecie nie miało się wydarzyć. Dziwne, prawda?

— Nie wiem — przyznał Webster. — Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział człowieka zachowującego się w ten sposób.

— No dobrze, pokażę ci — powiedział Jake. Stuknął szklanką o bar, a barman napełnił ją ponownie, podczas gdy Webster rzucił monetę, by za nią zapłacić. — Widzisz tych dwóch ludzi siedzących naprzeciwko przy ścianie? Przyjechali razem z tobą dyliżansem.

Webster rozpoznał mężczyznę w biznesowym garniturze w kolorze soli i pieprzu, i drugiego w czarnym garniturze w nieco lepszym stanie. Zamienił z nimi kilka słów w dyliżansie podczas długiego dnia podróży, ale nie wiedział o nich więcej, niż chciałby przyznać.

— Tak, pamiętam ich. A co z nimi?

— Tylko na nich popatrz — oznajmił Jake. — Ci ludzie umrą w ciągu najbliższych kilku dni i nic o tym nie wiedzą. A jednak zachowują się tak, jakby nie myśleli, że coś może im się stać. Zabawne, prawda, jak zachowują się ludzie?

Webster nie próbował zrozumieć filozofii Jake'a, ale zgodził się z nim, że to zabawne.

— Jak myślisz, jak długo będą jeszcze żyć? — spytał, a jego zainteresowanie wzrosło do tego stopnia, że Jake z przyjemnością pochwalił się swoją wiedzą.

— No cóż, tylko przez parę chwil po tym, jak rzeka opadnie.

— A więc zamierzasz ich zabić?

— Ja? — Oczy Jake'a rozszerzyły się. — Oczywiście, że nie. Myślisz, że bym ci to wszystko mówił, gdybym chciał to zrobić?

— Nie, myślę, że nie, jak już nad tym pomyśleć.

— Oczywiście, że nie. Nikt by tego nie zrobił.

— To skąd wiesz, że ktoś na nich położył kreskę? Znasz tych, którzy to zrobią?

— Oczywiście, że nie. Myślisz, że powiedziałbym ci to wszystko, gdybym wiedział?

— Nie, myślę, że nie, jak już nad tym pomyśleć.

— Oczywiście, że nie.

— A więc może się mylisz. Może będą żyć dalej i umrą ze starości, tak jak ty, ja i wszyscy inni.

— Nie bądź loco — rzucił pogardliwie Jake. — Słyszałeś kiedyś, żeby w tym kraju zastępca szeryfa Stanów Zjednoczonych umarł ze starości? Słyszałeś kiedyś, żeby ktoś, kto przewozi ładunek złota przez Terytorium, dożył sędziwego wieku?

— Nie, nie sądzę, żebym słyszał o kimś takim, jak już nad tym pomyśleć.

— Widzisz — oznajmił triumfalnie Jake. — To dowód na to, że widzę więcej jednym okiem niż wy, młodziaki, dwoma. Znam tego szeryfa od dawna - nie ma znaczenia, skąd go znam - i wiem, ile waży złoto, gdy wsadzam skrzynię do bagażnika mojego wozu. Nie wspominając już o tym, że wiem, iż nie ma innego rodzaju ludzi, którzy nosiliby takie ciuchy jak oni, i którzy zapuszczaliby się na wzgórza po drugiej stronie rzeki. Ci dwaj głupcy aż się proszą, aby ktoś wpakował im kulkę w miejsce, gdzie krzyżują się ich szelki, i zabrał złoto. Nigdy czegoś takiego nie widziałem! A patrząc na nich, nigdy byś nie pomyślał, że właśnie kopią swoje groby, prawda?

— Może się mylisz. Mogą mieć w tej skrzyni żelazne gwoździe albo podkowy.

— Zwariowałeś? — prychnął Jake. — Jak myślisz, po co eskortowało ich do dyliżansu dwóch strażników ze śrutówkami? Do pilnowania skrzyni z gwoździami czy podkowami? To ludzie z banku w Fort Worth. Wiem. Choctawom należy się jakaś wypłata, wszyscy o tym wiedzą. Dlatego to tak cholernie głupia zagrywka. Indianie nie zobaczą nawet centa z tych pieniędzy.

Zainteresowanie Webstera zrobiło się teraz ogromne, ale starał się tego nie okazywać.

— Może po prostu boisz się duchów — podżegał starego. — Może to nie są ludzie z rządu i może nie zapuszczają się na Terytorium.

— Nie? — rzucił pogardliwie Jake. — Przyjacielu, nie potrafisz dobrze odczytywać znaków, prawda? Po co by przyszli tutaj z Faulknerem, gdyby nie umawiali się z nim na podróż? Powiedz mi to.

— Może mógłbym, gdybym wiedział, kim jest Faulkner.

Jake wskazał brudnym palcem wzdłuż baru.

— Widzisz tego długiego dryblasa na końcu baru, pijącego truskawkowy napój gazowany? To właśnie J.B. Faulkner. Jest handlarzem i

człowiekiem od przewozów. Prowadzi karawany wozów na Terytorium, sprzedając własne towary lub przewożąc towary innych ludzi, wszystko, co jest warte choćby dolara. Jest tak zwanym odpowiedzialnym człowiekiem interesu; nie pali, nie pije, nie przeklina i nie żuje tytoniu. Niektórzy mogliby powiedzieć, że jest chlubą narodu.

— Więc myślisz, że ta para pojedzie na Terytorium karawaną Faulknera i nie dotrze do celu?

— Prawdopodobnie. Chyba że Faulkner zabierze ze sobą Ike'a Flinta. Ike mógłby zająć się nimi lub kimkolwiek innym, włączając prawdopodobnie nawet i kawalerię.

— Ike, to brzmi nieco jak imię człowieka. Kim on jest?

— Ike to ten wielki wół, który pije z osadnikami pośrodku baru. Można by go nazwać niedźwiedziem grizzly, który nauczył się chodzić na tylnych łapach i mówić. To trzech ludzi w jednym; jego pięści są wykonane z żeliwa, a kiedy idzie, ziemia się trzęsie. Kiedy mówi, pękają ci bębenki w uszach, a kiedy staniesz mu na drodze, lepiej wczołgaj się do dziury i zasyp ją za sobą. Inaczej będzie równie nieszkodliwy i łagodny jak lew górski z zatrzaśniętą w sidłach łapą.

— I on pracuje dla Faulknera?

— Jest szefem zespołu Faulknera.

Websterowi przyszedł wtedy do głowy pomysł, który rodził się w jego umyśle już od jakiegoś czasu. Rozwijał się on w nieświadomy sposób, dopóki ostatnia jego część nie znalazła się na swoim miejscu. Wtedy wiedział już, jaki będzie jego pierwszy krok. Bawił się tym pomysłem, ważył swoje szanse na zrobienie z nim czegokolwiek, podczas gdy spekulował na temat człowieka zwanego Ike Flint.

Opis Jake'a bardzo dobrze pasował do tego człowieka. Flint był zbudowany jak przerośnięta beczka piwa z nogami, gruby w klatce piersiowej, zaokrąglony pośrodku, tak że jego ramiona musiały zwisać nieco na zewnątrz, gdy opadały z obu stron korpusu, a nogi wydawały się zbyt krótkie dla niego. Miał małe oczka w twarzy niemalże zakrytej przez brudną rudą brodę, a jego głos brzmiał głęboko i arogancko, gdy rozmawiał z przyjezdnymi, którzy kupowali mu drinki i słuchali jego opowieści o niebezpieczeństwach Terytorium, niebezpieczeństwach, o których twierdził, że praktycznie nikt oprócz niego samego nigdy by nie przeżył.

— Jake — powiedział Webster z nagłym zdecydowaniem — nigdy nie lubiłem ludzi, który uważają się za najlepszych na świecie. A ty?

— Więc nie polubiłbyś Ike'a.

— Zgadza się, Jake. Nie lubię Ike'a. — Odpiął pas i podał go woźnicy. — Potrzymaj to dla mnie. Poproszę Ike'a, żeby się zamknął. Myślisz, że to zrobi?

— Chyba nie jesteś aż tak szalony? — wykrztusił Jake, mrugając oczyma i spoglądając na broń w swojej ręce. — Będziesz potrzebował tego rewolweru, i jeszcze przynajmniej jednego, jeśli chcesz mu powiedzieć, żeby się zamknął.

— To, przyjacielu, jest pytanie, co do którego wcale nie jestem taki pewien. Chcę się dowiedzieć, skąd bierze się ten hałas, który wydobywa się z jego ust.

— Dowiesz się, czym jesteś wypchany w środku — stwierdził żałośnie Jake. — Rozerwie cię na strzępy i rzuci psom na pożarcie. Kto wtedy będzie mi kupował drinki?

— Zastanawiam się.

Webster przeszedł wzdłuż baru za plecami ludzi, aż dotarł do miejsca, w którym Ike Flint opowiadał o swoich przygodach na Terytorium. I tam słuchał przez chwilę, mierząc rozmiary ciała Flinta, oceniając jego siłę, umysł i stan morale.

Flint rozprawiał.

— Więc ci dwaj kolesie w tej górskiej kryjówce wyciągnęli na mnie broń w tym samym czasie. Stałem mając ich po obu stronach, a ich rewolwery tkwiły wbite w moje żebra. Pytam, czy wy sobie żartujecie, myśląc, że możecie odebrać mi forsę? A ten wielkogłowy oznajmił, że albo wyjdziesz z nami na zewnątrz, albo wyciągniemy stąd twoje martwe ciało za wąsy. Jak wolisz. Mówię im więc, że szkoda, że wasi tatusiowie nie nauczyli was dobrych manier. Nie znoszę ludzi, którzy wygłaszają uwagi na temat moich wąsów. Odstawiłem kubek z whiskey i złapałem ich obu za włosy na głowie i w tej samej chwili cofnąłem się. Stuknąłem ich głowami z taką siłą, że trzasnęły jak kokosy. Obaj zasnęli mocno, zaraz kiedy ich głowy walnęły o siebie. Potem podniosłem ich obu za kołnierze koszul i wyrzuciłem za drzwi. Człowiek, który prowadził to miejsce, spojrzał na tych kolesi i mówi mi, że oni kompletnie odpłynęli. Wyglądają, jakby byli naćpani. I są, mówię mu. Wyciągnąłem ich obu na zewnątrz i wyrzuciłem na drogę.

Ludzie stojący obok Flinta roześmiali się, a jeden z nich powiedział z nutką podziwu w głosie.

— Musisz być bardzo silnym człowiekiem.

— Nie jestem tak słaby jak jednodniowy źrebak, jeśli mam to powiedzieć — przyznał Flint. — I nie przepadam za ludźmi rzucającymi złośliwe uwagi na temat moich wąsów.

Webster przecisnął się do baru obok Flinta.

— Wygląda na to, że podziwiasz te swoje wąsiska trochę bardziej niż reszta z nas.

Flint zobaczył go po raz pierwszy i był lekko zaskoczony tym stwierdzeniem. Jego małe brązowe oczka błysnęły, gdy próbował odczytać znaczenie uwagi Webstera. W końcu odpowiedział, wyczuwając możliwość bitki.

— Tak się składa, że mi pasują. A tobie nie?

W pomieszczeniu zapadła cisza, po czym Webster odpowiedział.

— No cóż, nie sądzę, żeby mi pasowały.

— A co jest nie tak z moimi wąsami?

Dłoń Webstera otoczyła szklankę piwa stojącą przed nim na barze.

— Są brudne od kłamstw, które przez nie przecedziłeś. Trzeba je trochę umyć.

Chlusnął szklanką piwa w twarz Flinta. Flint potrząsnął głową z zamkniętymi oczami. Przetarł twarz rękawem szarej flanelowej koszuli, a spienione piwo kapało mu z brody.

Podczas gdy wycierał piwo z oczu palcami obu rąk, tłum, spragniony walki, nagle umilkł, a oczy ludzi przeniosły się z Webstera na Flinta. Znając Flinta, czekali, aż jego byczy głos wybuchnie rykiem, a on sam rzuci się na Webstera. Cisza zrobiła się napięta jak struna.

Ale Flint się nie spieszył. Nie spieszył się z wycieraniem oczu. Szukał czerwonej chusteczki w kieszeni na biodrze i długo ocierał piwo z brody. W tych pełnych napięcia chwilach jego małe, brązowe oczka wpatrywały się w twarz Webstera. Potem rozejrzał się po pomieszczeniu badawczym spojrzeniem i wrócił do Webstera, a Webster mógł dostrzec zdziwienie w umyśle mężczyzny. Flint próbował zrozumieć znaczenie tego nieuzasadnionego ataku. Obrażanie go przez obcego człowieka było dla niego czymś nowym, a w jego bystrym umyśle pojawiło się podejrzenie, że coś się za tym kryje.

Jego umysł wydawał się niezdolny do przystosowania się do takiego działania i raz po raz mrugał do Webstera, jakby próbując odczytać sens wydarzeń, jakie się za tym kryły.

W końcu zapytał:

— Dlaczego to zrobiłeś?

Wyglądało to tak, jakby miał nadzieję, że Webster da mu jakąś wskazówkę, która rozwiąże jego zagadkę.

— Ponieważ nie spodobały mi się te przeklęte kłamstwa, które wylewają ci się z tej plamy brudnych rudych kudłów na twarzy. Czy to nie wystarczający powód?

— Nie. Jest jakiś inny powód. Musi być! Człowiek nie może tak po prostu podejść i szarpnąć mnie za brodę, bez żadnego powodu.

— Masz na myśli coś takiego?

Webster wyciągnął rękę, wplatając palce w rudą brodę mężczyzny. Kiedy szarpnął głową mężczyzny do przodu, otwarta dłoń jego wolnej ręki uderzyła jego przeciwnika w twarz z odgłosem przypominającym wystrzał z karabinu. Flint szarpnął się do tyłu, a Webster nagle puścił jego wąsy.

Ciężar ciała Flinta wytrącił go z równowagi i mężczyzna upadł na plecy w brudne trociny zaścielające podłogę.

Usiadł z rozłożonymi nogami, podpierając się jedną ręką, drugą wbijając w spluwaczkę używaną przez żujących tytoń przy barze.

Popatrzył w dół na mosiężną spluwaczkę, a potem w górę na Webstera i wydawało się, że minęła długa chwila, zanim zdał sobie sprawę, co się z nim stało.

Potem przyszło zrozumienie; jego twarz stała się czarna i to załatwiło sprawę.

Podniósł spluwaczkę i rzucił nią w głowę Webstera. Webster uchylił się, a naczynie uderzyło w duże lustro z tyłu baru, roztrzaskując szkło na tysiące brzęczących odłamków.

Potem z gardła Flinta wydobył się odgłos przypominający grzmot i olbrzym zerwał się na nogi i rzucił na Webstera.

## Rozdział 3

## Nokaut i jego konsekwencje

Webster czekał do ostatniej chwili, po czym odsunął się w bok, by uniknąć wyciągniętych ramion Flinta. Tłum szybko usunął się od baru, by zrobić im miejsce, i teraz, kiedy Webster wykonał swój unik, Flint wpadł z całej siły na front baru. Zanim zdążył się obrócić, pięść Webstera wbiła mu się w ucho, obracając go dookoła.

Flint oparł się plecami o bar, otrząsnął głowę i zobaczył Webstera w odległości czterech stóp od siebie. Opierając się stopą o bar, Flint rzucił się na swojego przeciwnika, wyciągając przed siebie ręce. Webster ponownie uchylił się, ale zrobił to dopiero w chwili gdy dłoń Flinta zahaczyła o rozpięty kołnierz jego koszuli.

Złapany, Webster poczuł, jakby coś wciągało do środka jakichś potężnych kleszczy, gdy oba ramiona Flinta zamknęły go w niedźwiedzim uścisku. Webster wymierzył cios w głowę mężczyzny, lecz Flint schował twarz przyciskając ją do klatki piersiowej Webstera, tak że pięści tego ostatniego trafiały tylko w twarde kości czaszki, kompletnie nieskutecznie. Ciosy raniły bardziej ręce Webstera, niż Flinta.

Webster wykręcał się w uścisku, ale głowa Flinta dopychała jego klatkę piersiową do tyłu, podczas gdy kleszcze ramion ściągały jego ciało do przodu. Flint odcinał mu powietrze, powoli wyginając go w tył.

Webster użył swoich nóg, szybko wykonując kilka kroków w tył, tak że Flint musiał podążać za nim lub zostałby ściągnięty do dołu. Cofając się, Webster wpadł na stół do pokera i przewrócił go. Gracze już wcześniej zerwali się z krzeseł, a teraz, gdy stół się przewrócił, lądując na jednej krawędzi, karty, żetony i szklaneczki z alkoholem zsunęły się na podłogę, tworząc jeden wielki stos.

Webster nagle zdjął swój ciężar ciała z nóg, tak że jego ciało opadło w dół, co spowodowało, że korpus Flinta znalazł się nad nim. Flint roztrzaskałby sobie głowę o krawędź stołu, gdyby nie rozluźnił uścisku i nie wyprostował się.

Ale Webster leżał na podłodze pod nim, więc Flint uniósł nogę, by zatopić but w twarzy Webstera. Ten ostatni przetoczył się i dostał ostrym czubkiem buta z boku głowy, czując, że przez chwilę cały świat zawirował wokół niego. Przeturlał się jednak dalej i w ten sposób uniknął drugiego kopnięcia, które wyprowadził Flint.

Teraz jednak miał wolne ręce i złapał Flinta za kostkę, w chwili gdy jego druga stopa oderwała się od podłogi. Poderwał ją gwałtownym szarpnięciem, i Flint wylądował na podłodze, plecami do dołu. Zanim

zerwał się na nogi, lecz Webster już wstał wymachując jednym z krzeseł pokerzystów.

Kiedy Flint ruszył na niego, Webster podniósł krzesło i walnął nim w głowę Flinta. Gruba czaszka mężczyzny przebiła się przez szczeble oparcia, tak że nogi połamanego krzesła zawisły na jego szyi niczym naszyjnik ze szczap drewna na rozpałkę. Twarz Flinta zalała się krwią, a jego oczy zamrugały, gdy zaklął i zerwał nogi krzesła ze swojej szyi.

Po wyswobodzeniu się, ciągle miał jedną z tych nóg w dłoni, a jego wzrok powędrował do niej i zatrzymał się na niej z zadowoleniem. Trzymał odłamaną nogę w ręku, poruszając tą bronią jak drwal próbujący wyczuć siekierę, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Następnie skierował wzrok na Webstera, i uśmiech na jego twarzy poszerzył się.

— Teraz — powiedział, — Zobaczymy, przyjacielu! Zobaczymy!

Tłum w saloonie utworzył wokół nich szeroki krąg, a niektórzy ludzie odwrócili się i usiedli na barze, żeby mieć lepszy widok. Żaden z obecnych nie powiedział ani słowa, wszyscy tylko dyszeli z podniecenia, które ogarnęło salę barową.

Webster z powrotem złapał krzesło do ręki, to znaczy wszystko, co z niego pozostało, z wyjątkiem jednej nogi z wystającą z niej rozpórką, którą Flint wymachiwał jak bitewną maczugą.

Flint użył hikorowej nogi krzesła jak siekiery, robiąc nią zamach nad głową i opuszczając ją w dół, jakby chciał rozłupać czaszkę Webstera. Webster złapał cios oparciem krzesła, po czym opuścił je niżej i pchnął nim w żebra Flinta, wywołując tym ciosem stęknięcie swojego przeciwnika.

Flint upadł na bar i przytrzymał się go jedną ręką, ciężko wciągając powietrze do płuc, ze zwieszoną głową i szeroko otwartymi ustami.

Webster czekał, aż jego przeciwnik złapie oddech. Wtedy Flint ponownie stanął plecami do baru, unosząc nogę krzesła. Ale zamiast ją podnieść nad głowę, rzucił nią gwałtownie, tak że trafiła w Webstera, wirując w powietrzu tak szybko, iż nie zdołał on jej uniknąć.

Noga krzesła uderzyła Webstera w bok głowy, co powaliło go na ziemię, ślepego i z głową wypełnioną gwiazdami. Kiedy otworzył oczy, zobaczył zbliżającego się do niego Flinta i usłyszał, jak ten wywarkuje słowa zwycięstwa.

Webster odtoczył się na czas, by powstrzymać Flinta przed kopnięciem go w żebra. Przetoczył się za przewrócony stół, by dać sobie czas na pozbieranie się na nogi. Kiedy stanął prosto, Flint obszedł już stół w pościgu za nim.

Webster stracił swoje krzesło podczas upadku i teraz obaj przeciwnicy znów pozbawieni byli broni. Flint nie tracił czasu na przygotowanie ataku. Opuścił głowę jak wściekły byk i zaszarżował, jego obie ręce poruszały się jak wiązary napędowe kół lokomotywy.

Jego ciosy były bolesne. Webster czuł je na ciele i w głowie. Były twarde i solidne, jak uderzenia młota kowalskiego, wysyłając sygnały bólu do kręgosłupa i podstawy czaszki. Sprawiały, że szumiało mu w głowie; odbierały mu zmysły. On również uderzał pięściami, ale zdawał sobie sprawę, że ciosy te nie wyrządzają większych szkód.

Flint był jednym z tych zwierzopodobnych ludzi, którzy składają się z samych kości i mięśni. Mięśnie tworzyły u niego powłokę chroniącą kości, a jego układ nerwowy sprawiał, że nie odczuwał bólu. Flint zniósł wszystkie uderzenia, jakie zafundował mu Webster, i nie odczuł ich skutków. Będzie czuł się dobrze jeszcze przez długi czas, a kiedy wyczerpie siły Webstera, wciąż będzie w dostatecznie dobrej formie, aby go dobić.

Webster musiał coś zrobić, bo Flint spychał go ciągle do tyłu. Cofając się wpadł na krzesło, przewracając je, a potem obchodząc je dookoła. Flint podniósł krzesło i uderzył nim w głowę Webstera, tak jak Webster zrobił to jemu. Uderzenie odrzuciło Webstera na kolejne krzesło i powaliło na podłogę.

Kiedy Webster podniósł się, także miał krzesło w ręku i teraz obaj ponownie byli uzbrojeni i stali twarzą w twarz.

Kiedy Flint uniósł swoje krzesło i upuścił je w dół, Webster uchylił się. Wiedział już, że nie może stać i wymieniać ciosów z tym człowiekiem. Nie był w stanie dorównać mu siłą; jego jedyną szansą było przechytrzenie go.

Kiedy Flint ponownie zamachnął się i uderzył krzesłem w dół, Webster uchylił się i uniósł własne krzesło. Flint także poderwał krzesło, by się osłonić.

Lecz wtedy Webster nie zadał ciosu od góry; zamiast tego zaczął wykonywać pchnięcia krzesłem do przodu, tak że jego wszystkie cztery nogi uderzały w ciało Flinta. Flint nie mógł obserwować czterech nóg naraz i osłaniać się przed nimi. Tak więc jedna noga krzesła trafiła go w zęby, potem druga noga uderzyła go w szyję, a jeszcze inna walnęła go w środek brzucha, wybijając mu trochę oddechu z piersi.

Nogi krzesła były wszędzie przed Flintem, a krzesło wysuwało się do przodu w krótkich pchnięciach, Webster sprawił, że Flint zaczął się cofać. Za każdym razem, gdy Flint uderzał swoim krzesłem od góry na głowę Webstera, Webster podnosił swoje krzesło na chwilę, by złapać na nie cios, a potem znowu te cztery konfundujące nogi krzesła wbijały się we Flinta jak cztery lance, każda żyjąca własnym życiem. Po jednym ciosie stracił dwa zęby, kolejny trafił go pod oko i rozerwał ciało aż do ucha. Krew ciekła mu z nosa, spływała po wąsach i mieszała się z potem, który brudził jego dumną, rudą brodę. Jedno z jego oczu szybko ciemniało, a czerwone wargi zrobiły się purpurowe i spuchnięte.

Webster zaczynał zbliżać się do kresu swej wytrzymałości, ale widział, jak Flint dyszy i wiedział, że jego przeciwnik również słabnie. Obserwował go teraz uważnie, a kiedy zobaczył, że ramiona Flinta uginają się pod ciężarem krzesła, które trzymał w górze, Webster nagle zamachnął się swoją bronią i wytrącił Flintowi krzesło z rąk. Kiedy poleciało ono przez całe pomieszczenie w tłum, Webster odrzucił również swoje krzesło i skoczył na Flinta, który cofnął się prawie do wahadłowych drzwi saloonu.

Webster uderzył Flinta barkiem w klatkę piersiową z taką siłą, że ten przewrócił się na plecy i wyleciał przez drzwi na zewnątrz, gdzie obaj wylądowali na błotnistym chodniku, na którym Webster bezlitośnie bił go po twarzy, dopóki Flint nie zwinął się w kłębek i nie schował jej w

ramionach. Wtedy Webster powstrzymał się i dał mu szansę stanąć na nogi.

Flint podniósł się powoli, kilka razy poruszył nogami, by złapać równowagę, jak jednodniowy ogierek uczący się chodzić. Kiedy się ustabilizował, stał tyłem do Webstera i powoli się odwrócił, szukając swojego przeciwnika.

Gdy odwrócił się twarzą do Webstera i zobaczył go, Webster uderzył go. Wiedział, że to ostatni dobry cios, jaki mu pozostał, i włożył w niego każdą uncję pozostającej mu siły. To załatwiło sprawę. Posłał Flinta na plecy, do rynny ze spływającą wodą, gdzie ten chwiejąc się podciągnął się do pozycji siedzącej. Siedział tam zlany po szyję wodą, z pochyloną głową i wysuniętym językiem, a jego oddech świszczał w otwartych ustach, w krótkich, spazmatycznych sapnięciach.

— Wstawaj — powiedział Webster.

Flint zdawał się go nie słyszeć.

Webster wyszedł do wody, złapał mężczyznę za kołnierz i wyciągnął go na chodnik.

— Wstawaj — powtórzył.

Flint wciąż się nie ruszał, tylko siedział tam, gdzie go Webster zaciągnął. Jeśli jego umysł pracował, nie okazywał tego w żaden sposób. Oddech wydobywający się z jego ust, rozbrzmiewał regularnymi odgłosami; krew, woda i błoto pokrywały go od czubka głowy w dół, a z brody kapała woda.

— Wstawaj i walcz — powiedział Webster po raz trzeci.

Mężczyzna wciąż nie reagował.

— No dobrze — oznajmił Webster. — Jeśli kiedykolwiek będziesz chciał to dokończyć, znajdź mnie.

Jim przepchnął się przez tłum, który wyszedł za nimi na ulicę i znalazł w saloonie swój kapelusz, leżący na podłodze obok przewróconego stołu do pokera. Podszedł do baru i rzucił barmanowi dwadzieścia dolarów w złocie.

— Za lustro — powiedział. — Nie stłukłem go, ale może być w tym moja wina.

Wtedy usłyszał głos obok siebie.

— Chyba się myliłem, przyjacielu — powiedział Jake. — Nie potrzebowałeś broni, co?

Podał Websterowi jego rewolwer.

— A teraz dla odmiany to ja postawię ci drinka.

— Jakimś innym razem — odpowiedział mu Webster i ponownie przepchnął się przez tłum, który teraz wlewał się z powrotem do saloonu.

Wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi, a Flinta nie było już na chodniku. Zobaczył dwóch mężczyzn prowadzących go po ulicy. Odwrócił się i poszedł do hotelu, do swojego pokoju. Nalał sobie pełną szklankę whisky i wypił połowę.

Następnie rozebrał się, napełnił umywalkę i umył się. Jedno oko było prawie zupełnie spuchnięte, po lewej stronie twarzy pozostała mu długa rysa, zaś na żebrach, gdzie uderzały go potężne pięści Flinta, miał wielkie niebiesko-fioletowe siniaki. Obie jego pięści były posiniaczone i

poobcierane, a wzdłuż skroni biegła mu rana zadana przez nogę lecącego krzesła, czerwona i krwawiąca. Wszystkie mięśnie bolały go tak, jakby uwiązano go między parą dzikich koni, które próbowały go rozerwać na strzępy.

Była to walka, która kosztowała go więcej niż jakakolwiek inna walka, jaką pamiętał, i zastanawiał się, czy osiągnie dzięki niej założony cel.

Opróżnił szklankę whiskey i zwlókł się do łóżka, wsuwając rewolwer pod poduszkę.

Flint miał rację przynajmniej w jednej kwestii; za jego walką krył się pewien cel. Ale czy była ona warta ceny, jaką za nią zapłacił, było to pytanie, na które nie było łatwo odpowiedzieć.

****

Następnego ranka, przybywając z rancza, Dick Hammond zostawił Erica Swansona i Sonię u pani Halsell, a sam udał się do sklepu po zapasy. Kilka minut później zatrzymał się w barze Red River na szybkiego drinka. Podchodząc do baru w miejscu, w którym znajdowało się rozbite lustro, zapytał barmana Stoneya:

— Czyżby chłopcy urządzili sobie wesołą bitwę, rzucając w siebie piankami?

— Możesz mówić o piankach, jeśli sobie życzysz, ale razem z nimi leciały spluwaczki, krzesła, stoły, nie wiem co jeszcze, może nawet parę cegieł z okolicznych budynków. Rany, jeśli nawet dożyję setki, nigdy więcej nie zobaczę drugiej takiej bójki. Teraz, widziałem już chyba wszystko.

— To musiały być chyba dwie całe armie.

— Tak. Tyle że każda z tych armii składała się z jednego człowieka. Tych dwu starczyło za dwie armie. Nigdy bym nie wierzył, że w istocie ludzkiej może siedzieć tyle ochoty do walki.

— Kto z kim się tłukł?

— Ike Flint i jakiś nieznajomy, który po prostu przyszedł i nie spodobał mu się wygląd Ike'a. Z początku nie potrafiłbym powiedzieć, który z nich będzie tym lepszym, a który tym gorszym, ale kiedy to się już zakończyło - uwierzyłbyś - nieznajomy był po prostu wielki, a Ike zmienił się w kłębek nerwów i obolałych miejsc, że tak powiem.

— Chyba nie mówisz poważnie. Myślałem, że Ike jest kuloodporny i pięściodporny.

— Ike też tak myślał. Ale wygląda na to, że w którymś miejscu się pomylił. Najwyraźniej w jego rachunkach był jakiś błąd.

— Kim był ten gigantyczny zabójca?

— Ach, teraz najlepsze! Trafiłeś swoim pytaniem prosto w samo sedno tajemnicy tajemnic. Nikt nie wie, kim jest ten gość, ani skąd przybył, ani dokąd zmierza, ani jak się nazywa, ani co sprawiło, że uznał, iż nie podoba mu się wygląd Ike'a. Po prostu przybył, zobaczył i zwyciężył, jak to kiedyś zgrabnie ujął jeden ze dawnych italiańskich generałów, a potem wybył i pochłonęła go wielka czarna tajemnica nocy. Znikąd, donikąd. Przelatujący

meteor, który nawet nie potrzebował broni, z której by musiał strzelać. Stary, mówię ci, nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Jak wyglądał ten nowy niedźwiedź? Jak grizzly lub kodiak?

— Co zabawne, wcale nie wyglądał jak obozowy osiłek. Wysoki, może kilka centymetrów ponad sześć stóp. Ale nie miał na sobie za dużo mięśni, tak jak Ike. Krótko ostrzyżony i w ogóle. Ogolony i ma jedną z tych otwartych, uczciwych twarzy. Nosił teksańskiego, pogniecionego Stetsona i dbał o czystość. Nie wziąłbyś go za samotnego jeźdźca, ani za barowego awanturnika. I na tym właśnie polega cała zagadka.

— Może Ike sprowokował go, tak dla zabawy. Musi pobić paru ludzi przed śniadaniem, żeby nabrać apetytu, bo inaczej zepsuje sobie dzień.

— Nie, to wcale nie było tak. Facet nie był pijany. Dałem mu jakieś trzy szybkie whisky, a potem odpiął broń i wręczył ją Jake'owi, woźnicy dyliżansu, po czym podszedł i zaczęła się zabawa. Ike jak zwykle tokował przed grupą osadników, a ten nieznajomy podszedł, wziął kufel piwa Ike'a i chlusnął jego zawartością w wąsy naszego samochwały. Równie dobrze mógłby napluć lwu w twarz.

— Ten nieznajomy ma dwa rewolwery?

— Nie. Jeden rewolwer. Zwykła broń z rękojeścią z jeleniej kości, bez kabury. Nie wiem. Jeśli ktoś by mnie pytał, powiedziałbym, że za tym stoi coś więcej, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Nikt nie przychodzi tak po prostu i nie prosi się o samobójstwo, kiedy jest zupełnie trzeźwy i nie myśli o jakichś innych rzeczach, poza przyjemnym spędzeniem wieczoru.

— No wiesz — oznajmił Hammond ze swobodą, której nie czuł. — W takim miejscu jak nasze miasteczko, nigdy niczego nie wiadomo. Są ludzie, którzy uciekają do kryjówek w górach, po drugiej stronie rzeki, z grupami pościgowymi, dziesięć kroków za sobą. Są też normalni wariaci, szaleni mordercy ludzi.

Rzucił monetę i wyszedł. Stoney opisał Webstera na tyle dokładnie, że nie miał wątpliwości, kto pobił Flinta.

Ale dlaczego? To pytanie, zastanawiało Hammonda. Flint był twardy; człowiek musiał być twardy, żeby wozić towary na Terytorium. Flint był łobuzem, ale jednocześnie nie był bandytą ani nikim podobnym. Jeździł dla J.B. Faulknera, który prowadził Star Trading Company, robiąc interesy na całym Terytorium, a Faulkner działał zgodnie z prawem.

Na chodniku, na zewnątrz, Hammond popatrzył w stronę hotelu, który znajdował się kilka domów dalej. Webster prawdopodobnie odsypiał skutki walki w swym narożnym pokoju. A skoro interesy Webstera były interesami Swansona, nie zaszkodziło wpaść do niego i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Jeśli Webster czegoś już się dowiedział, to być może Swanson powinien o tym wiedzieć.

Argumentując w ten sposób, Hammond był już bliski pójścia do hotelu i znalezienia Webstera, kiedy sam Webster wyszedł z restauracji niecałe czterdzieści stóp od miejsca, w którym stał powóz Dicka.

Hammond zobaczył, że jedno z oczu Webstera było czarne, a po drugiej stronie twarzy miał długą bliznę. Widział również opuchnięte kostki

dłoni Webstera, który zatrzymał się przed restauracją i zaczął skręcać sobie papierosa.

Hammond ruszył w stronę Webstera, ale zrobił zaledwie parę kroków, gdy Webster uniósł wzrok. Spojrzenie Webstera wylądowało na chwilę na Hammondzie i nie było w nim widać nawet cienia rozpoznania. Po chwili oczy Webstera powędrowały wzdłuż ulicy, w czasie gdy oblizał papierosa i przypalił go zapałką. Potem Webster, wciąż jakby nie widząc Hammonda, odwrócił się i poszedł w kierunku stajni.

Hammond zrobił krok za nim, po czym zatrzymał się, z narastającym zdumieniem. Nagle uśmiechnął się do siebie i odwrócił w stronę powozu. Oczywiście, przecież nigdzie i nigdy nie wolno im było się rozpoznawać.

A jednak, Hammond polubił Webstera już od pierwszego spojrzenia i ta sympatia nadal się utrzymywała, choć zastanawiało go to, że Webster w saloonie najwyraźniej zachował się jak awanturnik.

Odwiązał konie i wsiadł do powozu. To było dla niego zbyt wiele; lepiej czuł się przy prostych pracach na ranczu. Mimo wszystko, Swanson powinien się o tym dowiedzieć.

Hammond zastał Swansona, Sonię i panią Halsell jedzących kolację i po umyciu się w kuchni dołączył do nich przy stole. Spędził kilka minut jedząc w ciszy, aż w końcu Sonia spytała:

— Co się stało, że jesteś dziś taki milczący, Dick?

— Nie zauważyłem tego — przyznał z uśmiechem. Nie zamierzał mówić Swansonowi o Websterze w obecności innych, ale wszyscy patrzyli na niego, jakby wiedzieli, że ma coś do powiedzenia.

— Wygląda na to, że Webster dość szybko się rozkręca — powiedział.

— Co on zrobił? — spytał szybko Swanson.

— Zdaje się, że zrobił mielonkę z Ike'a Flinta, i przy okazji dosyć gruntownie zdemolował bar Red River. Lustro za barem zostało rozbite na kawałki przez latającą spluwaczkę, a Stoneyowi pozostały roztrzaskane kawałki hikorowego krzesła jako pamiątka wojenna. Jak twierdzi Stoney, nic nie mogło równać się z tą bijatyką, od czasu, gdy Dawid i Goliat urządzili sobie małą imprezkę parę tysięcy lat temu.

— O co chodziło?

— To właśnie jest zabawne. Stoney mówi, że Webster rozpoczął to jak grom z jasnego nieba, bez żadnego powodu. Najpierw oblał Ike'owi wąsy piwem, a potem próbował powyrywać je mu z korzeniami jak chwasty.

— Spodziewałem się człowieka, który będzie trzymał się z boku i dowie się czegoś dla mnie. Zamiast tego zatrudniłem pijanego awanturnika, który zamiast trzymać się w mroku, robi z siebie publiczne widowisko. — Swanson nie krył rozczarowania. — Nigdy nie miałem dobrego zdania o zawodowych rewolwerowcach.

— Nie wiem — odparł Dick. — Jest w tym Websterze coś, co mi się podoba. Coś w tym jak wygląda. Nie jest łazęgą i wygląda na człowieka, który wie, co robi. Poza tym Stoney twierdzi, że ma wrażenie, iż za tym, co zrobił Webster, coś się kryło. Nie wie, o co chodzi, ale Stoney dobrze ocenia ludzi i dobrze wyczuwa ich intencje. Może Webster działa zgodnie z jakimś planem.

— Nie wiem, co to miałby być za plan. Miał się nie zdradzać i dowiadywać się różnych rzeczy. Jak miałby utrzymać swoje ruchy w tajemnicy, skoro od razu wychodzi na środek sceny i przedstawia się jako awanturnik i łobuz?

— Nie wiem. Był zmęczony podróżą. Może po prostu puściły mu nerwy i znudziło mu się słuchanie, jak Ike opowiada te swoje głupoty. W każdym razie to była wymówka, którą podał jako powód wszczęcia bójki.

Swanson jadł przez chwilę w milczeniu.

— Nie sądzę, by ten człowiek był mi w stanie pomóc. Lepiej powiedzmy mu, że zmieniliśmy zdanie. Zrób to, gdy pojawi się u ciebie następnym razem, dobrze, Cora?

Pani Halsell zamyśliła się.

— Na twoim miejscu nie wyciągałabym pochopnych wniosków. Mój brat mówił mi, że to dobry i godny zaufania człowiek, który lubi załatwiać sprawy po swojemu. Może poczekajmy chwilę i zobaczmy, co zamierza?

— No, dobrze — zgodził się Swanson. — Ale od początku nie byłem przekonany do tego pomysłu. Jeśli narobi tu kłopotów, będziemy w pewnym sensie temu winni.

## Rozdział 4

## Wysoka woda

Po zjedzeniu późnego śniadania Jim Webster wyszedł z restauracji i zatrzymał się, aby zapalić papierosa. Zobaczył, że Dick Hammond spogląda na niego, a potem rusza w jego stronę. Odwrócił się do Hammonda plecami i poszedł do stajni, gdzie zastał starego Jake'a siedzącego na pełnej podków beczce, i rozmawiającego ze stajennym.

Ogromne wąsiska Małego Jake'a drgały, a jego jedno oko było bardzo zaczerwienione, kiedy inwentaryzował siniaki i skaleczenia na twarzy i rękach Webstera.

— Ostrzegałem cię — zauważył przemądrzałym tonem. — Lepiej by było, gdybyś posłuchał mojej gadaniny, niż wdawał się w tańce z Ikiem Flintem.

— No, nie wiem, Jake — odparł Webster. — Blizny są dzięki temu bardziej widoczne, ale nie są takie głębokie. A co powiesz na to, że dzięki temu mogę teraz czuć się znacznie bezpieczniej na ulicy?

— No cóż — powiedział Jake, — tuż po świcie Ike wyszedł ze swojego pokoju i dołożył trzem facetom, którzy za bardzo mu się przyglądali, kiedy ich mijał. Powiedziałbym, że jego duma również jest mniej lub bardziej pokiereszowana i będzie wymagała długiej kuracji. Wsiadł na konia i wyjechał z miasta, prawdopodobnie z zamiarem hibernacji do czasu, aż jego naturalne piękno powróci mu na twarz, a jego naturalna podłość powróci mu do duszy. Potem, gdybym był tobą, wybrałbym się na wycieczkę, aby podziwiać krajobrazy Meksyku lub może na biegun południowy. Słyszałem, że jest tam całkiem zdrowe powietrze i może Flint by cię tam nie znalazł.

— Być może coś w tym jest — przyznał Webster. — Ale w międzyczasie mam ochotę na zakup konia. Myślisz, że sprzedają tu takie stworzenia?

Kiwnąwszy głową w stronę siedzącego obok niego stajennego, Jake powiedział:

— Cóż, jeśli miło porozmawiasz sobie z Barneyem, będziesz nazywał go panem i tak dalej, to może uda ci się przekonać go, by sprzedał ci dobrego konia za pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt dolarów. Oczywiście za taką cenę nie możesz spodziewać się zwierzęcia z zębami, wszystkimi czterema nogami i takimi podobnymi rzeczami, ale może udałoby się załatwić coś, co byłoby w stanie utrzymać siodło nad ziemią. Co, Barney?

Barney miał jedną drewnianą nogę, wielkie uszy i smutną minę.

— Powiem ci, Webster — oznajmił. — Mam kilka koni wartych sto dolarów, które oddam za pięćdziesiąt dolarów. Nie dam ci się jednak namówić na wyższą cenę, bo kupiłem je tanio. Kosztowały mnie tylko osiemdziesiąt, a nie byłoby w porządku wobec moich sąsiadów, gdybym stracił na nich mniej niż trzydzieści dolarów za sztukę, biorąc pod uwagę obecne wysokie ceny paszy.

— No cóż, powiedzmy, że kupię połowę jednego z nich, a potem, jeśli mi się spodoba, wrócę i wezmę drugą połowę.

— W porządku — odparł Barney. — Rzućmy na nie okiem.

Webster wybrał deresza o krótkim grzbiecie, który mu się spodobał, przyniósł z hotelu swoje siodło i wypróbował go.

Zjechał ścieżką nad rzekę i patrzył, jak potężna fala czerwonej, kotłującej się wody przelewa się w dół rzeki, w szalonym tempie. Tu i ówdzie kołysały się w niej i kręciły drzewa, stare martwe korzenie bryzgały fontannami wody, gdy wartki nurt niósł je ze sobą. Młode dęby i wiązy, wielkie drzewa o pniach grubych na dwie stopy, o zielonych liściach, drzewa, które rosły wzdłuż jakiegoś brzegu, aż rwąca woda podcięła je, wypłukując ziemię spod ich korzeni i wtrącając je do nurtu; wielkie drzewa, martwe drzewa, żywe drzewa, małe zarośla i martwe kłody, wszystko, co rzeka mogła pochwycić w swoją zachłanną paszczę, wszystko to zostało porwane i było niesione z miejsca na miejsce, gdy natura budziła się z zimowego snu i wpadała w szał, zanim zajęła się swoimi letnimi sprawami.

Webster przez dłuższą chwilę przyglądał się czerwonym wodom gniewnej rzeki, zafascynowany jak zawsze energią, siłą i nieustanną pracą natury, i doszedł do wniosku, że minie co najmniej tydzień, zanim woda opadnie i wozy będą mogły przekroczyć nurt rzeki w tym miejscu. Nawet teraz, gdyby rzeka już opadła, wozy nie dałyby rady przebić się przez głębokie, miękkie, czerwonawe błoto, na drogach prowadzących do przeprawy.

Jim będzie musiał pozostać w miasteczku jeszcze przez kilka dni; mnóstwo czasu, żeby wykiełkowały nasiona, które zasiał poprzez walkę z Ikiem Flintem. Odwrócił się i pchnął konia przez błoto, zostawiając go potem w stajni.

— Wezmę oba jego końce — obwieścił Barneyowi. — Daj mu trochę owsa, żeby nie było zbyt wielkiej przerwy między tymi dwoma końcami.

Zapłacił Barneyowi za konia i ruszył, kiedy Barney zawołał go z powrotem do siebie.

— Och, tak. Właśnie mi się przypomniało. Faulkner chce się z tobą zobaczyć.

— Kto to jest?

— Star Trading Company. Prawy człowiek, który mógłby być inspiracją dla każdego młodego gnojka, który chciałby żyć we właściwy sposób. Nie pal, nie żuj tytoniu, nie przeklinaj…

— Już pamiętam — odpowiedział Webster, — ani nie wydawaj niepotrzebnie pieniędzy na gumę do żucia i popcorn.

— Na tym polega haczyk. No cóż, trzymaj nos w czystości i mów do niego „proszę pana”, a niewykluczone że da ci pracę zamiatacza podłóg, i

całkiem niedługo, może już za jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat, dzięki tej ciężkiej pracy, pewnego dnia może staniesz się bogaty. Pod warunkiem, oczywiście, że masz bogatych wujków, którzy będą mogli zostawić ci forsę. Od niego na pewno jej nie wyciągniesz.

Webster przeszedł główną ulicą i na jej drugim końcu znalazł duży sosnowy magazyn Star Trading Company. Idąc, zauważył, jak zatłoczona była ulica, teraz, kiedy nie padał deszcz. Ludzie chodzili w tę i z powrotem, zbierali się w grupki i rozmawiali, stali przed witrynami sklepowymi, czekając, aż rzeka opadnie. Na pustym miejscu obok sklepu typu „mydło i powidło", z pół tuzina obozujących rozpalało ogniska przy swoich krytych wozach, gotując kolację. Miejsce to było zatłoczone mężczyznami, zapracowanymi kobietami i rozbrykanymi dziećmi - wszyscy czekali na możliwość wyruszenia w głąb nieznanego i niebezpiecznego Terytorium, mając wbrew wszelkim szansom nadzieję, że dożyją czasów kiedy znajdą kawałek ziemi, który będą mogli nazwać swoim, i osiedlą się na nim aby zbudować tam swój dom.

Star Trading Company miało sosnowy budynek o szerokości sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu stóp i długości co najmniej stu pięćdziesięciu stóp. Po jednej stronie znajdowała się rampa załadunkowa o wysokości odpowiadającej poziomowi platformy wozu, a na rampie, w równych odstępach, spoczywały stosy drutu kolczastego, części do pługów, pomalowane na czerwono, zielono i żółto, bloki soli, osie i koła wozów oraz inne towary użytkowe przydatne farmerom oraz ranczerom.

Tyłem do rampy stało kilka wozów, a parę grup ranczerów oraz farmerów, kucało w ciasnych kręgach na rampie, rozmawiając i paląc. Mieli tu dobry, solidny zestaw towarów na nowy kraj i to w dobrej lokalizacji, tuż przy jednej z bram do Terytorium.

Webster wszedł do środka i znalazł jeszcze więcej towarów do handlu, w dobrze zaopatrzonym sklepie z narzędziami. Podbiegł do niego starszy, bezbarwny urzędnik i zapytał czego potrzebuje.

— Faulkner o mnie pytał.

— Jak nazwisko?

— Nie podawałem mu żadnego, a on nie pytał o mnie po nazwisku, o ile wiem. Ale możesz mu powiedzieć, że nazywam się Webster.

— Zaczekaj tutaj — powiedział urzędnik. — Sprawdzę, czy nie jest zajęty.

Urzędnik nieśmiało zapukał do drzwi w tylnym rogu sklepu i po zaproszeniu wszedł. Wyszedł chwilę później i powiedział:

— W porządku. Pan Faulkner może się teraz z tobą zobaczyć. Po prostu wejdź.

Webster był może pięćdziesiąt stóp od drzwi biura, a gdy ruszył w ich stronę, wyszedł z nich jakiś młody mężczyzna i zamknął drzwi za sobą. Webster zobaczył tylko, że był młody i miał jasną cerę, a także był schludnie ubrany, w ubranie do pracy na wsi.

Młody mężczyzna ledwie zrobił może pół tuzina kroków, gdy przez drzwi dobiegł głos.

— Och, Emory, zaczekaj chwilę. Jeszcze jedna rzecz. — Młody mężczyzna odwrócił się i ponownie wszedł do biura, zamykając za sobą drzwi.

Webster zatrzymał się, żeby zaczekać, aż skończą swoje interesy, i wtedy myśl, która już od paru chwil próbowała wypłynąć na powierzchnię jego umysłu, w końcu się wyłoniła. „Emory". Tak nazywał się przyjaciel córki Swansona, młody kupiec bydlęcy.

Webster powiedział to od niechcenia do urzędnika, który poszedł za ladę i zaczął ustawiać zestaw beczek z podkowami.

— To młody Dustin, prawda?

Urzędnik skinął głową.

— Tak. Świetny młody człowiek. Ma wspaniałe perspektywy.

— Wygląda na to — odpowiedział Webster beztrosko.

Wtedy Dustin wyszedł i zniknął za stosami towarów, podczas gdy Webster podszedł do biura Faulknera.

* * * *

Kiedy J.B. Faulkner miał czterdzieści lat, był kasjerem w banku w południowym Teksasie. Zawsze był milczącym, małomównym człowiekiem, który trzymał swoje myśli dla siebie. Miał dobrą głowę do interesów i nie miał problemu z powiedzeniem „nie" komuś, kto potrzebował pieniędzy, bez względu na to, jak duży sprawiłoby to kłopot bardziej humanitarnemu człowiekowi, gdyby musiał komuś oznajmić o takiej odmowie. Tak więc przez pewien czas był niezłym kasjerem bankowym, przynajmniej jeśli chodzi o interesy banku.

Dwa lata później odkryto, że bank został okradziony. Faulkner został aresztowany. Księgowi stwierdzili niedobór ponad czterdziestu tysięcy dolarów, wystarczająco duży, aby rozbić bank. Nie zdołano jednak dowiedzieć się, co Faulkner zrobił z pieniędzmi. W swoim milczącym stylu uparcie zaprzeczał, aby wiedział cokolwiek o niedoborze, i to było wszystko, co w ogóle udało się z niego kiedykolwiek wyciągnąć.

Bank był bankrutem, a wielu jego depozytariuszy faktycznie musiało z tego powodu cierpieć prawdziwą biedę, co jednak nie dotyczyło Faulknera. Stanął przed sędzią, na koniec procesu, i usłyszał, jak ten rozprawia o perfidii człowieka, który okradł swoich przyjaciół i sąsiadów. Sędzia nazwał go najczarniejszym łajdakiem, jaki kiedykolwiek stanął przed jego obliczem. Skazał J.B. Faulknera na dwadzieścia lat ciężkich robót i wyraził ubolewanie, że nie może wysłać go do więzienia do końca życia.

Faulkner słuchał tego, a oczy w jego pozbawionej wyrazu twarzy nie wyrażały ani jednego promyka żalu czy wstydu. Były tak samo martwe, jak oczy w głowie marmurowego posągu.

Cztery lata później Faulkner wyszedł z więzienia, jako wolny człowiek. Dla niego była to prosta sprawa; po prostu skontaktował się z kierownikiem kampanii człowieka, który wówczas kandydował na gubernatora. Miał wcześniej do czynienia z tym człowiekiem i wiedział o nim wszystko. Tak więc Faulkner, więzień stanu, wysłał czek na pięć

tysięcy dolarów do kierownika kampanii gubernatora - jako swoją dotację na kampanię.

Kilka miesięcy później, kiedy nowy gubernator powołał nową komisję ds. ułaskawień i zwolnień warunkowych, Faulkner został zwolniony. Jego petycja twierdziła, że możliwe jest, iż nie zachował takiej pilności w ochronie funduszy banku, jaką powinien, ale że był to tylko błąd zaniechania, a nie umyślne przestępstwo. I dalej, petycja żaliła się, że Faulkner jest chorym człowiekiem, ofiarą gruźlicy i że chciałby wyjść z więzienia aby umrzeć jako człowiek wolny, a nie jako skazany przestępca. To wszystko było bardzo wzruszające, ponieważ Faulkner pomimo wszystko nie był jakimś zwykłym złodziejem bydła ani przydrożnym rozbójnikiem, lecz jedynie szanowanym człowiekiem, który w jakiś sposób nieświadomie pozwolił, aby pieniądze, które miał chronić, wymknęły mu się z rąk.

Potem, kiedy był już wolny, Faulkner zebrał pewne fundusze, które zdeponował tu i ówdzie w różnych bankach, pod różnymi nazwiskami, przybył do krainy nad Red River i założył firmę. Sumując pięć lat spędzonych w więzieniu i areszcie, czterdzieści tysięcy dolarów było naprawdę niezłą zapłatą.

Obecnie J.B. Faulkner miał pięćdziesiąt pięć lat. Jego klatka piersiowa była nadal wąska, a w wilgotną pogodę kaszel oskrzelowy u niego niemalże nie ustępował. Nie pił, ponieważ alkohol powodował u niego mdłości, i nie palił, ponieważ dym był zbyt drażniący dla jego oskrzeli. Nie grał, ponieważ nie lubił ryzyka rozstania się choćby z dolarem przy złym rozdaniu kart. I nie przeklinał, ponieważ był tak skryty, że nie mógł znieść, aby ktokolwiek wiedział, co dzieje się w jego umyśle.

Siedział teraz za zaśmieconym, starym sosnowym stołem, który służył mu za biurko, podczas gdy jego długie kościste palce bawiły się piórem do pisania, a oczy studiowały Webstera, który wszedł i stanął przed nim.

Webster odwzajemnił spojrzenie, spoglądając na szczupłego starca, który byłby dużym człowiekiem, gdyby miał trochę mięśni na swojej wysokiej sylwetce. Faulkner był zapadnięty w sobie, ramiona miał pochylone do przodu, a jego klatka piersiowa była wręcz wgłębieniem. W swoim pomarszczonym szarym bawełnianym garniturze przypominał Websterowi wysuszony i zwinięty liść. Kości jego głowy pozbawione były ciała, co nadawało mu trupi wygląd, a na widok zapadniętych, ponurych oczu, Websterowi przyszła na myśl dawno już martwa ryba. Oczy nie mówiły nic; były zasłonami, za którymi człowiek ten skrywał swoje myśli.

Webster zmęczony czekaniem na zaproszenie by usiąść, znalazł wreszcie sam krzesło dla siebie, podczas gdy Faulkner nadal go studiował. W końcu Faulkner wymruczał kilka słów zza zaciśniętych warg.

— Jesteś tym człowiekiem, który wczoraj wieczorem wdał się w bójkę z Ikiem Flintem. — Było to stwierdzenie wskazujące, że Faulkner nie był zadowolony z tej walki.

— Tak. Flint i ja się pokłóciliśmy — przyznał Webster.

— Dlaczego?

— Nie lubię gości, który za dużo gadają.

Faulkner pokręcił głową z boku na bok.

— Nie. To nie jest odpowiedź. Spróbuj jeszcze raz.

— To właśnie mu powiedziałem, a jemu się to nie spodobało.

— To nie jest wystarczający powód.

— To niby dlaczego to zrobiłem?

— O to właśnie cię pytam.

— Po co chce pan to wiedzieć? I dlaczego miałbym panu cokolwiek mówić, nawet jeśli miałby pan prawo wiedzieć.

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Widzisz, Flint pracuje dla mnie. To wartościowy człowiek i nie lubię, kiedy jacyś obcy kręcą się po okolicy i biją moich ludzi. Mamy wystarczająco dużo problemów bez hołoty, która sprawia nam kłopoty.

— Próbuje mi pan powiedzieć, że ma pan problem z powstrzymaniem ludzi przed pobiciem Ike'a Flinta?

— Nie powiedziałem tego. Nikt nie potrafi pobić Ike'a Flinta. To znaczy, nikt nie potrafił, dopóki ty się nie pojawiłeś.

— Czyli próbuje mi pan powiedzieć, że Ike Flint potrafił o siebie zadbać, dopóki ja nie udowodniłem, że nie potrafi.

— Jesteś jedynym człowiekiem, z którym nie potrafił sobie poradzić.

— I z tego powodu — dorzucił Webster — potrzebuje go pan w swoim biznesie i nie podoba się panu myśl, że ja go pokonałem. Czy to właśnie próbuje mi pan powiedzieć?

— W tym rzecz — przyznał Faulkner. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Wydaje mi się, że sam pan powinien być w stanie dostrzec odpowiedź na swoje pytanie. Właśnie wyłożył pan jasno sytuację. Potrzebuje pan człowieka, który potrafi o siebie zadbać. Tym człowiekiem był Flint, dopóki ja się nie pojawiłem. Ja potrzebuję dobrych kontaktów, więc naturalnie musiałem wykazać, że jestem lepszym człowiekiem do wykonywanej przez Flinta pracy, niż Flint. To dosyć proste do zrozumienia, nie uważa pan?

Cokolwiek myślał Faulkner, nie było tego widać w jego oczach, kiedy milczał przez długą chwilę. W końcu spytał:

— Co sprawia, że myślisz, iż mógłbym dać ci jego pracę? Co dobrego miałby mi przynieść taki skłonny do bójki człowiek, jak ty?

— Mogę przynieść panu więcej dobrego niż Flint, ponieważ jestem lepszym człowiekiem niż on. To właśnie chciałem udowodnić, a pan również musi mieć takie wrażenie, inaczej nie wzywałby mnie pan tutaj.

Mina Faulknera pozostała nieprzenikniona.

— Wydaje się to nieco pośrednim sposobem na prośbę o pracę.

— Nie prosiłem o pracę. Po prostu zademonstrowałem, co potrafię. Zobaczył pan to i wysłał po mnie, żeby zaoferować mi pracę. To fakt, prawda?

— Ty także wyciągasz pochopne wnioski — stwierdził Faulkner.

— Nie sądzę, żeby moje wnioski były aż tak pochopne. Ale jeśli poszedłem w złym kierunku, to proszę o tym zapomnieć. Będę już szedł.

— Masz jedną wadę — stwierdził Faulkner z zamyśleniem. — Próbujesz się za bardzo i za szybko przepychać do przodu. Człowiek może w ten sposób upaść na twarz.

— Od dawna już wykonuję dosyć ryzykowną pracę i nie upadłem na twarz, poza jednym razem. Oczywiście, to był dosyć kosztowny upadek, ale więcej się nie powtórzy.

— A na czym polegał ten upadek?

— Ten upadek jest moją prywatną sprawą. I więcej już nie upadnę. A co miał pan na myśli?

— Nie powiedziałem, że mam cokolwiek na myśli.

Webster wstał.

— W porządku. Mój błąd. Pomyślałem, że przyda się panu dobry człowiek.

— Usiądź — powiedział Faulkner bez entuzjazmu. — Musisz nauczyć się zakładać sobie ciaśniejsze wędzidło. Masz zalety, ale masz też i wady. A teraz, do jakiej pracy jesteś przyzwyczajony?

— Każdej. Robiłem trochę tego i tamtego. Kierowałem taborem wozów, kierowałem przepędem bydła, kierowałem tartakami, kierowałem tym i tamtym…

— Wygląda na to, że masz duże doświadczenie w kierowaniu różnymi rzeczami. Jakich pieniędzy oczekujesz?

— Nie pracuję za wyżywienie, pranie i obrok dla konia. Zatrudniam się do pracy, której inni nie potrafią wykonać, i muszę mieć pieniądze, których inni nie potrafią zarobić.

— Jak daleko zaszedłeś, żeby zdobyć takie pieniądze?

Webster opuścił kołnierzyk koszuli.

— Nie widać na mojej szyi żadnych śladów po sznurze, prawda? No cóż, nie zobaczy pan ich. Z drugiej strony, jestem człowiekiem, który lubi mieć parę dolarów w kieszeni, żeby nimi trochę pobrzęczeć.

— Myślisz, że dałbyś radę zabrać następny ładunek Flinta na Terytorium i dotrzeć z nim do celu?

Webster popatrzył przez okno.

— Widzę tam, po drugiej stronie rzeki, jakieś wzgórza. Są zielone i prowadzi przez nie szlak. Biorę to. Już wcześniej przedzierałem się przez zielone wzgórza i zwykle wyjeżdżałem z nich z drugiej strony. Nie widzę, dlaczego nie miałbym zrobić tego samego z tymi wzgórzami.

— Widzisz jakieś wzgórza i że są zielone — zauważył Faulkner. — Ta zieleń to drzewa. Nie widzisz, co jest pod tymi drzewami.

— Czy cokolwiek innego niż to, co znajduje się pod drzewami na innych wzgórzach?

— Coś zdecydowanie innego. Jest szlak, który prowadzi przez te wzgórza, ale między drzewami są oczy, a za nimi czekają ludzie z bronią. A ci ludzie z bronią chcą tego, co my mamy na naszych wozach, więc kierują w twoją stronę swoje karabiny i biorą wszystko co masz, a ty leżysz pod drzewami i gnijesz, i nikt nawet nie wie, co się z tobą stało. Czy to jest rodzaj pracy, która cię pociąga?

— Czy Flint przedostał się przez te wzgórza?

— Tak. Ale stracił parę ładunków, robiąc to. Myślisz, że zdołałbyś pobić ten rekord?

— Myślę, że gdybym kiedykolwiek stracił ładunek, to nie zobaczyłby mnie pan na oczy, dopóki nie odnalazłbym tego ładunku i ludzi, którzy go

zabrali. Nie martwię się, czy dam radę to zrobić. Chcę tylko wiedzieć, ile ta praca jest dla pana warta.

— To twoje życie, nie moje. Mieliśmy problemy z przedarciem się przez te wzgórza. Ile by mnie kosztowało, gdybyś przedostał się z wozem pełnym towarów?

— Dwieście dolarów - płatne, gdy wrócę i zamelduję, że dotarł.

— Szanowny panie — oznajmił Faulkner. — Zgodnie z pańską gadaniną jest pan całkiem ważnym graczem. I zapewniła ona panu otrzymanie tej pracy. Proszę być gotowym na zabranie karawany wozów do Buckhorn, zaraz jak tylko rzeka opadnie na tyle, że będzie pan w stanie się przez nią przeprawić. Cztery albo pięć dni, a może nawet tydzień, jeśli spadnie jeszcze więcej deszczu.

Webster podniósł się.

— Ma pan mnie. Będę w pobliżu.

— W międzyczasie — powiedział Faulkner, — równie dobrze możesz sobie zarabiać. Wróć do moich stajni i zgłoś się do Joego Dunna. Przekaż mu, że powiedziałem, żeby zatrudnił cię do czasu wyjazdu.

Webster roześmiał się.

— Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał. Nie zostałem zatrudniony jako chłopiec stajenny; zostałem zatrudniony jako zarządca i właśnie tym będę. Do sprzątania stajni proszę sobie gdzieś znaleźć jakiegoś chłopca. Czy to panu odpowiada?

Faulkner zacisnął usta i nie odpowiedział. Webster dodał:

— Będę w okolicy i poprowadzę pańskie wozy przez wzgórza. Tego pan ode mnie chciał, nieprawdaż?

Faulkner otarł swoje kościste czoło.

— Potrzebuję kogoś, żeby ktoś je przeprowadził. Wygląda na to, że nikt na świecie nie jest w stanie przedostać się przez te wzgórza. Jeśli to zrobisz, nie będziesz musiał się martwić o zarabianie pieniędzy, pracując dla mnie.

Webster zostawił go wtedy samego i zjadł kolację w restauracji. Później poszedł do baru Red River i wypił kilka szklaneczek z Jakem, który jeszcze nie wyruszył w drogę powrotną. Przeszedł przez tłum, trzymając zmysły otwarte, aby mogły wchłonąć wszystko, co mogłoby mieć dla niego znaczenie. Nie dowiedział się wiele od Faulknera, ale tutaj zrobił już pierwszy kroczek w sprawie, i na początek to mu wystarczyło.

Zatrzymał się przy jednym ze stołów pokerowych i przez chwilę obserwował graczy, po czym spytał:

— Można się dosiąść, panowie?

Jeden z graczy skinął głową, Webster wysunął więc krzesło i kupił sobie stos żetonów. Siedział naprzeciwko młodego Emory'ego Dustina i poświęcał więcej uwagi uśmiechniętej blond twarzy człowieka po drugiej stronie stołu, niż swoim kartom.

Po półgodzinie wzlotów i upadków stracił swój stos żetonów i wstał od stołu, dowiadując się o Emorym Dustinie rzeczy, które go zaniepokoiły. Mówił sobie, że to nie jego sprawa, ale obserwował grę Dustina, obserwował, jak ten człowiek obstawia, obserwował, jak wygrywa, a co ważniejsze, obserwował, jak przegrywa.

Wiedział teraz, że uśmiech na przystojnej młodej twarzy Dustina był nieustanną maską. Nie był to człowiek o naprawdę dobrej naturze, jak mówił światu ten uśmiech, lecz miał w sobie wyraźną żądzę pieniędzy, chciwość, która czasami wręcz iskrzyła się w jego oczach, oraz arogancką wściekłość, której nie był w stanie do końca ukryć, gdy przegrywał.

Te cechy Dustin skrywał za swoim łagodnym uśmiechem, ale Webster spędził długie lata na czytaniu drobnych znaków u ludzi, i wyczytał je wyraźnie u młodego Dustina, kupca bydlęcego, który był wschodzącą młodą gwiazdą w Woodbine, przynajmniej jak mówiono.

Emory Dustin, który miał zamiar poślubić Sonię Swanson. A Sonia Swanson, z tego, co Webster o niej wiedział, była szczerą, serdeczną i pełną życzliwości młodą dziewczyną, która gdyby oddała swoje serce temu człowiekowi, narażała się na nieuniknione rozczarowanie i złamane serce.

Webster odszedł od gry, rozmyślając o tych rzeczach. Potem jednak powiedział sobie, że sprawy Soni Swanson i Emory'ego Dustina nie powinny go interesować. Był tutaj, aby wykonać zadanie dla Swansona, a nie doradzać jego córce w sprawach sercowych.

Lecz nie potrafił wyrzucić z głowy tego problemu; czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny, tak samo jakby wiedział, że dziewczyna mogłaby za chwilę nieświadomie wypić jakąś truciznę.

## Rozdział 5

## Przeprawa przez rzekę...

Przez kolejne trzy dni Webster wyprowadzał swojego konia, jechał w kierunku rzeki i objeżdżał okolicę, zapoznając się z ukształtowaniem terenu i obserwując, jak pełna mułu woda stopniowo opada. Rankiem piątego dnia nurt wody miał nie więcej niż sto metrów szerokości, a po obu jego stronach słońce suszyło twardy, czerwony piasek. Za kolejny dzień woda opadnie na tyle, by wozy mogły przejechać.

Tego wieczora pił w barze, kiedy zobaczył Emory'ego Dustina stojącego obok siebie. Młody Dustin miał szeroki, przyjazny uśmiech i postawił mu drinka.

— Mówi się, że Ike Flint wyjechał z miasta. Nie widziano go od czasu waszej bójki. Słyszałem, że to była niezła jatka.

— Nic wielkiego — odpowiedział Webster. — Kolejna pijacka awantura. Człowiek w moim wieku powinien zachować swoje opinie dla siebie. To zaczyna być zbyt trudne dla moich starych kości.

W roześmianych oczach Dustina pojawił się błysk przebiegłości, który dał Websterowi sygnał, że Emory nie akceptuje jego opowieści. I najwyraźniej nie był zadowolony.

— Tak czy inaczej, dzięki temu dostałeś pracę. Słyszałem, że zajmiesz miejsce Ike'a.

— Wieści szybko się rozchodzą, co? Ja sam jestem tu obcy. Jeszcze o tym nie słyszałem.

Dustin roześmiał się sympatycznie.

— Tak, w mieście tej wielkości praktycznie wszyscy o wszystkim wiedzą. Ludzie słyszą twoje słowa, zanim je jeszcze wypowiesz.

— Wierzę w to.

— Nie chciałbym się wtrącać — powiedział Dustin. — Wiesz, Ike miał tutaj opinię niezłego łobuza, a ty zyskałeś wielu przyjaciół, kiedy go trochę przyhamowałeś.

— Mam wrażenie, że wciąż ma w sobie dużo ochoty do walki.

— Tak. Ale od teraz będzie ostrożniej wybierał swoje ofiary. Wiesz, tak sobie pomyślałem. Od czasu do czasu mam interesy na Terytorium. Jestem handlarzem bydła.

— Opowiedz mi o tym — poprosił Webster, ożywiając się w duchu. — Słyszałem, że jest tam dosyć ryzykownie.

— Ryzykownie to łagodne słowo — odparł Dustin. — Nie mam zamiaru ci opowiadać, jak poradziłem sobie z tymi chłopcami, tak jak zrobił to Flint. Sam jestem raczej łagodnym człowiekiem i gdyby któryś z nich kazał

mi stanąć z rękoma do góry i oddawać pieniądze, to stanąłbym i oddał mu pieniądze szybciej, niż płatek śniegu roztapia się w piekle. Kolejnego dolara zawsze można zarobić, ale życia już się nie odzyska.

— To niezła przypowieść — stwierdził poważnie Webster.

— To prawda, którą, jak sobie wyobrażam, Ike Flint musiał dobrze znać. W przeciwnym razie nie mógłby odbyć tylu podróży z towarem przez te tereny i przeżyć, aby opowiadać o tym, co się z nim działo.

— Z tego, co Ike mówił osadnikom, odniosłem wrażenie, że byłby w stanie przepędzić stado szerszeni z jednego końca Terytorium na drugi i nigdy nie straciłby ani jednego.

— Stracił mnóstwo towarów, ale nigdy życia. Może i jest głupi, ale zastanawiam się, czy ten fakt nie świadczy o pewnym rodzaju mądrości.

— Uważam — oznajmił Webster z zamyśleniem — że masz rację. Napij się ze mną, a potem muszę iść sprawdzić, jak radzi sobie reszta knajp. Dzisiaj jeszcze nie zostawiłem w żadnej z nich ani dolara.

Jim zapłacił za swojego drinka, obrzucił wzrokiem salę i wyszedł w ciemność, zastanawiając się, co kryje się za słowami Dustina. Wszystko wydawało się przyjazne i beztroskie, ale za swobodnym uśmiechem kryło się coś, co nie wyglądało Websterowi na prawdziwe. Swego rodzaju wysiłek w celu uzyskania efektu, jakby jego rozmówca musiał świadomie utrzymywać uśmiech na twarzy, aby zamaskować jakieś głębsze emocje.

Webster ruszył dalej ulicą, zatrzymał się w kilku innych barach i wypił po drinku w każdym z nich, po czym wyszedł na zewnątrz i zanurzył się w ciemności.

Udał się do ciemnego magazynu Faulknera, zgodnie ze wskazówkami Faulknera z poprzedniego dnia, i podszedł od tyłu, gdzie znalazł kryty wóz, stojący koło rampy. Faulkner i dwaj ludzie stali na rampie, a ich postacie w słabym świetle gwiazd widoczne były jedynie jako mgliste cienie.

Kiedy Webster do nich dołączył, Faulkner powiedział swoim ochrypłym, stanowczym głosem:

— Webster, ci ludzie będą twoimi pasażerami. W tę podróż wysyłam tylko jeden wóz i, jak już mówiłem, jest już załadowany. To tylko towary, wyroby bawełniane i trochę sprzętu. Ci ludzie muszą dostać się do Buckhorn i powiedziałem im, że mogą jechać z tobą. Mają tam jakieś interesy, ale nie rozumiem, dlaczego nie kupią sobie koni, siodeł i nie pojadą tam szybciej. W każdym razie, zabierzesz ich ze sobą. To jest pan Clanton.

— Miło mi pana poznać, panie Clanton — powiedział Webster, ściskając dłoń.

— A to jest pan Nix.

— Miło mi pana poznać, panie Nix. Czy to nie z wami, panowie, jechałem tamtego dnia dyliżansem?

— Chyba tak — burknął szorstko Clanton. — Ostra jazda. Jeszcze mi nie przeszło.

— Ta może być trudniejsza — zauważył Webster. — Trochę rozmawiałem w miasteczku i dowiedziałem się, że szlak przez góry jest przez dłuższy czas wyżłobiony w skałach. Może się okazać, że konno byłoby łatwiej.

— Nie jesteśmy zbyt dobrzy w jeździe konnej i nie znamy drogi. Z tego, co słyszeliśmy, nie jest to miejsce, po którym mogłaby powłóczyć się para nowicjuszy. Zabraliśmy ze sobą parę strzelb, ale prawdę mówiąc, ja sam zbyt dobrze nie strzelam. Raz próbowałem upolować jelenia. Stał przez cały czas nieruchomo, ale nawet nie połapał się, że do niego strzelałem.

— Nie jestem dużo lepszy — dodał Nix. — Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli używać naszej broni.

— No cóż — zaśmiał się Webster. — Przyda się do powieszenia nad kominkiem, kiedy wrócicie panowie do domu. Będziecie mogli opowiadać wnukom o swoich przygodach na dzikim Terytorium Indian.

Faulkner zakaszlał.

— Lepiej już ruszajcie — powiedział. — Przed świtem powinniście być już za szczeliną. Na otwartej przestrzeni po drugiej stronie łańcucha wzgórz jest bezpieczniej.

Wóz, którym Webster miał jechać, wyposażony był w czterokonny zaprzęg. Wspiął się na siedzenie i zaczął odwijać lejce z dźwigni hamulca, gdy Faulkner, stojący w ciemności rampy, udzielił mu pożegnanej rady.

— Pamiętaj, Webster, życie ludzkie jest warte więcej niż ładunek bawełny i lemieszy do pługa. To wszystko, co tam masz i nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek chciał ci to odebrać. Ale jeśli ktoś będzie próbował to zrobić, użyj głowy zamiast broni. Jestem w stanie pogodzić się z utratą towaru, ale życia dobrego człowieka nie mogę zastąpić.

I znowu ten sam cień fałszu. Faulkner nie był człowiekiem, który bardziej myślałby o życiu najemnego pracownika, niż o przewożonym ładunku, przynajmniej w mniemaniu Webstera.

Mając to w głowie, odprowadził zaprzęg od rampy i wykręcił go w stronę przeprawy przez rzekę, mając obok siebie dwóch pasażerów, na twardym siedzeniu wyścielanym częściowo wypełnionym workiem owsa dla koni.

Obaj pasażerowie napełnili fajki, a Webster zapalił papierosa, po czym wóz ruszył w kierunku rzeki. Jechali, nie odzywając się do siebie.

Webster przypominał sobie, że Jake opowiadał mu, iż ci ludzie przywieźli ciężką sakwę, którą Jake miał w ręku i stwierdził, że w środku są złote pieniądze. Jake był sprytny i prawdopodobnie dobrze zgadywał.

Ci dwaj nie włożyli jednak żadnej sakwy na wóz, a Faulkner zapewniał go, że nie ma na nim nic poza perkalem i lemieszami od pługów.

Jeśli Jake dobrze się domyślał, tych dwu umówiło się z Faulknerem, że ukryją sakwę w jednej z sosnowych skrzyń z tkaninami, w jednej z beczek z mąką lub w innych pakach czy skrzyniach.

Było o czym myśleć.

Ale była jeszcze jedna, ważniejsza rzecz, o której należało pomyśleć, a mianowicie, że dobrze znał jednego z tych mężczyzn - prawdę mówiąc znał go od jakichś dziesięciu czy dwunastu lat. Ben Clanton był wtedy Strażnikiem Teksasu i, o ile Webster wiedział, Clanton nadal nim był.

Co więcej, Clanton znał także Jima Webstera. Wiedział o jego wyczynach; wiedział, że nazwisko Webstera budziło strach w niejednym gnieździe złodziei; wystarczyło wkręcić się do jakiejkolwiek złodziejskiej

szajki i wspomnieć, że Jim Webster zmierza w tę stronę, a jej członkowie rozpierzchali się jak stado wron na każdy ślad człowieka ze strzelbą.

Clanton musiał więc wiedzieć, że Webster jest tu w jakiejś sprawie, która prawdopodobnie może zakończyć się rozlewem krwi; a Webster wiedział, że Clanton jest tu w jakimś interesie; tajemniczym interesie z tego, co do tej pory widział.

Clanton był jednak oficerem teksańskim, i jego władza kończyła się na pobliskim brzegu rzeki. Nie miał uprawnień do działania jako funkcjonariusz policji na Terytorium Indian rządzonym przez władze federalne.

Zastanawiało to Webstera, ale nie spodziewał się odpowiedzi na te pytania, w najbliższym czasie. Musiał dalej udawać obcego dla Clantona, dopóki Clanton nie zdecyduje inaczej.

Otrzymał taki sygnał od Clantona, gdy czekali na stacji dyliżansu w Fort Worth, gdzie spotkali się po raz pierwszy. Był to nieznaczny sygnał, lecz wystarczył i Webster postąpił zgodnie z nim.

Wyglądało to prosto: kiedy Webster przyniósł swoje siodło i worek z rzeczami na stację dyliżansu w Fort Worth i podszedł do kasy, aby kupić bilet do Woodbine, stanął w kolejce za dwoma innymi ludźmi, z których jeden był to człowiek, którego Faulkner przedstawił jako Nixa, a drugim był Ben Clanton. Webster miał już rozpocząć rozmowę z Clantonem, gdy ten ostatni uniósł wzrok i zobaczył go - a potem spoglądał przez niego, jakby patrzył na kogoś nieznajomego.

To była cała wskazówka, jakiej Webster potrzebował, znając interesy swojego przyjaciela. Od tego momentu, przez dwa dni, które spędzili razem podczas wytrząsającej kości jazdy dyliżansem, zachowywali się jak zupełnie obcy ludzie. W czasie długiego oczekiwania w Woodbine na ustąpienie wód, ani razu nawet nie spojrzeli na siebie ani nie zamienili słowa, choć dwa razy jedli przy tym samym stoliku w restauracji.

W ciągu pół godziny Webster dotarł do rzeki i przejechał przez jej nurt, pośrodku szerokiego piaszczystego koryta. Pas wody miał zaledwie pięćdziesiąt stóp szerokości i głębokość mniejszą niż po piasty kół, a jego dno stanowił twardy, czerwony piasek. Zatrzymał się na brzegu rzeki po stronie Terytorium i skierował ciężki wóz stopniowo wznoszącym się podjazdem, podążając niewyraźnym szlakiem przez wysoką trawę, której nie wgniotły i nie pokryły błotem wody powodzi. Podążając dalej wiodącym stopniowo w górę szlakiem, w końcu minęli największe wyniesienie terenu, zjechali ponownie na niższy obszar i skierowali się do wąskiego, zalesionego, żwirowego strumienia, który wypływał ze wzgórz tuż przed nimi.

Do tej pory Clanton i Nix zamienili tylko kilka zdawkowych słów na temat stanu rzeki i możliwości ugrzęźnięcia w błocie gdzieś na szlaku.

Teraz Clanton odezwał się ponownie:

— Webster, a może zatrzymasz się i dasz odetchnąć koniom? Chcę się trochę przejść.

Webster zatrzymał zaprzęg i owinął lejce wokół dźwigni hamulca, zsiadając na ziemię, aby rozprostować nogi.

Clanton powiedział:

— Przejdźmy się, Nix — i obaj mężczyźni zsunęli się po przednim kole i poszli szlakiem przed wozem.

Webster przykucnął na obcasach butów i skręcił sobie papierosa, a w jego głowie wciąż krążyła myśl, aby dowiedzieć się, co Clanton tu robi. Teraz, kiedy przekroczyli rzekę, Clanton nie był już w Teksasie, i jego władza jako Strażnika Teksasu nie była tutaj honorowana.

Po kilku minutach mężczyźni wrócili i zamiast wsiąść do wozu, Clanton przykucnął na piętach obok Webstera. Nix dołączył do nich.

— Myślę — oznajmił Clanton — że najwyższy czas, żebyśmy trochę pogadali, Webster. Wygląda na to, że wszyscy próbujemy jeździć na tym samym koniu.

— Słucham — odparł Webster.

— No cóż, po pierwsze — powiedział Clanton — dziękuję, że nie rozpoznałeś mnie po tym, jak dałem ci znak w Fort Worth.

Webster zachichotał.

— Może nie chciałem cię rozpoznać. Czułem twój oddech na karku niejeden raz, a to cholernie gorący oddech.

— Pewnego dnia może będziesz musiał jeszcze pochodzić na paluszkach — odparł Clanton. — Ale z tego, co o tobie wiem, nie powinieneś się martwić. I sądzę, że postawiłoby mnie to w nader niezręcznej sytuacji, gdybym wiedział wszystko, co możesz o sobie powiedzieć.

Clanton skręcił papierosa, oblizał go i zapalił.

— Zabrałem Nixa, żeby mu o tobie opowiedzieć. Jest szeryfem Stanów Zjednoczonych dla tej części Terytorium, a ja pracuję z nim nad pewną sprawą. Teraz, gdy przekroczyliśmy rzekę, działam jako jego zastępca, a nie jako Ranger. Ale pracujemy nad tą sprawą razem, ponieważ o ile nam wiadomo, ludzie, których ścigamy, działają po obu stronach rzeki, podczas gdy każdy z nas z osobna byłby zatrzymywany przez granicę stanu. W ten sposób, skoro on pracuje jako mój zastępca po stronie Teksasu, a ja jako jego zastępca po stronie Terytorium, możemy się swobodnie przemieszczać. Opowiadałem mu o tobie, a on zgodził się, że skoro cię znam, to możemy załatwić tę sprawę wspólnie i być może połączyć to, co wiemy, cała nasza trójka.

— No dobrze, a co ty masz?

Clanton roześmiał się.

— To ty, w całej okazałości. Ty pytasz, a inni goście udzielają odpowiedzi. Chciałbym jednak wiedzieć, co tam masz w rękawie? — Po chwili dodał: — Poza zestawem dosyć obolałych mięśni, jeśli dobrze oceniam to, co zrobiłeś z tym poganiaczem mułów.

— Po prostu pracuję jako poganiacz mułów dla Faulknera.

— No dobrze, Webster — rzucił niecierpliwie Clanton. — Widzę, że będę musiał ci coś powiedzieć, zanim ty mi powiesz cokolwiek. Przekażę ci wszystko, co mamy, a jeśli nie wywiążesz się ze swojej części, będę cię prześladował, dopóki nie zobaczę, jak wisisz.

— Masz przewieźć dużą forsę na płace — powiedział Webster. — I nie powinieneś mieć jej teraz przy sobie. Ale masz.

— Naprawdę mam? I zgadza się, mam. Gdzie ona jest?

— Pewnie w jednej z tych skrzyń, jak się domyślam. Przynęta na przestępców.

— Widzisz, Nix? Mówiłem ci, że ten facet zawsze wyprzedza wszystkich o kilka kroków. No cóż, Webster, niech będzie, to jest to niewiele, co mamy. Wielcy hurtownicy wysyłali towary przez Terytorium, część przez przejście Woodbine, część przez inne przejścia. Na tych wzgórzach powstała banda przestępców, którzy dorabiają się na przejmowaniu karawan z towarem. To dotyczy również pieniędzy. Inni biznesmeni, a nawet rząd, mają czasami jakieś powody, by wysyłać pieniądze w różne miejsca na Terytorium i mają szczęście, jeśli dotrą one do celu. Teksańscy kupcy zaapelowali do Strażników i to jest moje zadanie. Odwołali się również do biura szeryfa USA na Terytorium i dlatego włączony został w to Nix. A co ciebie w wciągnęło w tę sprawę - jakbym nie wiedział?

— Więc ty mi to powiedz.

— No cóż, współpracujesz ręka w rękę ze Stowarzyszeniem Ochrony Hodowców Bydła. Oficjalnie nie jesteś ich detektywem, ponieważ masz zwyczaj wykręcania prawa za ogon, gdy tylko przyjdzie ci do głowy, że sprawiedliwość i prawo nie idą w parze, przy pozbywaniu się znanych bandziorów. Tak się składa, że zdaję sobie sprawę z tego, że twój sposób często oszczędza państwu kosztów procesów i egzekucji, a także nierzadko chroni prawo przed wypaczeniem go przez pewnych chłopców, którzy daliby radę może wygrać sprawę sądową, ale nie są w stanie pokonać twoich kul.

— W każdym razie, jeśli jesteś tutaj — kontynuował Clanton — to dlatego, że jakiś hodowca bydła ma kłopoty. A ponieważ nie byłeś w mieście dłużej niż kilka minut, kiedy jeden z ludzi z rancza Double H dopadł cię i zabrał na spotkanie z Ericem Swansonem w domu wdowy po człowieku, który był właścicielem Double H, zakładam, że pracujesz właśnie dla Swansona.

— I dalej, ponieważ wiem, że nie jesteś człowiekiem, który toczy bójki z miłości do darcia sobie koszul na grzbiecie, celowo rozpocząłeś tę bijatykę z woźnicą Faulknera, aby odebrać mu pracę. Oznaczało to, że jak dobry pies myśliwski, poniuchałeś już trochę przy ziemi i myślałeś, że zapach prowadzi tędy.

— No cóż, skoro nasze zapachy prowadzą w tym samym kierunku, to może jesteśmy na tym samym tropie — zakończył Clanton.

— Nieźle się rozejrzałeś, co? — odpowiedział Webster. — Musiałeś nie ucierpieć zbytnio po tej przejażdżce dyliżansem, skoro wciąż miałeś energię, by mnie śledzić, kiedy tylko dotarłem do miasta.

— To nie jest kwestia mojego osobistego komfortu — odpowiedział Clanton. — To część mojej pracy. Gdziekolwiek się pojawiasz, tam są kłopoty. A kłopoty to także moja sprawa. Jak mówię, może jesteśmy na tym samym tropie.

— Jeszcze nie mam żadnego — przyznał zgodnie z prawdą Webster. — Dopiero się rozglądam i szukam.

— Zastanawiam się, czy mówisz mi prawdę. Ale nie zaszkodzi zapytać. Oczywiście wiesz, kim jest Faulkner?

— Wiem tylko, że jest handlarzem.

— I wiesz, że ma rybie oczy. W każdym razie powiem ci to, skoro tego nie wiesz. Może to tylko pieniądz wyrzucony w błoto, ale może to da coś tobie, a niewykluczone, że i mnie. Czy wiedziałaś, że on był przestępcą bankowym, który odsiadywał wyrok w zakładzie karnym w Huntsville?

— Nie, nie wiedziałem — przyznał zgodnie z prawdą Webster. — Ale teraz, kiedy o tym wspominasz, wygląda na takiego.

— No cóż, pracujesz dla niego. Nie zapominaj o tym. A teraz jeszcze jedno. Powiedz mu, Nix, o tych plotkach na temat ukrytego miasta.

— No dobrze — powiedział Nix po chwili namysłu. — Wiesz, jak to jest z plotkami. Doszły do nas wieści o jakimś ukrytym mieście tutaj, na tych wzgórzach; wiesz, zwykłe miasto ludzi wyjętych spod prawa, w którym ukrywają się przestępcy. Oczywiście zawsze krążą takie opowieści i zazwyczaj się je lekceważy. Ale skala bandytyzmu na tym zakątku Terytorium staje się coraz większa. Potrzeba odpowiedniej organizacji, zarówno do zawierania korzystnych umów, jak i do pozbywania się łupów. Te wzgórza pochłaniają mnóstwo towarów, pieniędzy i bydła. Wszystko to musi gdzieś być ukrywane i musi istnieć jakaś organizacja, która się tym zajmuje. Zbyt wiele nagromadziło się tu opowieści i faktów, aby można było je dłużej ignorować. Szukamy więc tego ukrytego miasta.

— Jak macie zamiar je znaleźć?

— Gdzieś na linii następują cholerne przecieki. Ludzie próbują potajemnie przewozić pieniądze, towary i żywy inwentarz, lecz każdy duży transport zawsze był wykrywany i rabowany. Przewozimy ładunek złota, zgodnie z przykrywką, z banku w Fort Worth, do jednego z jego mniejszych odbiorców na otwartych obszarach Terytorium. I nie oczekujemy, że przedostaniemy się do celu. Spodziewamy się, że złoto zostanie zrabowane, a następnie mamy zamiar ruszyć tropem ludzi, którzy to zrobią, znaleźć ich i dowiedzieć się, skąd wyciekły informacje. Krótko mówiąc, mamy zamiar rozbić tę bandę, zanim zakończymy naszą pracę.

Webster stwierdził z namysłem:

— Jesteście bardzo pewni siebie. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak rabusie mogliby pozwolić, by którakolwiek z ich ofiar przeżyła, żeby ich później rozpoznać.

— W tym rzecz — odezwał się Clanton. — Biuro Nixa analizowało te napady i zabawna rzecz: bardzo niewielu ludzi podczas nich zginęło. Tylko jakieś gorące głowy, które chciały walczyć w obronie swoich towarów lub pieniędzy. Cholernie głupi pomysł, towar zawsze można zastąpić, ale martwym jest się już na zawsze.

— Już mi to parę razy mówiono — stwierdził Webster. — Więc myślicie, że raczej będziecie bezpieczni?

— Tak, ale postanowiliśmy się zabezpieczyć podwójnie. Te skrzynie nie zawierają ładunku tkanin; nie ma w nich niczego poza pieniędzmi. Opracowaliśmy ten pomysł z Faulknerem. Oto, co zamierzamy zrobić i jest to jeden z powodów, dla których musimy wtajemniczyć cię w nasze plany. Nix wykombinował, że większość tych napadów ma miejsce mniej więcej w połowie drugiej strony przejścia przez te wzgórza. Z tempa naszej jazdy wynika, że znajdziemy się tam może kilka godzin przed świtem. Mam przeczucie, że tam się z nimi spotkamy. Ty będziesz prowadził wóz, a

kiedy się zbliżymy do tego miejsca, Nix i ja schowamy się w tych skrzyniach z naszymi karabinami. Rabusie nie mają w zwyczaju zabijać woźniców. Zatrzymają cię i zażądają złota, a jeśli doszło do przecieku, tak jak sądzimy, będą chcieli wiedzieć, gdzie jesteśmy my. Opowiesz im jakąś bzdurną historyjkę. Zaczną przeszukiwać wóz. Wtedy wyskoczymy z tych skrzyń i zanim ich załatwimy, zranimy paru z tych chłopców. Chcemy dostać w swoje ręce kilku z nich żywych i poddać ich solidnemu przesłuchaniu. Uważamy, że mogą nam opowiedzieć parę bardzo interesujących rzeczy.

— Może macie rację — zgodził się Webster, wstając. — W każdym razie lepiej już jedźmy. To wasza impreza, ale pomogę wam.

— Tylko nie śpiesz się z wyciąganiem broni — ostrzegł go Clanton. — Nie chcemy ich martwych, chcemy, by byli w stanie mówić. Zwykle ludzie, którzy stają przeciwko tobie, nie są później w stanie zbyt wiele powiedzieć.

— Spróbuję się powstrzymać — uśmiechnął się do niego Webster.

— Zrób to — nalegał Clanton. — Pamiętaj, że jest jedna wspólna cecha tych przestępstw: wydaje się, że oni nie chcą nikogo zabijać. Wskazuje to na fakt, że za tym wszystkim stoi jeden kierujący całą tą sprawą umysł, i ten człowiek jest inteligentny. Zdaje sobie sprawę, że dopóki rabowane są tylko towary, nie będzie aż tak wielkiego zamieszania, jakie by powstało, gdyby zginęło wielu ludzi. Więc nie ryzykuj.

Webster pomyślał sobie, że w ciągu ostatnich paru godzin słyszał wiele o ochronie życia i dało mu to do myślenia. W planach bandytów zawsze zauważał jedną rzecz: im dłużej jakiś plan działał z powodzeniem, tym bardziej byli oni pewni, że będą mogli z niego dalej korzystać. A im dłużej go wykorzystywali, tym częściej był używany; tym szybciej nadchodziła chwila, kiedy coś szło nie tak. Nie było bardziej pewnej rzeczy w życiu niż fakt, że sprawy nie mogą funkcjonować bez zmian, a zatem im dłużej coś trwało bez zmian, tym szybciej musiało się zmienić.

Rozumując w ten sposób, sprawy tutaj w okolicy powinny się wkrótce zmienić.

— Jeszcze dwie rzeczy — dodał Clanton. — Zawsze istnieje ryzyko obsuwy. Oczywiście nie myślimy o tym, ale coś może nam się stać, ponieważ jesteśmy funkcjonariuszami, a oni mogą to podejrzewać i chcieć nas usunąć na zawsze z drogi. Obaj mianujemy cię swoimi zastępcami. Dzięki temu będziesz osobą urzędową po obu stronach rzeki, na wypadek gdybyś potrzebował władzy. Pokażemy ci też, w jaki sposób te pieniądze są oznaczone, na wypadek, gdybyś kiedyś musiał je wyśledzić.

## Rozdział 6

## ...i przez las

**W**ebster poganiał czterokonny zaprzęg, jadąc powoli pod górę, skalistym górskim szlakiem, i w niemal całkowitej ciemności pod drzewami o ich mozolnym ruchu świadczył jedynie stukot kół wozu i grzechot uprzęży. Około północy dotarli do wierzchołka pasma wzgórz, zatrzymali się i zaparzyli kawę na małym ognisku, które szybko zgasili po zagotowaniu wody.

Gdy zaczęli zjeżdżać wozem na drugą stronę góry, wszyscy zrobili się bardziej czujni. Po jakiejś godzinie Clanton i Nix opuścili siedzenie i zajęli swoje miejsca w dużych, kwadratowych skrzyniach z białej sosny, na podłodze wozu, zabierając ze sobą swoje nowe karabiny. W większych skrzyniach mieli małe skrzyneczki, na których mogli wygodnie usiąść po tym, jak pokrywy większych skrzyń zostały opuszczone nad ich głowami.

Kiedy już się usadowili, Webster ponownie ruszył zaprzęgiem w dół stoku, z wytężonymi zmysłami oczekując pierwszych oznak kłopotów. Był przekonany, że one nadejdą, ale nigdy wcześniej nie jechał tym szlakiem i nie mógł wiedzieć, kiedy, gdzie i jak nadejdą. Jedyne, co mógł zrobić, to wjechać w nie na ślepo.

Niebo po jego prawej ręce - czyli na wschodzie – robiło się już szare, kiedy kłopoty nadeszły.

Webster na wpół drzemał, gdy napastnicy uderzyli z nagłością, która poderwała go z miejsca.

Rozległ się pojedynczy wystrzał z karabinu i bliższy z koni prowadzących przewrócił się w swej uprzęży, zakwiczał, kopnął raz nogami i znieruchomiał martwy. Webster szarpnął za lejce, próbując przełożyć je wszystkie do jednej ręki i jednocześnie użyć hamulca ręcznego. Jego dłoń skoczyła ku rękojeści rewolweru, ale przypomniał sobie rozkaz Clantona i zostawił broń w spokoju.

Pozostałe konie stłoczyły się razem zanim je zatrzymał, musiał więc poświęcić całą uwagę na opanowaniu ich. Kiedy już je uspokoił, dopiero wtedy mógł pomyśleć o sobie, a jego pierwszą myślą było zauważenie kompletnej ciszy jaka nastąpiła po strzale.

Było już dostatecznie jasno, by mógł dostrzec, że szlak był wkopany w ziemię, tak że po obu stronach kolein znajdowały się nasypy sięgające powyżej dna wozu, a teren powyżej nich był gęsto porośnięty drzewami i zaroślami.

To właśnie spomiędzy drzew rozległ się głos:

— No dobra, panie woźnico, złaź na dół i trzymaj ręce na tyle wysoko, byśmy mogli je widzieć.

Głos dochodził z jego prawej strony. Webster popatrzył w lewo i zmierzył wzrokiem odległość od swojego siedzenia do brzegu nasypu po tamtej stronie. Mógłby go przeskoczyć i zanurkować między drzewa, pod warunkiem, że człowiek po prawej nie byłby dostatecznie szybki.

Właśnie zdecydował się spróbować przeskoczyć brzeg, gdy zza drzewa, do którego planował dotrzeć, wyszedł mężczyzna. Mężczyzna niósł wycelowany w niego karabin, trzymany poziomo na wysokości pasa. Podszedł do krawędzi brzegu i wykonał ruch swoją bronią.

— Co to, nie słyszałeś? Złaź na ziemię. — Nie był to człowiek, który odezwał się jako pierwszy, ponieważ pierwszy głos dochodził z drugiej strony drogi.

Webster posłuchał polecenia, myśląc, że ci ludzie nie przyjechaliby tutaj, na spotkanie z wozem, gdyby nie byli pewni, że on nadjedzie, i nie wiedzieli, że będzie na nim coś więcej niż tylko sprzęt rolniczy i tkaniny.

Zastanawiał się nad tym, gdy pierwszy głos polecił z ukrycia:

— Joe, zabierz mu broń.

Mężczyzna, który się ujawnił, zeskoczył z nasypu na szlak poniżej, trzymając przez cały czas podczas skoku wycelowany w niego karabin. Wyciągnął rewolwer Webstera, a ten, wiedząc, że z ciemności jego przeciwnika osłania co najmniej jeszcze jedna broń, nie podjął walki.

Zaczął się zastanawiać co się dzieje z Clantonem i Nixem. Dlaczego się nie pokazali?

Kiedy został rozbrojony, drugi mężczyzna wyszedł zza drzewa po prawej stronie drogi i stanął nad nim, oceniając sytuację w powoli wzmacniającym się świetle.

— W porządku — rzucił przez ramię. — Ten ma wyrwane kły. — Następnie zwrócił się do Webstera: — Gdzie są twoi partnerzy?

— Nie mam żadnych partnerów — odparł Webster. — Myślisz, że wybrałem się na przejażdżkę w świetle księżyca, czy co?

— Gdzie są te blaszane gwiazdy, które ci towarzyszyły?

— Zebrało ci się na zagadki o tej porze dnia? — odpowiedział Webster. — Właśnie wiozę ładunek towarów do sklepu w Buckhorn.

— Wiem o wszystkim — oznajmił szorstko mężczyzna. — I masz jeszcze trochę drobnych, w postaci dziesięciu tysięcy dolarów w złotych monetach. Co się stało z tymi pieniędzmi?

— A skąd miałbym wiedzieć?

Głos mężczyzny ukrytego wśród drzew odpowiedział z irytującą cierpliwością.

— Słuchaj, woźnico, nie chcemy cię skrzywdzić. Potrzebujemy tylko tych ludzi i ich pieniędzy. Przecież chcesz wrócić do Woodbine i odebrać swoje wynagrodzenie, prawda? Jeśli tak, to zacznij mówić. Jeśli nie, zabijemy cię szybciej, niż płatek śniegu roztapia się w piekle.

— Powiem ci jedno — oznajmił Webster, zastanawiając się, na co czekają Clanton i Nix. — Nigdy nie lubiłem za dużo gadać. Jeśli masz jakieś pojęcie, że ukrywam tutaj ludzi lub pieniądze, które do ciebie należą, to dlaczego nie przyjdziesz tu i ich nie poszukasz?

— Właśnie to zamierzamy zrobić. Wyjechałeś z Woodbine z tymi ludźmi i z pieniędzmi, a przecież z pewnością nie zostali gdzieś po drodze, żeby połowić sobie rybki, czy coś takiego. Joe, wejdź na ten wóz i sprawdź go.

Mężczyzna na szlaku wsadził karabin pod pachę i wspiął się na piastę przedniego koła, stawiając nogę na tyle siedzenia wozu. Był odwrócony plecami do Webstera, ale bez broni i mając co najmniej jednego innego człowieka, który go miał na celu, Webster nie mógł nic zrobić.

Webster pokręcił głową, trzymając ręce wysoko, omiótł wzrokiem teren, po czym wrócił do obserwowania mężczyzny w wozie. Ten podszedł się do pierwszej dużej skrzyni i położył dłoń na pokrywie.

— Nie jest przybita — zawołał do mężczyzny w lesie. — Może są w niej ukryte pieniądze.

— No to zajrzyj i zobacz — padł rozkaz.

Mężczyzna na wozie podniósł wieko skrzyni. Kiedy to zrobił, wieko drugiego pudła uniosło się niemal równocześnie z pierwszym. Z obu skrzyń wyłoniły się postaci Clantona i Nixa z karabinami przyłożonymi do ramion. Mężczyzna w wozie krzyknął i uniósł broń. Na nasypie rozległ się nagły huk, po czym zza drzew wyłoniło się dwóch kolejnych mężczyzn, którzy zaczęli strzelać do wozu z karabinów. Noc wypełniła się echami, rozbrzmiewającymi wśród wzgórz.

Webster zobaczył, jak Clanton i Nix wpadają z powrotem do skrzyń, a potem, zanim jeszcze ucichła strzelanina, był już w ruchu. Po pierwszym skoku wylądował jedną stopą na piaście wozu, a po natychmiastowym drugim, znalazł się na nasypie, po stronie przeciwnej do strzelców. Wylądował płasko na ziemi, turlając się jak kłoda drewna w stronę najbliższego drzewa. Kiedy nagle wznowiono ostrzał, usłyszał świst kul koło uszu, ale okręcił się wokół wielkiej sosny, poderwał się na nogi i zniknął głębiej w ciemnościach lasu nad nasypem. Usłyszał jeszcze kilka strzałów podążających za nim tak dla zasady, ale nie mogli go widzieć i po prostu strzelali ogólnie kierunku odgłosu kroków jego biegu. Prawdopodobnie po to, by wystraszyć jego i przyszłych woźniców, którzy mogliby usłyszeć jego opowieść.

Ciemności były tutaj takie gęste, że wpadł na kępę krzewów bzu, nie widząc ich. Schylając się, rozsunął krzaki rękoma i wczołgał się w nie, gdzie mógł się zatrzymać i złapać oddech. I poświęcić trochę czasu na zastanowienie się, co się stało. Wszystko to wydarzyło się tak nagle, w porannym półmroku, że nie był w stanie powiedzieć, co się stało.

Clanton i Nix nie zastrzelili mężczyzny w wozie, ponieważ wciąż stał na nogach, gdy Webster uciekł. I dlaczego Clanton i Nix wrócili do skrzyń, gdy zaczęła się strzelanina? Chcieli zranić przynajmniej jednego z rabusiów, ale Webster nie miał szansy zobaczyć, jak któryś z nich pada. Widział tylko niewyraźne sylwetki i pomarańczowe błyski ognia tryskające z luf ich karabinów.

Początkowo czuł się winny, że uciekł z pola walki, ale potem zdał sobie sprawę, że nic więcej nie mógł zrobić. Bandytom prawdę mówiąc udało się go zaskoczyć i rozbroić. Poza tym, niezależnie od tego, czy zrobił to w ten, czy w inny sposób, to jednak wykonywał rozkazy. Faulkner wydał mu

jasne polecenie, by nie walczył z bandytami, a Clanton powiedział mu wyraźnie, że chce, aby Webster nie robił nic, lecz pozwolił zająć się tą sprawą jemu i Nixowi.

Pomimo tego, jednak, Webster nie miał w zwyczaju, uciekać przed walką, a potem usprawiedliwiać się z tego kroku. Miał też wrażenie, że z planem Clantona coś poszło nie tak jak powinno.

Słyszał odgłosy kroków, jakieś rozmowy i sporadyczne krzyki na konie, lecz będąc nieuzbrojony i stojąc wobec czterech ludzi, nawet nie próbował zbliżyć się do wozu, aby zobaczyć, co się dzieje. Albo Clanton i Nix nie żyli, albo kontynuowali swoje plany w jakikolwiek sposób. W tej chwili nie był w stanie tego sprawdzić.

Wychodząc z krzaków i przesuwając się w inne miejsce, natknął się na konie bandytów. Jego pierwszym pomysłem było odwiązanie ich i pozostawienie napastników na piechotę, ale szybko zrezygnował z tego, wiedząc, że lepiej będzie pozwolić im odjechać, a następnie podążać za nimi do ich kryjówki. Szczególnie mocno rzucił mu się w oczy jeden koń, gniado-białej maści, z brunatną lewą przednią i prawą tylną nogą, oraz białą prawą przednią i lewą tylną nogą. Niezwykłe umaszczenie nawet jak na konia Paint Horse.

Zostawił konie w spokoju i odczekał pół godziny, po czym zorientował się, że bandyci zniknęli. Następnie ruszył w stronę drogi, przekradając się od drzewa do drzewa.

Poruszał się powoli i ostrożnie, na wypadek gdyby bandyci pozostawili koło wozu jakiegoś snajpera, w nadziei na jego powrót. Dlatego zamiast podchodzić bezpośrednio w kierunku wozu, skradał się dookoła cicho jak Indianin, od drzewa do drzewa, aż nabrał przekonania, że nikogo nie ma w pobliżu. Dopiero gdy w pełni przeszukał otaczający miejsce napadu las, wrócił do wozu.

Stoczył ze sobą krótką walkę odnośnie swojego zachowania. Prześladowało go poczucie winy, że nie znalazł jakiegoś sposobu, aby pomóc stróżom prawa, lecz żadne jego dywagacje nie wskazały mu, jak mógłby to zrobić. Obaj funkcjonariusze byli kompetentnymi ludźmi wykonującymi swoją pracę i podejmującymi związane z nią ryzyko. Chroniłby ich nawet wbrew ich woli, gdyby wpadli w gorącą wodę, i mógłby pomóc im się z takiej trudnej sytuacji wydostać. Lecz pozwoliwszy się rozbroić, zgodnie z ich sugestiami, stawiając jakikolwiek opór, mógł tylko dać się zabić.

Webster miał dużo odwagi w sercu i wiedział o tym. Prowadził jednak zbyt niebezpieczne życie, by działać nierozważnie, wiedząc, że nie przyniesie to nic dobrego, a jedynie sprowadzi na niego katastrofę. Miał własną pracę do wykonania i jego podstawowym obowiązkiem było ją wykonać.

Przy pomocy takich argumentów oczyścił swoje sumienie i poszedł zbadać wóz. Było już dostatecznie jasno, by wszystko dobrze widzieć, i gdy wyszedł na grzbiet wykrotu obok wozu, zobaczył wszystko tak, jak zostawił. Jeden z prowadzących koni leżał martwy w swojej uprzęży, a pozostałe trzy stały i czekały. Towary i dwie duże skrzynie z jasnej sosny, leżały tak, jak je pozostawił.

Po Clantonie i Nixie nie było śladu.

Co się stało? Czy pojechali za bandytami? Albo…

Wspiął się na koło wozu i podniósł wieko pierwszej skrzyni. Ben Clanton leżał skulony w bezkształtny kłąb, na dnie skrzyni, wciąż ze strzelbą w dłoni i czarnym kapeluszem przekrzywionym fantazyjnie nad uchem.

Webster bez dalszego sprawdzania wiedział, że Ben Clanton nie żyje.

Przesunął się o krok, podniósł wieko drugiej skrzyni i znalazł w niej to, co spodziewał się znaleźć - Henry'ego Nixa martwego w swojej kryjówce.

Delikatnie opuścił wieko skrzyni i przeszukał wóz, nie spodziewając się znaleźć tego, czego szukał. Nigdzie nie było płóciennej sakwy z pieniędzmi.

Rabusie wiedzieli, że ci dwaj oficerowie przyjechali z pieniędzmi. Po prostu zabili ich i zabrali pieniądze.

Wtedy Webstera uderzyła myśl, że jego mogli zabić tak samo łatwo - a nawet łatwiej. Mogli wpakować w niego kulę równie łatwo i bezpiecznie, jak w prowadzącego konia w zaprzęgu.

Dlaczego tego nie zrobili? Rabowali inne wozy, pociągi i stada, ale nigdy nie zabijali, chyba że ofiary w głupi sposób stawiały im opór.

Czy uważali Clantona i Nixa za przeklętych głupców, których trzeba zabić, czy też mieli własny cel w ich usunięciu?

Webster stał na platformie wozu obok dwóch skrzyń zawierających ciała stróżów prawa i ogarnęła go ogromna fala goryczy. Wszystko co wiedział, wydawało mu się oderwane od siebie, ale mimo to w jego umyśle zaczynał kształtować się pewien wzór. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że cały ten okoliczny bandytyzm, nie był tylko długą serią odosobnionych wydarzeń, ale że wszystko pasowało do jakiegoś starannie zaplanowanego planu, który został przemyślany i zorganizowany przez jakiś silny i wyrachowany umysł. Clanton i Nix zajmowali się pewnymi swoimi wątkami, które musiały zostać rozwikłane, a Webster miał własne wątki, nad którymi pracował.

Jednak wszystkie te wątki wydawały się być częściami splecionymi w znacznie grubszy wspólny sznur wydarzeń.

Pomimo, że Clanton i Nix zajmowali się własnymi sprawami, Webster wciąż czuł, że ze względu na ten wspólny wzorzec w całym tym problemie, ich poświęcenie w jakiś sposób nakładało na niego moralny obowiązek kontynuowania śledztwa zarówno dla nich, jak i dla siebie. Uważał, że wszyscy razem pracowali dla ogólnego dobra przyzwoitych ludzi, oprócz tego, że wykonywali jakieś swoje wyznaczone prace, i jego obowiązki również wykraczały poza zwykłą umowę pomocy Swansonowi.

Krótko mówiąc, chociaż Jim Webster nie był człowiekiem, który przyznałby otwarcie, że ma w duszy wiele współczucia i troski o ludzi, w ogólnym tego słowa znaczeniu, to jednak, pomimo twardej skorupy na wierzchu, miał w sobie silne moralne poczucie swoich obowiązków wobec społeczeństwa.

Wyjął łopatę ze skrzynki z narzędziami, zdjął kurtkę i wykopał dwa płytkie groby, obok drogi, pod sosnami. Wyjął im portfele i inne rzeczy z

kieszeni, zabrał odznaki i pogrzebał ich. Następnie umieścił kamienie nad ich grobami, aby wilki i kojoty nie mogły ich wykopać.

Kiedy wracał do wozu, uderzyła go nagła myśl: Clanton i Nix byli przygotowani na ten atak i z pewnością słyszeli głosy, wydające mu rozkazy.

Dlaczego nie udało im się zabić ani zranić żadnego z czterech bandytów?

Analizując w głowie ich pozycje w skrzyniach, przypominając sobie ich obraz, jak obaj nagle podnoszą się z karabinami przy ramionach, biorąc pod uwagę, że ten ruch powinien być zaskoczeniem dla bandytów - dlaczego Nix lub Clanton nie zdołali zastrzelić przynajmniej jednego z napastników?

Szukał w myślach odpowiedzi na to pytanie. Badając różne możliwości, wziął do ręki karabin Clantona i za pomocą dźwigni wyrzutnika wyszarpnął łuskę z lufy, łapiąc ją w dłoń.

Łuska była pusta, a na spłonce widać było wgniecenie po uderzeniu iglicy. Clanton oddał przynajmniej jeden strzał w kierunku rabusiów.

Dlaczego w nikogo nie trafił? Każdy Ranger był wystarczająco dobrym strzelcem, by trafić człowieka z tak bliskiej odległości.

Webster wyrzucił z broni resztę pocisków i policzył je. Clanton wystrzelił tylko raz.

Zastanawiając się nad tym, trzymał w dłoni niewystrzelone naboje. Coś tu było nie tak i nie potrafił określić, co. Lecz gdzieś głęboko w jego głowie pojawiła się pewna myśl, która próbowała wydostać się na powierzchnię. Była to ledwo widoczna, przelotna myśl, która wcześniej pozostała niezauważona, ale teraz próbowała dobić się do jego świadomości ze względu na swoje znaczenie. Webster potrząsnął trzymanymi w dłoni nabojami, siedząc na skraju podłogi wozu i próbując zorientować się, co to było, jaka to myśl próbowała zwrócić na siebie jego uwagę.

Wtedy dotarło do niego coś jeszcze, co wywołało zdziwienie na jego twarzy. Spojrzał na naboje w swojej dłoni i ponownie nimi potrząsnął. Następnie wziął jeden z nich i przytrzymał go między kciukiem a palcem wskazującym, badając go, starając się go wyczuć, oglądając.

Nagle już wiedział, co jest nie tak z nabojem; nie ważył tyle, ile powinien ważyć nabój do Winchestera. Był zbyt lekki.

Wyciągnął scyzoryk i wydobył pocisk z łuski, po czym odwrócił ją do góry nogami, kładąc na dłoni.

*W łusce nie było prochu!*

Popatrzył na inny nabój i na oko wyglądał on jak normalny, dobry ładunek. Był jednak również za lekki, a kiedy go otworzył, okazało się, że w nim także nie ma prochu.

Szybko wrzucił resztę nabojów do kieszeni, wziął drugą broń - karabin Nixa - i odkrył w nim ten sam problem. Znalazł na wpół opróżnione pudełko ładunków, które funkcjonariusze przywieźli ze sobą i zostawili pod ręką w dużej skrzyni, proch został usunięty z każdego naboju w pudełku.

Clanton i Nix kupili swoje karabiny w Woodbine i dostali trefną amunicję, którą mieli walczyć z bandytami!

Teraz Webster już wiedział, co to za myśl próbowała przebić się na powierzchnię jego świadomości.

Podczas tej krótkiej wymiany ognia z broni palnej usłyszał kilka lekkich trzasków, które mogły być jedynie odgłosami eksplodującej spłonki amunicyjnej, słabe dźwięki ginące w mocniejszych eksplozjach sprawnych ładunków.

Clanton i Nix nie mieli szans; karty zostały ułożone przeciwko nim i zginęli, próbując bronić się atrapami naboi.

Zgodnie z regułami Webstera było to morderstwo z zimną krwią i absolutną premedytacją.

Dwaj funkcjonariusze nie zostali zabici, ponieważ stawiali opór napastnikom; zostali skazani na śmierć, zanim jeszcze opuścili Woodbine! Byli stróżami prawa, a ktoś o tym wiedział i chciał ich się pozbyć, zanim zaczną się kręcić po tych wzgórzach. Nieznajomi bandyci zastawili na nich własną pułapkę i złapali ich prosto w nią.

Webster podjął nagłą decyzję; niezależnie od tego, czy oficjalnie była to jego sprawa, czy nie, zamierzał dopaść tych morderców. Clanton i Nix zaufali mu i przygotowali go na każdą wpadkę. Teraz, gdy to się wydarzyło, poczuł się w obowiązku podjąć się pracy, której oni nie zdołali dokończyć, dodając ich zadania do swoich, dopilnowując, by ich śmierć została pomszczona.

Grzebał w pudełkach z artykułami spożywczymi, aż znalazł rolkę sera Longhorn i odciął spory kawałek, aby zabrać go ze sobą. Długo przyglądał się wozowi i zastanawiał się, co stanie się z towarem, dochodząc do wniosku, że prędzej czy później ktoś po niego przyjedzie.

Chciał wiedzieć, kto to będzie.

Jim znalazł wśród towarów puszkę farby i zdjął pokrywkę. Znalazł tuzin nowych lemieszy do pługów, związanych mocnym drutem. Ułamał gałązkę, zanurzył ją w farbie, odwrócił lemiesze i na ich wewnętrznych, wklęsłych stronach namalował numer, który znajdował się na odznace szeryfa, którą znalazł u Nixa, przed pogrzebaniem go. Namalował numer z odznaki na wszystkich lemieszach, spodziewając się, że nawet jeśli zostaną w ogóle zauważone, będą wzięte za numery magazynowe. A jeśli nikt ich nie zobaczy, to nawet użycie pługa ich nie usunie, ponieważ znajdowały się na spodniej stronie ostrza lemiesza.

Oznaczenia te można było namierzyć, nawet gdyby każdy pług na Terytorium Indiańskim musiał zostać odwrócony do góry nogami i przebadany.

Webster ukrył potem karabiny i pudełko z atrapami pocisków w zaroślach, w których sam się wcześniej ukrywał. Następnie wyprzągł konie i puścił dwa z nich luzem, pozostawiając uzdę na jednym z nich, którego zamierzał użyć. Musiał przejechać ćwierć mili, by wydostać się z przekopu, ale potem wrócił na znajdujące się koło wozu wzgórze, do miejsca, gdzie kryli się bandyci, i tu odnalazł ich ślady na ziemi, która wciąż była wilgotna po niedawnych deszczach.

Szedł, prowadząc konia, dopóki nie dotarł po śladach ludzi do miejsca, w którym ukryli swoje konie, po czym wsiadł na konia i w jasnym świetle poranka nie miał trudności z podążaniem ich tropem. Tropiąc ich przez

około pół mili przez las, dotarł do wąskiej ścieżki dla jeleni, gdzie skręcili w prawo i podążali nią przez kilka mil.

Tam zobaczył, że rozdzielili się i pojechali różnymi drogami. Było ich czterech, a on stanął przed trudną decyzją, który trop będzie dla niego najbardziej opłacalny.

Nie było na to prostej odpowiedzi, ale zdawał sobie sprawę, że rozproszyli się, aby oderwać się od ewentualnego pościgu i że spotkają się ponownie w jakimś wcześniej wyznaczonym miejscu. A on był bardzo zainteresowany jego lokalizacją.

Zdecydował więc, że nie ma znaczenia, którym tropem pojedzie, i wybrał ten, prowadzący dalej ścieżką dla jeleni, ponieważ wydawał mu się on najłatwiejszy do jazdy. Ścieżka biegła równo po zboczu góry, nie wznosząc się ani nie opadając w kierunku rozciągających się w dole równin, a on podążał nią powoli i czujnie przez dwie godziny.

Zastanawiając się nad wszystkimi wydarzeniami, które miał za sobą, zaczął odczuwać narastającą w nim silną nienawiść do całej tej organizacji. Sprawa, z którą miał teraz do czynienia, nie była już prostą robotą polegającą na rozbiciu schematycznego planu kradzieży bydła, lecz przekształciła się w coś na kształt gigantycznej ośmiornicy, która pod osłoną wytwarzanej przez siebie chmury, rozpościerała swe macki na wszystkie strony i wysysała życiodajną krew ze wszystkich ludzi.

Macki te, jak teraz już wiedział, były bliskie nawet owinięcia się wokół tak niewinnej ofiary jak Sonia Swanson. Ta myśl przywiodła mu na myśl dziewczynę i poczuł ból, gdy zobaczył, jak nieuchronnie zostanie ona wciągnięta w to brudne bagno. Podczas jazdy próbował wymyślić jakiś sposób, by uchronić ją przed grożącą jej krzywdą, lecz nie widział wielkich szans na jej ochronę.

W końcu dotarł do miejsca, w którym las zaczęły przerywać otwarte przestrzenie, częściowo wypełnione skałami, częściowo płatami gołej trawy, kępami zarośli sosnowych wyrastających z kamienistej ziemi, a dalej kolejnymi płatami trawy i skał.

Znajdował się w pobliżu wierzchołka niskiego wzniesienia i była to ponura i opuszczona ziemia. Zatrzymał się pod osłoną drzew i popatrzył na tę splątaną masę skał, trawy i zarośli. Ścieżka dla jeleni przecinała go, podążając prosto w stronę wyniosłej skalnej ściany, przed którą spoczywał ogromny głaz wielkości dwupiętrowego domu.

Dla Webstera była to podejrzana i niebezpieczna konfiguracja, a jego ręka instynktownie powędrowała do rękojeści rewolweru Clantona, którym zastąpił swoją własną broń zabraną przez bandytów.

Nie było innego sposobu na przedostanie się przez otwartą przestrzeń, jak tylko ruszyć i przejechać przez nią. Skalkulowawszy niebezpieczeństwo i nie widząc innego sposobu dalszego poruszania się po tropie, wyjechał z lasu z ręką na kolbie rewolweru.

Kula z karabinu strąciła mu kapelusz z głowy. Huk broni odbił się od górskich ścian, a on zeskoczył z konia i odprowadził go z powrotem między drzewa.

## Rozdział 7

## Ukryta dolina

Drugi strzał padł w chwili, kiedy Webster dotarł do osłony lasu i odwrócił się na czas, by zobaczyć unoszący się kłąb dymu zza jednego z dużych kamieni na otwartym polu.

— A więc, tak to wygląda — powiedział do siebie. — Cokolwiek jest przede mną, jest na tyle ważne, by trzymać tutaj posterunek strażniczy. Coś więc znalazłem, niezależnie od tego, czy to zbyt wielka rzecz, by sobie z tym poradzić, czy nie.

Mówił do siebie na głos, ale jego umysł był skupiony na skale, za którą krył się snajper. Słońce było wysoko nad wielkim jak dom głazem, oświetlając całe pole przed nim. Najbliższa przestrzeń przed nim nie dawała mu żadnych możliwości osłony, aby mógł ruszyć w kierunku ukrytego strzelca.

Miał jednak ochotę odrobinę sobie porozmawiać z tym dżentelmenem. Tak jak to kalkulował, każdy kogo pozostawiono tutaj, na takim monotonnym posterunku wartowniczym, musiał być człowiekiem niezbyt wysoko postawionym w szeregach rabusiów, a co za tym idzie, nie był zapewne zawodnikiem wagi ciężkiej pod względem umysłowym. Webster był przekonany, że jeśli uda mu się dostać w swoje ręce tego dżentelmena, może znajdzie sposób aby przekonać go do mówienia. Zwłaszcza, że mając w pamięci zabójstwo funkcjonariuszy prawa, Webster prawdopodobnie nie wykazałby się specjalną cierpliwością, w przypadku niechęci snajpera do dosyć szybkiej i obszernej rozmowy.

Wycofał konia nieco bardziej w głąb lasu i przywiązał wodze do drzewa, ani na chwilę nie odrywając wzroku od głazu, zza którego padł strzał.

Co zamierzał zrobić snajper? Jedno było pewne, będzie się zastanawiał nad tym samym, co on. A człowiek, który zastanawia się, co będzie dalej, zazwyczaj jest nerwowy i dociekliwy. Jego ciekawość prędzej czy później będzie domagała się zaspokojenia.

Webster podczołgał się więc na skraj lasu i usiadł za drzewem z bronią w ręku i wzrokiem utkwionym w skale, przygotowując się mentalnie na przeczekanie strażnika. Dysponował dużą dozą cierpliwości i znał ludzi na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że człowiek, który strzelał do innego człowieka i nie zna skutków swoich strzałów, prawdopodobnie będzie bardzo ciekawy tego, jakie one były.

Webster skrył się więc, aby go wyczekać, nie pozwalając sobie na najmniejsze nawet wątpliwości odnośnie tego, co ostatecznie zrobi

snajper. Postawił sobie zadanie upewnienia się, że go wyczeka, więc skupił się na tym jedynym celu.

Czas oczekiwania poświęcił nie myślom o tym człowieku, lecz o możliwościach tego, co znajdowało się w pobliżu. Widać było, że wartownik miał jakiś interes, żeby tu tkwić; nie przyjechał przecież tutaj tylko po to, aby powstrzymać ewentualny pościg przed dalszym podążaniem tropem rabusiów. Zwłaszcza, że możliwość pościgu raczej nie powinna przyjść bandytom do głowy.

Przestępca wytrzymał pół godziny. Potem musiał uznać, że wystraszył Webstera, bo Jim zobaczył, jak nagle biegnie zza swojego głazu do innego, większego.

Webster podniósł wtedy rewolwer i wycelował go w krawędź nowej kryjówki wartownika.

Następnie bandyta wyłonił się zza wielkiej skały, dosiadając ukrytego tam konia. Odwrócony był plecami do Webstera i kierował konia w stronę olbrzymiej skały, która znajdowała się przed pionową ścianą następnej góry.

Webster oparł kapelusz o pień stojącej przed nim sosny, a następnie oparł o niego rewolwer. Rewolwer nie jest zbyt celną bronią na większe odległości, a jego odrzut po wystrzale może zniweczyć umiejętności strzeleckie człowieka na tyle, że nie trafiłby on do celu położonego w odległości, w jakiej znajdował się snajper. Kapelusz między rewolwerem a drzewem powinien zaabsorbować większą część odrzutu.

Powoli i ostrożnie opuścił lufę, aż przyrządy celownicze nie ustawiły się pośrodku pleców bandyty. Przytrzymał broń wycelowaną w jeźdźca i z pełnym goryczy wspomnieniem Clantona i Nixa, powoli i uważnie nacisnął spust.

Jego rewolwer szczeknął i w tej samej chwili zobaczył, jak mężczyzna wyprostował się w siodle, jakby został uderzony w plecy młotkiem. Ramiona bandyty rozłożyły się, jak gdyby przeciągał się po pobudce, po czym jego ciało pochyliło się do przodu, a głowa opadła w kierunku łęku siodła, jakby chciał jeszcze spać.

Następnie mężczyzna zachwiał się na boki i zsunął z siodła. Jedna noga przeleciała nad siedzeniem i zatoczyła łuk w kierunku ziemi. Stopa w drugim strzemieniu zaczepiła się i nie zdołała wypaść z miejsca w którym spoczywała. Upadł więc na ziemię głową do przodu, z jedną nogą wciąż w strzemieniu.

Koń nie przestał kłusować, a teraz, gdy ciągnął za sobą ludzkie ciało, wpadł w panikę. Rzucił się do góry i w dół, raz lub dwa razy, wierzgnął, by uwolnić się od ciągniętego ciężaru, po czym zerwał się do przerażonego biegu.

Webster obserwował konia i zobaczył coś, co wprawiło go w zdumienie. Koń okrążył olbrzymi głaz i zniknął z pola widzenia. Webster czekał, aż pojawi się z drugiej strony, ponieważ między głazem a litą ścianą klifu mogło być tylko wąskie przejście. Jednak koń nie pojawił się po drugiej stronie.

Webster czekał dziesięć minut, a koń wciąż się nie wyłaniał. Albo zatrzymał się w miejscu, albo coś go pochłonęło. Co się stało z koniem,

kiedy wbiegł za głaz? Nie mógł wspiąć się na stromą ścianę klifu, a nie wybiegł z drugiej strony.

Było to zastanawiające i Webster zamierzał poznać odpowiedź na to pytanie. Wrócił do lasu, wziął konia i z bronią w ręku przejechał przez otwarty teren, po czym okrążył wielki głaz.

Po chwili już wiedział co się stało!

Ściana klifu wcale nie była taką monolityczną całością. Tworzyła ją gruba płaska skała, którą jakiś prehistoryczny wstrząs postawił na boku, a którą później erozja tak długo drążyła, aż rozpadła się ona w miejscu położonym za wielkim głazem, tworząc szczelinę o szerokości około dwudziestu stóp.

Teraz Webster zrozumiał, co się stało z koniem. Olbrzymi głaz działał trochę jak zasłona skrywająca drzwi, ponieważ gdy dojechał na miejsce, zobaczył, że szczelina w przypominającej klif skale była w rzeczywistości wrotami do rozległej, zielonej doliny w kształcie spodka z jasnym jeziorem pośrodku.

Wpatrywał się z podziwem w to cudo, gdy nagle zobaczył grupę jeźdźców wyłaniających się z małego zagajnika w środku wielkiej doliny w kształcie spodka i zmierzających w kierunku wejścia.

Zrozumiał znaczenie tego faktu, nie musząc się zbyt długo zastanawiać. Koń zaciągnął martwego strażnika z powrotem w miejsce, w którym znajdowali się ci ludzie i gdzie został natychmiast zauważony. A teraz jeźdźcy wyjeżdżali, aby dowiedzieć się, co się stało.

Webster nie czekał, aby wyjaśnić im, co się stało. Zawrócił konia w przeciwną stronę od przejścia i popędził go w kierunku najbliższej osłony w lesie.

Znalazł coś; zamierzał przeżyć wystarczająco długo, aby dowiedzieć się, co to było, i wiedział dobrze, że zbliżająca się grupa jeźdźców była kompletnie przeciwna tej koncepcji.

Jim nie przejechał jeszcze całkowicie przez otwarte pole i kamienie, gdy oddział jeźdźców wylał się z hukiem z przejścia za wielkim głazem. Kiedy rzucił okiem przez ramię, zobaczył że jest ich pięciu, a oni też natychmiast go dostrzegli.

Usłyszał, jak podnoszą krzyk, i w następnej chwili kula świsnęła mu koło ucha oraz usłyszał huk wystrzału z karabinu. Kilka innych strzałów nastąpiło w szybkiej serii, lecz strzały bandytów, jadących na rozpędzonych koniach, nie były celne i szybko dotarł do drzew, choć kule wyły mu wokół głowy jak szerszenie.

Webster nie miał zbyt wiele czasu, aby się nad tym zastanowić, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie ma szans, na ich wyprzedzenie. Jechał na koniu pociągowym, a ci ludzie siedzący na szybkich koniach wierzchowych mogli go dogonić w krótkim czasie, ponieważ po obu stronach ścieżki dla jeleni, krzaki i drzewa były takie gęste, że nie byłby w stanie zjechać z niej i skręcić w głębszy las.

Pod wpływem impulsu podjął decyzję i wyhamował nieco konia wjeżdżając pod gałęzie jednego z olbrzymich dębów, które w tym miejscu rosły na przemian z sosnami i tworzyły nad szlakiem prawdziwy baldachim konarów.

Wystarczył mu jeden szybki ruch, aby unieść nogi i postawić stopy na grzbiecie konia. Stał już, gdy zwierzę znalazło się pod dębem.

Jim wykonał jeden skok z uniesionymi ramionami. Jego nogi zahaczyły o zwisającą gałąź, poślizgnęły się na chwilę, a następnie złapały ponownie przyczepność i podtrzymały go. Koń nadal biegł ścieżką i uwolniony od ciężaru jeźdźca ruszył szybkim tempem, popędzany strachem przed dobiegającym z tyłu hukiem wystrzałów.

Wisząc na gałęzi, Webster uniósł nogi i wskoczył na drzewo. Poruszając się tak szybko, jak tylko mógł wśród powstrzymujących go gałęzi, wspinał się coraz wyżej, aż w końcu listowie skryło go przed widokiem z ziemi.

Odgłos tętentu kopyt robił się coraz głośniejszy, waląc mu w uszach i ledwie usadowił się na swojej wysokiej grzędzie, kiedy czterech jeźdźców przejechało jeden za drugim ścieżką dla jeleni i pomknęło dalej.

Webster odetchnął z ulgą, ale wiedział, że nie jest w tej okolicy bezpieczny. Porzucił konia, aby ścigający pojechali za nim, podczas gdy on znalazł sobie kryjówkę, wiedział jednak, że teraz, będąc na piechotę w tych dziwnych górach i to tuż u wrót kryjówki bandytów, znalazł się w trudniejszej sytuacji, niż kiedykolwiek wcześniej.

Ścigający wkrótce dogonią jego konia i odkryją, że go puścił wolno, a to powie im, iż Webster nadal jest gdzieś w pobliżu. Nie miał pojęcia, ilu jeszcze ludzi znajdowało się w tej dużej dolinie, ale jednej rzeczy był całkowicie pewien: przeczeszą lasy dokładnie, w jego poszukiwaniu.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, że mogą zdecydować się na rezygnację z poszukiwań, ale szybko porzucił tę myśl. Musieli podejrzewać, że jest woźnicą z obrabowanego wozu, i wiedzieli, że nie mogą pozwolić mu przeżyć, zdając sobie sprawę z tego, iż odnalazł ich kryjówkę. Ich zadaniem było złapanie go i zabicie, w celu uratowania swych własnych skór. Zaś przewaga była po ich stronie, ponieważ znali te tereny, a on był tutaj obcy.

Zdecydował, że to drzewo było tak samo bezpieczne, jak każde inne miejsce w okolicy, jakie byłby w stanie znaleźć, zaś jeśli zacznie szukać lepszej kryjówki, pozostawi ślady w błocie, które będzie można odczytać równie łatwo, jak człowiek potrafi odczytać tablicę informacyjną. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie przejrzą jego gry i nie znajdą go, zanim zapadnie ciemność, która da mu szansę na ucieczkę. Spędził wyczerpujące dwadzieścia cztery godziny bez snu, a teraz czekało go długie oczekiwanie w niewygodnej pozycji, zanim będzie miał jakąkolwiek nadzieję na możliwość uniknięcia schwytania.

Na myśl o swojej sytuacji, musiał aż się uśmiechnąć do siebie. Siedział wysoko na gałęziach starego, sękatego dębu, i zabijał czas, zastanawiając się, jak sowy mogą spać w trakcie dnia, w takich miejscach. Zdecydował, że sowy prawdopodobnie mają własny sposób siadania na grzędach z gałęzi drzew, lecz w tych okolicznościach, lepiej żeby nie zasypiał.

Drzewo, na którym się ukrył, znajdowało się mniej niż dziesięć stóp od skraju lasu, a wspinając się wyżej, do miejsca w którym listowie się przerzedzało, mógłby wyjrzeć na polanę i zobaczyć skałę blokującą wejście do doliny.

Zsunął się z powrotem na dół, w gęstsze listowie, gdy usłyszał tętent kopyt koni powracających jeźdźców. Zbliżali się powoli, gęsiego, przejeżdżając pod jego drzewem i zatrzymując się na skraju polany, gdzie zbili się w grupę.

Kiedy zaczęli rozmawiać między sobą, Webster usłyszał jeden głos, który rozpoznał. Nie mógłby tak szybko zapomnieć chropawego głosu Flinta, a Flint mówił tak, jakby był przywódcą tej małej grupy.

— To pewne, że nie zdoła daleko uciec bez konia — przemawiał Flint. — Od tych wzgórz czeka go długa droga, a on nie wie, jak się tu poruszać.

— Może on nie chce na razie jeszcze stąd uciekać — padła opinia.

Flint powiedział:

— Chock, jesteś pewien, że ten facet co prowadził wóz, to ten sam, który wdał się ze mną w bójkę w saloonie?

— Patrzyłem na niego prosto przez muszkę na lufie karabinu, prawda?

— Tak, ale było ciemno.

— Już zaczynało świtać. Przyjrzałem się temu hombre i rozpoznałbym go wszędzie.

— To zabawne — dyskutował Flint. — Faulkner mówił, że on jest w porządku. Gdyby grał razem z nami, to powinien wziąć jednego z koni, wrócić i zgłosić napad Faulknerowi; co on mógłby tu chcieć wywąchać?

— Był czegoś ciekaw albo coś w tym stylu — dodał inny mężczyzna. — Może był jednym z ludzi tego szeryfa, pracującym pod przykrywką.

— Nie, nie był — nie zgadzał się Flint. — Jeden z ludzi Faulknera obserwował go przez cały czas, kiedy był w mieście. Nie zamienił ani słowa ze stróżami prawa, a oni go nie znali. Wyruszył aby dowiedzieć się wszystkiego, co zdoła wyniuchać sam. Może być jednym z tych gości, którzy lubią grać na własną rękę i podczepiać się do czyjegoś show. Tak właśnie o nim myślę. Jest za twardy, żeby być stróżem prawa. Jakoś nie widzę na nim oznak szeryfa.

— Więc co zrobimy?

— Posłuchaj, Chock. Tym razem zostań gdzieś tutaj. Uwiąż konia i usiądź gdzieś w tym miejscu, na skraju drzew. Jeśli znów zacznie się podkradać, poczekaj, aż cię minie, i zajdź go od tyłu. Nie popełnij błędu Benny'ego i nie pozwól żeby to on cię podszedł.

— To dosyć trudna robota — odpowiedział Chock. — Może lepiej, żeby zostało nas dwóch.

— Jeden człowiek wystarczy, jeśli będziesz miał dosyć rozumu, żeby zrobić to, co powinieneś — mruknął Flint. — Gdyby Benny nie zawalił sprawy, nie dostałby kuli w plecy. Zostań tutaj, aż zrobi się ciemno. Przyślę tu nowego człowieka, żeby cię zmienił. I miej oczy szeroko otwarte.

Po krótkiej chwili dalszej rozmowy grupa odjechała, zostawiając tylko jednego człowieka o imieniu Chock.

Webster siedział na swoim drzewie zupełnie bez ruchu, śledząc uchem poczynania pozostawionego wartownika, gdy ten zsiadał z konia i odprowadzał go z powrotem do lasu. Mężczyzna odstawił konia zaledwie kilka stóp dalej, a następnie wrócił i zaczaił się w ciszy. Zatrzymał się

gdzieś prawie pod Websterem, który nie mógł go dostrzec, ale domyślił się tego po cichych szelestach, jakie wartownik wydawał, poruszając się.

Webster znalazł się teraz w potrzasku, ponieważ ledwo mógł się ruszyć na drzewie, sam nie wydając żadnych dźwięków. A już był zdrętwiały od tak długiego pozostawania w niewygodnej pozycji, w rozwidleniu gałęzi drzewa.

Jim czekał w milczeniu, czując się coraz bardziej niekomfortowo, w miarę jak czas powoli upływał. Usłyszał pod sobą trzask zapałki, i wkrótce kuszący dym papierosa wzbił się ku niemu i przypomniał mu, jak długo on sam nie jadł, nie pił i nie palił. To będzie bardzo trudne oczekiwanie.

Ale teraz Webster dowiedział się jeszcze jednej rzeczy. Ponieważ dym unosił się prosto w górę, mężczyzna musiał być dokładnie pod nim. Wytrzymał tak jeszcze godzinę, w czasie której stawało się dla niego coraz bardziej oczywiste, że nie da rady pozostać bez ruchu w swojej niewygodnej pozycji, aż do zmroku. Musiał uciekać teraz, zanim jego nogi zrobią się takie sztywne, że jego możliwości ruchowe zostaną poważnie upośledzone.

Rozważył wszystkie możliwości i odrzucił większość z nich. Następnie wyjął kulę z pasa z nabojami i był już bliski rzucenia jej w pewnej odległości od drzewa, aby wzbudzić ciekawość obserwatora. Mężczyzna pójdzie zobaczyć, co tam upadło, dając mu tym samym czas na zejście i stawienie mu czoła.

Lecz to oznaczałoby strzelaninę, a Webster nie chciał ponownie zwracać uwagi bandytów w ukrytej dolinie. Musiał znaleźć jakiś inny sposób.

W końcu zdecydował się na jedyną możliwą metodę realizacji swojego celu. Było to ryzykowne, ponieważ groziło narobieniem hałasu, który natychmiast przyciągnąłby uwagę strażnika. Ale musiał zaryzykować.

Webster zaczął opuszczać jedną stopę z gałęzi, na której stał, w kierunku gałęzi poniżej. To był długi krok i musiał go zrobić całkowicie bezgłośnie. Nie spieszył się, aby opuścić jedną stopę, a potem, zaczepiając się brzuchem o gałąź, zaczął opuszczać drugą stopę. Zejście na następną gałąź zajęło mu około pięciu minut, ale zrobił to nie zwracając na siebie uwagi.

Poświęcił odpowiednio dużo czasu na opuszczenie się o kolejne pięć kroków, gałąź po gałęzi, i wtedy znalazł się już wystarczająco nisko, aby dostrzec przez liście co się dzieje pod nim.

Strażnik siedział oparty plecami o drzewo, z czarnym kapeluszem nasuniętym na twarz i karabinem na kolanach. Webster uznał, że albo śpi, albo prawie śpi. Stał na gałęzi około dziesięciu stóp nad wartownikiem i poniżej nie było żadnych innych gałęzi, z których mógłby skorzystać przy dalszym schodzeniu. Nie miał innego wyjścia, jak tylko pokonać resztę drogi jednym skokiem.

Wyciągnął rewolwer z kabury, uwiesił się na gałęzi i puścił. Wylądował z łomotem na kolanach mężczyzny, upadając po utracie równowagi.

Jego lądowanie na moment wprawiło śpiącego człowieka w osłupienie i strąciło mu z głowy kapelusz. W tym czasie Webster poderwał się na kolana obok mężczyzny. Uderzył go lufą rewolweru w głowę, w chwili gdy

usta wartownika otwierały się do krzyku. Krzyk jednak zamarł mu w gardle, gdy broń Webstera uderzyła go w ucho.

Potem Jim rzucił się na niego, a bandyta rozpaczliwie walczył o wyciągnięcie swojej broni. Webster wyrwał mu ją z kabury i rzucił w zarośla.

Mężczyzna, którego indiańska krew była widoczna w jego błyszczących czarnych oczach i czerwonej skórze, walczył zaciekle. Był duży i obszerny w barach, a ciosy, które zadawał Websterowi, były bolesne. Leżał na plecach, Webster przyciskał go do ziemi, ale bandyta był daleki od pokonania i zadawał Jimowi niemal tyle samo bólu, ile otrzymywał.

Kiedy jego uderzenia nie zdołały spowolnić Webstera, zmienił taktykę, unosząc ręce, by podrapać twarz Jima. Chciał zaatakować mu oczy, ale Webster zorientował się, że będzie musiał szybko przerwać tę akcję. Przycisnął twarz do klatki piersiowej bandyty i zaczął walić go po głowie lufą rewolweru, aż tamten stracił przytomność.

Strażnik w końcu zwiotczał i przewrócił się na bok, tracąc wszelkie zainteresowanie walką. Był nieprzytomny, jego głowa i twarz pokryte były masą krwawych ran.

— Przepraszam, Indianinie — powiedział Webster. — To skutek złego towarzystwa. Zobaczymy się ponownie, jeśli przeżyjesz to wszystko.

Indianin nie odpowiedział. Był nieprzytomny.

Webster złapał go za kołnierz koszuli i odciągnął z dala od ścieżki, a następnie znalazł konia Indianina i zabrał go ze sobą. Odciął kilka kawałków liny z lassa strażnika oraz związał mu ręce i nogi, po czym przerzucił go przez siodło i wprowadził konia głębiej w las, dalej od szlaku.

Z zadowoleniem patrząc na dużą kępę krzewów czarnego bzu i pokrzyków, rosnących gęsto nad bulgoczącym źródełkiem, zdjął mężczyznę z konia i zaniósł go w zarośla, gdzie zbadał węzły na jego nadgarstkach i stopach, a następnie przywiązał go plecami do pnia dużego drzewa persymony. Potem wziął chustkę i zrobił z niej knebel, wkładając go do ust więźnia i mocno zawiązując.

Jim zbadał swoje dzieło i ocenił, że strażnik nie może ani uciec ani narobić hałasu, aby przyciągnąć przechodzących przyjaciół. Zadowolony, że bandyta nie będzie w stanie wyrządzić mu żadnej krzywdy, wziął jego konia i poszedł poszukać bezpieczniejszego dla niego miejsca.

Teraz był jeszcze bardziej zdecydowany niż przedtem, że dokładnie rozejrzy się po tej dolinie. Przypominało to włożenie głowy w szczęki stalowej pułapki na niedźwiedzie, ale miał zamiar to zrobić, kiedy tylko zrobi się ciemno.

To miejsce było powiązane z oszustami w Woodbine, więc takie działanie było uzasadnione. Pomyślał o Clantonie i Nixie, którzy już nie żyli, i wiedział, że chcieliby być z nim w tej wyprawie.

Napił się wody ze źródła, zjadł trochę sera i przespał się w bezpiecznej kępie krzaków, dopóki nie zrobiło się prawie ciemno, wtedy wrócił i zajął pozycję koło szlaku, czekając na człowieka, który miał zastąpić Chocka na warcie.

Zmiennik wyjechał zza dużego głazu chwilę po zmierzchu i wjechał na szlak. Za drzewem czekał Webster z wyciągniętą bronią.

Bandyta zatrzymał konia i zsiadł, najwyraźniej niezbyt przejmując się zachowaniem czujności. Zagwizdał, najwyraźniej w sygnale dla Chocka, a następnie zaczął przywiązywać konia do drzewa. Zawiązał węzeł na wodzach, gdy Webster wyszedł z ukrycia i podszedł do niego, celując z broni w plecy człowieka.

— Tylko trzymaj ręce bez ruchu na drzewie – rozkazał.

Bandyta obejrzał się przez ramię, szeroko otwierając oczy. Trzymał ręce na zawiązanych wodzach, podczas gdy Webster podszedł i zabrał jego broń.

— Tylko bądź cicho — ostrzegł go Webster — a przeżyjesz, i może jeszcze zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Otwórz tylko usta, a dołączysz do Chocka.

— Zabiłeś go?

— Nigdy się nie dowiesz, jeśli nie będziesz posłuszny. Teraz po prostu połóż ręce na kapeluszu, a ja sprawdzę, czy pamiętam, co zrobić z liną.

Po piętnastu minutach Webster związał mężczyznę, zakneblował go i przywiązał liną do tego samego drzewa, do którego przywiązany był Chock. Chock odzyskał odrobinę przytomności i śledził ruchy Webstera z pełnymi jadu oczyma.

— Powiem wam coś, chłopcy — oznajmił Webster. — Rzeczy nie zawsze są takie, na jakie wyglądają. Panowie, może się okazać, że jeszcze będziemy współtowarzyszami w siodle. Człowiek nigdy nie wie, co się może wydarzyć, prawda?

A, ponieważ byli zakneblowani, żaden z nich nie odpowiedział.

Webster roześmiał się z nich i wyprowadził konia ostatniego człowieka z zarośli. Było już ciemno, zaś przed nim rozciągała się ukryta dolina, skrywająca tajemnice, które miał wyjaśnić.

## Rozdział 8

## Raj dla złodziei

Webster odczekał jeszcze chwilę, po czym zsiadł z konia i prowadząc go, ominął krawędź otwartego pola przed skałą i w końcu dotarł do wielkiego głazu blokującego wejście do doliny. Tutaj zostawił konia i z rewolwerem w ręku, trzymając się najciemniejszych miejsc, bezszelestnie podążał wzdłuż ściany klifu, aż dotarł do wielkiego kamienia. Teraz najważniejsze było sprawdzenie, czy jakiś inny człowiek nie pilnuje wylotu doliny.

Musiał przejść przez przestrzeń, która była na tyle odsłonięta, że gwiazdy oświetlały ją odrobiną światła, i w tym tkwił element zagrożenia. Nie było jednak sposobu, na uniknięcie tego ryzyka.

Jim ruszył raptownie do przodu, przebiegając truchtem oświetloną przestrzeń, a jego but kopnął jakiś mały kamień, który zagrzechotał w ciszy nocy. Z kliknięciem odciągnął kurek i uniósł broń, omiatając ciemność przed sobą. Jego hałaśliwy krok nie wywołał jednak żadnego alarmu.

Ruszył dalej do wejścia doliny, zaglądając między wrota wyłomu w skalnej ścianie, i nadal nie napotkał żadnego przeciwdziałania. Widać było, że bandyci uznali straż przy ścieżce za wystarczającą ochronę.

Wrócił, zabrał konia i bez przeszkód wjechał do doliny. Pamiętając, że widział ją tylko raz, za dnia, przypominał sobie, że jezioro leżało mniej więcej na wprost wejścia, pośrodku tej wielkiej doliny o kształtach misy. Było częściowo otoczone niewielkimi wierzbami i innymi drzewami, a wokół niego pasło się kilka krów.

Z jego lewej strony, czyli między jeziorem a północną ścianą misy, wyłonili się jeźdźcy, którzy go odkryli. Wyjechali oni z jakiejś rozproszonej grupy drzew, która zdawały się rozciągać od stromej ściany doliny prawie do samego jeziora. Webster doszedł do wniosku, że wśród tych drzew muszą znajdować się jakieś domy lub inne miejsca schronienia dla przestępców. Chciał dobrze przyjrzeć się niektórym z tych krów, a potem chciał zobaczyć, gdzie kryją się ludzie.

Licząc na to, że bandyci czują się wystarczająco bezpiecznie, by nie wystawiać straży kręcących się po dnie doliny, śmiało pchnął konia przez trawę w kierunku jeziora, które ledwie mógł dostrzec w świetle gwiazd, z odległości pół mili.

Kiedy zbliżył się do grupy bydła leżącego obecnie w pobliżu jeziora, odwiązał od siodła lasso i jednym ruchem rozprostował pętlę. Gdy podjechał bliżej, krowy podejrzliwie podniosły się na nogi. Przerzucił pętlę

przez szyję najbliższej z nich i zatrzymał konia. Podziękował człowiekowi, któremu go ukradł, za to, że dosiadał zwierzęcia, wiedzącego jak pracować z bydłem. Koń wybrał luz liny i przytrzymał ją, cofając się, gdy wściekła krowa zaczęła skakać, walcząc z lassem.

Webster był już na ziemi, podążając ręką za naprężoną liną i przytrzymał krowę za rogi, zanim zdążyła zrozumieć, co zamierza. Szybko wykręcił jej kark, przewrócił ją na bok i przytrzymał leżące zwierzę, na czas potrzebny do zbadania dwu znaków, które widział niewyraźnie na jej barku.

Pierwszy znak, stary, było to podwójne H połączone czterema pionowymi liniami i poziomą kreską biegnącą od środka pierwszej linii do środka ostatniej. Widział kiedyś podobne oznaczenie, które nazywało się Picket Fence.

Był to znak trudny do przerobienia dla złodzieja, ponieważ każde nadpisywane oznakowanie, wykonane z prostych linii, które można by zastosować, miałoby podejrzany wygląd, a każde oznakowanie z zakrzywionymi liniami nie byłoby w stanie zakryć prostych linii oryginalnego.

Podwójne H nie zostało jednak naruszone. Zamiast tego wypalono na nim żelazną literę X, znak sprzedaży zwierzęcia, a poniżej umieszczono inny znak. Drugi znak był świeży, skóra krowy wciąż się łuszczyła; był to prosty łańcuch z trzech ogniw, w równym rzędzie. Trudno byłoby tym znakiem zakryć jakikolwiek inny.

Webster puścił krowę i złapał trzy lub cztery kolejne, znajdując jeszcze jedno podwójne H i kilka innych znaków, których nie rozpoznawał. Ale wszystkie miały przekreślone stare znaki i wypalony pod nimi łańcuch.

Historia, jaką te oznakowania mogły opowiedzieć, była taka, że różne firmy sprzedały bydło firmie używającej Łańcucha. To było wszystko, co można było wyczytać ze znalezionych znaków.

Ale, na obecną chwilę, powiedziały Websterowi wystarczająco dużo. Puścił ostatnią krowę i objechał jezioro, kierując się w stronę lasu, który jak podejrzewał był kryjówką złodziei, ścigających go wcześniej tego dnia.

Na skraju lasu zsiadł i spętał konia, chcąc spokojnie zbadać okolicę.

Ocenił, że las nie zajmował więcej niż pięć akrów, a to nie było zbyt wiele, aby można było go przebadać pieszo, nawet w butach na wysokich obcasach.

Zostawiając konia w gęstym cieniu na skraju drzew, ruszył w stronę krawędzi doliny, przemierzając pięć akrów lasu w tę i z powrotem, od punktu położonego najbliżej jeziora w kierunku wysokiego obrzeża.

Przeczesał już ponad połowę terenu, gdy natknął się na corral, w jednym z końców z szopą na słupach. Pokonał ogrodzenie i przeszedł między kilkunastoma pasącymi się tam końmi, badając ich znaki, z których wszystkie były mu co prawda obce, ale dobrze je zapamiętał.

Następnie wyszedł z corralu i udał się pieszo w kierunku obrzeża doliny. Tam, gdzie były konie wierzchowe, musieli być ludzie, którzy ich używali.

Nie uszedł daleko, kiedy usłyszał przyciszone dźwięki muzyki i zatrzymał się, aby je zidentyfikować. Gdzieś przed nim skrzypce i gitara wykonywały bardzo kiepską robotę, grając unisono starą piosenkę.

Szedł teraz ostrożniej, przemykając pod drzewami, od cienia do cienia. Zanim się zorientował, dotarł do pierwszego domu.

Wszędzie było tu ciemno, ale bez wątpienia stał koło małej chatki z sosnowych desek. Zobaczył maleńką szczelinę w kształcie litery L z której wypadało światło, prześwitujące bokiem i górą okna, zakrytego jakąś tkaniną, być może końską derką. W chacie słychać było głosy, a gdy podszedł do okna, usłyszał szmer rozmów oraz odgłosy gry w pokera: tasowanie kart i brzęk pieniędzy rzucanych na stół, w miarę postępu rozgrywki. Ocenił, że w grze brało udział co najmniej pół tuzina ludzi. Ruszył dalej, odnajdując jeszcze cztery lub pięć małych jednopokojowych chat, wszystkie były ciemne.

Potem podszedł bliżej do ściany kanionu i stojąc w ciemności pod drzewem, przyglądał się czemuś, co dostrzegł w świetle gwiazd. Oto było źródło słyszanej wcześniej muzyki.

Z płaskiej, pionowej ściany skalnej, otaczającej dolinę, wystawał długi budynek magazynowy, który był zdecydowanie za duży jak na tak małą osadę, jaka mogła kryć się tutaj pod drzewami. Przyjrzał mu się dokładniej z pewnej odległości i zauważył jeszcze jedną osobliwą rzecz, która przyciągnęła jego wzrok i wzbudziła ciekawość, gdy słuchał muzyki.

Zobaczył bezpośrednio nad dachem budynku gwiazdy, zawieszone tak nisko na niebie, że nie mogłyby być widoczne z punktu w którym stał, gdyby skała była tutaj równie wysoka, co w innych miejscach.

Odniósł wrażenie, że skład znajduje się w jakimś wycięciu lub otworze w otaczającej dolinę ścianie, być może przesmyku podobnym do tego, przez który wszedł. Wychodząc spomiędzy drzew, dotarł do bezpiecznej jeszcze głębszej czerni obok budynku i rozpoczął jego badanie.

Najpierw dowiedział się, że jego przypuszczenia były słuszne; budynek faktycznie działał jako rodzaj zamknięcia, szerokiego na około sześćdziesiąt stóp, otworu w skale. Przeszedł wzdłuż ściany budynku, szukając okien, ale wyglądało na to, że nie było żadnych, przynajmniej po tej stronie.

Zaczął iść w stronę bliższego końca budynku, ale zahamował, gdy obchodził jego narożnik i szybko się cofnął. Na końcu budynku znajdowały się drzwi, które właśnie zostały otwarte, i wyłoniło się z nich dwóch ludzi, otoczonych żółtym światłem lamp ze środka. Ludzie ci zamknęli za sobą drzwi i stali przez kilka minut na ganku, po czym wrócili do środka, ponownie odsłaniając światło lamp, gdy na chwilę otworzyli drzwi.

Webster odczekał chwilę, by upewnić się, że nikt inny nie ma zamiaru wychodzić, po czym przemknął przed gankiem i zaczął badać drugą stronę budynku.

Po tej stronie znajdowała się szeroka dobudowana szopa - wiata ze skośnym jednospadowym dachem, która bardzo go zainteresowała. Przybudówka wyglądała na niezbyt wypełnioną, i wszedł do niej, skryty teraz w ciemności tak zupełnej, że nie widział nawet swojej trzymanej przed nosem ręki.

Zaczął badać na dotyk wnętrze przybudówki i ze zdumieniem stwierdził, że rzeczywiście nic w niej nie ma. Ciągnęła się ona przez całą długość tego wyjątkowo długiego budynku, a jej drugi koniec zamykała duża para sosnowych wrót, przytrzymywanych przez drewnianą sztabę. Podniósł ją bezszelestnie, lekko uchylił jedno skrzydło drzwi i przeszedł przez nie.

Gdy zamknął wrota od zewnątrz, znalazł się ponownie w świetle gwiazd i rozejrzał się, stwierdzając, że jest na placu dla koni, na którym stało uwiązanych pół tuzina zwierząt.

Ten koniec składu również posiadał wejście, tak samo jak jego przeciwległa strona - z tą różnicą, że ten koniec składu znajdował się całkowicie poza ukrytą doliną, wychodząc na otwartą przestrzeń koło placu dla koni.

Zdziwiony Webster zauważył, że ziemi pod jego nogami nie porastała trawa, lecz była ona zupełne rozjeżdżona kopytami, co wskazywało, że było to często używane miejsce.

Rozglądając się dalej, dostrzegł kilka innych budynków i jedną długą szopę. Przeszedł przez otwartą przestrzeń do szopy i odkrył, że kryła ona w środku mały tartak. Na łożu obok piły leżała duża sosnowa kłoda, a z drzwiczek małego przenośnego silnika parowego, napędzającego piłę, wydobywał się matowy blask. Na płozie obok łoża spoczywał stos kłód, a ze stosu trocin usypanego kilka stóp niżej, unosił się zapach świeżego sosnowego drewna. Stos nowych żółtych podkładów kolejowych mówił wiele o tym przedsięwzięciu. Było tętniące życiem obozowisko drwali wytwarzających podkłady, ale teraz w całej tej placówce nie było widać ani jednego światła, nawet z tego końca długiego budynku magazynowego, z którego dochodziła muzyka.

Wszystko to było niejasne i bardzo zagadkowe dla Jima Webstera. Stał i przyglądał się temu dziwnemu miejscu, próbując wyobrazić sobie związek między obozem wytwórców podkładów, a ukrytą doliną.

Żaden rozsądny robotnik produkujący podkłady nie mógł nie wiedzieć o dolinie, a jego zdaniem ten skład został zbudowany w przejściu przez pierścień skał, aby w celowy sposób uniemożliwiać dostanie się do doliny.

W dolinie były krowy, ale w drugim wejściu nie było wystarczająco dużo miejsca, by ludzie mogli je tamtędy wpędzić. Co ważniejsze, żadne stado krów nigdy by nie przeszło do tej doliny wąziutką ścieżką dla jeleni, którą podążał.

Wtedy dotarło do niego, jak to wyglądało. Wszedł do tego ukrytego miejsca niejako tylnymi drzwiami. Prawdziwym wejściem było to obozowisko drwali; był to jedyny sposób, w jaki można było dostać się do środka doliny, ze stadem krów lub wozem wypełnionym drewnem do budowy domów.

Mogli wjechać do doliny przez wrota tej przybudówki, przez którą on wyszedł.

To było idealne; to było sprytne! Wystarczyło przeprowadzić stado bydła lub wóz ze skradzionymi łupami drogą do wyrębu, wjechać prosto do przybudówki obok starego budynku składu i - proszę bardzo – kiedy się

tam człowiek znalazł, góry jakby go pochłonęły. Znikał w twierdzy niemal niemożliwej do spenetrowania.

Przecież, paru ludzi mogłoby obronić tamto tylne wejście przed całą armią. A pół tuzina ludzi mogłoby obronić to wejście przed równie dużą liczbą przeciwników, którzy chcieliby je sforsować.

Webster musiał podziwiać umysł, który wymyślił cały ten projekt, tak sprytnie wykorzystując naturalną dolinę starego, wygasłego krateru wulkanicznego.

A znał tylko jeden umysł w tym kraju, któremu mógłby przypisać pomysł na tak duże i skomplikowane przedsięwzięcie.

Wrócił do wrót przybudówki obok budynku i zablokował jedno ze skrzydeł wierzei kamieniem, pozostawiając otwarte wejście. Będzie musiał wrócić do lasu w dolinie, zabrać konia i wydostać się tędy, ponieważ musiał pojechać tą drogą na tyle długo, aby wiedzieć, dokąd ona prowadzi, aby móc ją ponownie odnaleźć. Nie chciał więc zatrzymywać się, aby otworzyć wrota, gdyby musiał się śpieszyć.

Wyszedł z przybudówki od strony doliny i dotarł już niemal do położonego w lesie domu, gdzie odbywała się gra w pokera, kiedy wpadł prosto na jednego z dwóch ludzi, którzy najwyraźniej wychodzili po zakończeniu gry i kierowali się do składu.

Zderzył się z tym człowiekiem, zanim ten go zobaczył, a zderzenie to wywołało zaskoczenie u drugiego z nich.

— Kto to? — rzucił z niepokojem mężczyzna, cofając się podejrzliwie.

— Ja — odpowiedział ogólnie Webster. — To ty, Chock? — Miał nadzieję stłumić podejrzenia mężczyzny.

Lecz w dłoni drugiego mężczyzny nagle zapłonęła zapałka, a jej słabe światło padło na twarz Webstera.

— To ten woźnica! — wykrzyknął bandyta. — Bierz go!

Webster uderzył, kiedy tylko gasnąca zapałka wypadła z dłoni mężczyzny, sprawiając, że ciemność stała się jeszcze głębsza niż była przedtem. Rzucił się na pierwszego z przeciwników, używając rewolweru jako maczugi i słysząc, jak łupnął w kości czaszki bandyty. Usłyszał szmer załamujących się kroków zaatakowanego, który zatoczył się do tyłu.

Webster obrócił się, by strzelić do drugiego, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie pod wpływem nagłego napływu ostrożności, nakazującego mu zachowanie ciszy, i zamiast tego rzucił się na niego całą masą swojego ciała.

Dopadł go, uderzając bandytę „z byka”, w momencie, gdy ten strzelał. Pomarańczowy rozbłysk płomieni buchnął z rewolweru w dłoni stojącego tuż obok niego przestępcy, a opary płonącego prochu oparzyły mu twarz. Mężczyzna upadł na plecy.

Webster rzucił się do ucieczki, podczas gdy przewrócony mężczyzna opróżnił bębenek rewolweru w szybkiej serii strzałów ostrzegawczych.

Webster dotarł do miejsca, gdzie uwiązał swojego konia, wskoczył na siodło i ruszył, kiedy usłyszał okrzyki pozostałych, którzy dołączyli do dwóch napastników. Objechał między drzewami, okrążając grupę przestępców i dotarł aż do tylnego ganku składu. Zatrzymał się wśród drzew, obserwując światło wpadające przez otwarte drzwi, dopóki nie

upewnił się, że wszyscy w składzie wybiegli do lasu, aby zobaczyć, co się tam dzieje.

Potem Webster przejechał pusty teren wokół składu, rozpłynął się w ciemności pod przybudówką i wyjechał z doliny.

Na zewnętrznym krańcu szopy, gdzie wychodziła ona na plac, na którym trzymano muły i konie, zatrzymał się na chwilę, aby pomyśleć. Nie znał tej drogi, a jego prześladowcy prawdopodobnie znali ją jak własną kieszeń. Potrzebował więc czasu.

Zamknął wrota przybudówki, po czym odprowadził konia dalej na plac i zaczął zaganiać juczne muły. Gdy udało mu się osaczyć jedno zwierzę przed wrotami, strzelił mu w głowę.

Muł upadł na wrota i tam zdechł. Webster ponownie zaczął zaganiać muły, aż kolejny został unieruchomiony przy martwym, a kula położyła go na pierwszym.

Obecnie na zewnątrz jedynych wrót, przez które konni bandyci mogli wydostać się z doliny, leżało co najmniej dwa tysiące funtów martwych mułów. Był tylko jeden sposób na usunięcie mułów i otworzenie wrót. Ludzie musieliby przejść przez skład na piechotę, złapać jednego z pozostałych mułów i użyć jego oraz lassa do odciągnięcia martwych zwierząt sprzed wrót.

To musiało zająć im trochę czasu, którego Webster tak desperacko potrzebował.

Zadowolony, skierował konia drogą do wyrębu, aby dowiedzieć się, dokąd ona prowadzi. Wiedział, że ta droga musiała być arterią, którą skradzione bydło i towary trafiały do miejsca, w którym mogły być przechowywane, do czasu kiedy będzie można ich się pozbyć.

* * * *

W czasie, kiedy Webster badał ukrytą dolinę, w domu Wade'a Millera, którego córka miała wkrótce wyjść za mąż, odbywało się przyjęcie zaręczynowe. Wśród gości byli Emory Dustin i Sonia Swanson.

Gdy większość uroczystości dobiegła końca, a goście zajadali się ciastem, popijanym gorącą czekoladą, Dustin, który właśnie wrócił z podróży służbowej na Terytorium, przekazał najnowsze wieści.

— To jest naprawdę coś jak z książek — oznajmił. — Sądzę, że Woodbine odwiedził - i zrobił z nas głupców - jeden z najsprytniejszych oszustów, jacy kiedykolwiek zaszczycili nasze miasto swoją obecnością. A miał dość ostrą konkurencję, więc musi być naprawdę dobry.

— O kogo chodzi? — zaczęli się dopytywać. — Co to za wiadomość? Jakiś nowy Robin Hood, który okrada bogatych i rozdaje biednym?

— Nic z tych rzeczy — odparł Dustin. — Kradnie tylko dla siebie i zdaje się, że wie, co robi. Nie jest zwykłym człowiekiem z bronią, jak większość z bandytów, lecz kimś, który potrafi używać swojego mózgu. Jak w piosence o Jesse Jamesie, wydaje się mieć dobrą rękę, dzielne serce i sprawną głowę. Nie wiem, jak tam z sercem, ale na pewno sprytnie wykorzystuje ręce i głowę. Przynajmniej, na to wygląda.

— Daj spokój, Emory — powiedział jeden z mężczyzn. — Może trochę mniej gadaniny, a więcej faktów. Co on zrobił?

— No cóż — stwierdził Emory w zamyśleniu — dopiero składam to wszystko do kupy i mogę się mylić. Ale wydaje mi się, że układa się to w pewien wzorzec, i to bardzo sprytny. Oczywiście pod warunkiem, że ten człowiek zrobił wszystko to, co mu się przypisuje.

— Ale, co on zrobił? — nalegali. — Przestań w końcu teoretyzować.

— No dobrze, oto historia, którą łączę ze znanymi mi faktami. Kilka dni temu do miasta przyjechał pewien nieznajomy, wysoki, o kwadratowej szczęce, nieźle wyglądający. Wiecie, czysty; nie wzięlibyście go za złoczyńcę. Pokręcił się trochę po barze Red River, po czym wdał się w bójkę z jednym z woźniców Faulknera, tym wielkim wołem o nazwisku Flint. Flint to miejscowy zabijaka i nikt nigdy go jeszcze nie pokonał. Za każdym razem, gdy się upije, zazwyczaj kogoś pobije.

— Tak więc, tej nocy Flint puścił rozpuścił język w saloonie, a ten nowy facet podszedł do niego, obraził go, wylał mu piwo na brodę i zaczął się z nim bić. To było naprawdę coś wartego zobaczenia, ale generalnie chodzi o to, że ten wysoki facet bezapelacyjnie pobił Flinta. To wydarzenie zapisało się w historii tego miasta.

— No cóż, Flint wyjechał z miasta, wstydząc się chodzić z uniesioną głową. A Faulkner dał nowemu facetowi pracę Flinta. Kiedy rzeka opadła, ten nowy człowiek pojechał na Terytorium z ładunkiem i dwoma pasażerami, i to był ostatni raz, kiedy go widziano.

— I gdzież tu jest przestępstwo?

— Oto kilka faktów, które można teraz dopasować do obrazu tego, co się wydarzyło. Faulkner powiedział mi, że ci dwaj pasażerowie byli stróżami prawa, Strażnikiem Teksasu i szeryfem z Terytorium, oraz przewozili specjalny ładunek pieniędzy dla rządowych agencji indiańskich. W każdym razie ich działalność miała być naprawdę tajna. Pieniądze były ukryte, jak powiedział mi Faulkner, w kilku skrzyniach z towarami i nikt na świecie poza tymi dwoma i samym Faulknerem nie wiedział, że mają je przy sobie.

— Kiedy wracałem do domu z Antlers, natknąłem się na ludzi, którzy znaleźli pusty wóz na górskim szlaku. To był wóz Faulknera, a ludzie, pieniądze, towary i wszystko inne, łącznie z woźnicą, zniknęło – rozpłynęło się w powietrzu.

— No dobrze, jaka jest odpowiedź na to wszystko? Nie widzicie, jakie to było sprytne? Ten facet dowiedział się o tych pieniądzach. Przyjechał dyliżansem razem z dwoma stróżami prawa i miał ich na oku przez całą drogę z Fort Worth.

— Potem musiał wymyślić sposób, jak te pieniądze zdobyć. Wiedział, że ci dwaj są stróżami prawa i twardymi ludźmi, więc doszedł do wniosku, że próba zatrzymania Ike'a Flinta i dwóch oficerów jest zbyt ryzykowna, więc musiał wymyślić coś innego.

— I oto, jaki był sprytny: pobił Flinta, wypędził go z miasta w niesławie, a następnie dostał jego pracę, aby przewieźć ładunek pieniędzy przez Terytorium. Widzieliście kiedyś coś tak sprytnego? Dzięki temu zmniejszył szanse do dwu do jednego, przeciwko niemu, a skoro był

woźnicą wysłanym wraz ze stróżami prawa, wiedział, że nie będą się go wystrzegać. Zupełnie jak kradzież cukierka dziecku, tylko dziesięć razy bardziej opłacalna.

Jeden z mężczyzn zapytał:

— Czy znaleźli ciała stróżów prawa?

— Nie. Nie chciałby, aby tego rodzaju rzeczy postawiono przeciwko niemu. Naturalnie musiał ukryć dowody swojej zbrodni.

— Skąd wiedzą, że on to zrobił? — spytał logicznie jeden z mężczyzn. — Może ktoś zupełnie obcy zabił całą trójkę i ukrył ciała. Ten człowiek sam może być również ofiarą.

— Tak — odpowiedział rozsądnie Dustin. — Może być. Nie można powiedzieć, że to on z pewnością jest odpowiedzialny za tę robotę, czy nie, chyba że dowiemy się, iż wciąż żyje, albo dowiemy się, że na pewno zrobił to ktoś inny. Ale spójrzcie na dowody; w jakim innym celu ten człowiek ryzykowałby głowę w walce z Flintem, gdyby nie grał o duże pieniądze? Dlaczego miałby prosić Faulknera o pracę Flinta? Gdyby jacyś górscy bandyci zabili wszystkich trzech ludzi, to dlaczego zadali sobie trud ukrywania ich ciał? Ci hombres zostawiają swoje ofiary tam, gdzie upadną. Nie, mogę się mylić, ale to wszystko niechybnie wskazuje na tego tajemniczego nieznajomego. I trzeba mu przyznać jedno. Jeśli było tak jak uważam, to na pewno ma w tej swojej makówce solidny mózg.

— Nie jest to mózg, który bym podziwiała — stwierdziła Sonia Swanson.

— Ani ja, moja droga — odpowiedział Dustin. — Chciałem tylko zwrócić uwagę na to, jak daleko posuną się pewni ludzie w planowaniu przestępstwa. Gdyby zużyli połowę tej energii umysłowej na planowanie jakiegoś legalnego przedsięwzięcia, byłoby to dla nich o wiele lepsze.

Po zakończeniu przyjęcia Dustin zawiózł Sonię do pani Halsell, gdzie miała spędzić noc, a Sonia opowiedziała pani Halsell historię o napadzie.

— Sprawa rozeszła się po całym mieście — dodała. — Pan Faulkner leży w łóżku, z załamaniem nerwowym. To on pomógł stróżom prawa zaplanować przejazd z pieniędzmi i czuje się bardzo zaniepokojony, że napad może rzucić jakieś niekorzystne światło na jego staranność w pomocy tym ludziom w bezpiecznym przedostaniu się przez Terytorium. W końcu to był jego wóz i jego woźnica, i rząd może być skłonny do obciążania go odpowiedzialnością.

Cora Halsell przyjęła te wieści ze wstrząsem. Przygotowując przekąskę w postaci ciasta i kawy, dla siebie oraz Soni, myślała z wielkim przygnębieniem o wpływie, jaki wiadomość ta wywrze na Erica Swansona. W końcu to za jej namową Swanson zaangażował się w plan wynajęcia Webstera i wiedziała, że Swanson nie był do końca przekonany, czy postępuje słusznie, zatrudniając człowieka, który był niemalże tak samo znany ze swoich szalonych i często bezprawnych sposobów prowadzenia spraw, jak złodzieje i mordercy, których ścigał.

W tym surowym kraju powszechnie zakładano, że stróż prawa musi być równie twardy i bezlitosny, co przestępcy, z którymi ma do czynienia, a faktem było, że ludzie, zarabiający na życie bronią, często byli obojętni na to, po której stronie tej bariery się znajdują.

Niejeden słynny, wyjęty spod prawa rewolwerowiec zyskał szacunek wyłącznie dzięki przyjęciu odznaki stróża prawa, zarabiając w ten sposób, na robieniu tego, co przychodziło mu w naturalny sposób - odbieraniu ludzkiego życia. Niejeden też człowiek rozpoczynał z gwiazdą na piersi, lecz spędzał tyle czasu w bliskim kontakcie ze złoczyńcami i tak bardzo zasmakował we krwi, że rzucał odznakę i rzucił się w wir przestępczości na własny rachunek.

A byli jeszcze inni, tacy jak osławiony Henry Plummer z Virginia City w Nevadzie, który nosił odznakę szeryfa i wykorzystywał urząd oraz informacje, jakie niosła ze sobą odznaka, do kierowania bandami rzezimieszków, żerujących na ludziach płacących stróżowi prawa za ochronę.

Krótko mówiąc, pomyślała Cora Halsell, nie było na to prostej odpowiedzi. Jim Webster, bez względu na to, ile band wyjętych spod prawa wcześniej zlikwidował, był albo dobry, albo zły sam w sobie, a nie z powodu pracy, którą miał wykonywać. Jeśli wynajmował się, by pomagać uczciwym ranczerom i obracał tę pracę na swoją korzyść, lub jeśli porzucał ją, gdy został skuszony przez szybszy zysk, to tak właśnie miały się sprawy w tym dzikim kraju i nic nie można było na to poradzić.

Była jednak zasmucona i zmartwiona. Podobał jej się wygląd Jima Webstera - coś w nim było, jakaś siła charakteru, którą wyczytała z twarzy tego człowieka, widoczna szczerość oraz niezależność i inicjatywa, z jaką zdawał się wykonywać swoją pracę, nie pytając nikogo o zdanie. Była nim głęboko rozczarowana; czuła się tak, jakby została zdradzona przez przyjaciela, któremu zaufała.

Ponadto martwiła się, jak wiadomość ta wpłynie na Erica Swansona. Żył w strasznym napięciu, próbując uratować inwestycję swoją i jej, a ona zdołała zaszczepić w nim odrobinę nadziei, kiedy w końcu nakłoniła go by zgodził się zatrudnić Webstera. Teraz ta nadzieja rozwieje się i wiedziała, że choć Eric nie wspomni słowem o tej sprawie, nie będzie w stanie zapomnieć o fakcie, że wbrew własnemu zdaniu zatrudnił Webstera, ponieważ chciał usatysfakcjonować ją.

Czuła, że efektem tego będzie wbicie między nich klina. Swanson nie będzie już czuł zaufania do jej osądu, na co liczyła. Wycofa się ze swoimi problemami, oddali się od niej, zamiast zbliżyć się dzięki wspólnemu zainteresowaniu ich przedsięwzięciem.

To był cios dla jej nadziei na spokój i szczęście, o które się modliła i które widziała w tym wspaniałym człowieku, jakim był Eric Swanson.

Sonia, siedząca po drugiej stronie stołu, uniosła wzrok znad talerza z szarlotką i kawałkiem żółtego sera.

— Co się stało, Coro? — spytała z troską w głosie. — Wyglądasz, jakbyś nie czuła się dobrze. Nie zjadłaś ani kawałka ciasta, a wiem, że zrobiłaś je dla mnie, bo masz bzika na punkcie szarlotki. Co się stało?

— Nic, kochanie — zapewniła ją pani Halsell. — Nie wiem. Deszcz i błoto zawsze przyprawiały mnie o smutek, a ostatnio padało tak długo i błoto zrobiło się tak głębokie, że po prostu niemalże wpadłam w depresję. Przepraszam.

Sonia wzięła kolejny kawałek ciasta, po czym odłożyła widelczyk na talerz i wpatrywała się w Corę Halsell z szeroko otwartymi oczami.

— Powiedz — powiedziała. — Ten mężczyzna, który był tu tamtej nocy i rozmawiał z tatą. Pamiętasz, Dick mówił, że po wyjściu stąd poszedł do saloonu i obił miejscowego łobuza…

— Soniu! — Słowa wręcz wybuchły z ust Cory Halsell. — Proszę cię! Pamiętaj. Twój ojciec prosił cię, abyś nigdy nie wspominała o tym człowieku, żebyś nawet nie pamiętała, że go widziałaś, ani nie rozmawiała z nim na ulicy. Proszę, Soniu, nie piśnij nikomu ani słowa o tym; nie mów o nim więcej, nawet swojemu ojcu, nawet Dickowi, ani Emory'emu Dustinowi - ani nawet mnie. Proszę, Soniu, spróbuj to dla nas zrobić.

Cora Halsell była wzburzona z emocji, a Sonia spoglądała na nią przez długą chwilę, zaś jej zdziwienie stawało się coraz głębsze, w miarę jak implikacje wypowiedzianych słów stawały się dla niej coraz bardziej wyraźne.

— Już dobrze, Coro, obiecuję, jeśli sprawi to, że poczujesz się lepiej. Ale chciałabym wiedzieć, co się tu dzieje. Jakoś nie pachnie to dobrze, że ten człowiek był tutaj w domu, a potem wyszedł i zrobił to, co zrobił. Jestem członkiem rodziny i wydaje się, że powinnam mieć prawo wiedzieć o takich rzeczach.

— Później, proszę, Soniu. Ale teraz, proszę, pamiętaj o swojej obietnicy.

— W porządku — odpowiedziała dziewczyna, zmuszając się do wesołego tonu, chociaż nie czuła żadnej wesołości. — Zapomnijmy o tym i skupmy się na tym pysznym cieście. Co mnie obchodzi jakiś kowboj, który akurat przechodził obok. Nie jestem nim zainteresowana. Ale mimo wszystko, jestem strasznie zbita z tropu, Coro. I ciekawa, i zmartwiona.

— Wszystko będzie dobrze. Jeszcze kawałek ciasta?

## Rozdział 9

## Partnerstwo

Webster przyjechał do Woodbine późną nocą i okrężną drogą dotarł do domu pani Halsell, uważając, aby nikt go nie zauważył. Zostawił konia przywiązanego do drzewa na końcu ulicy i resztę drogi pokonał pieszo. Kiedy zapukał, w domu było ciemno, lecz pani Halsell w końcu odpowiedziała mu przez drzwi ostrożnym głosem.

— Kto tam?

— Webster, pani Halsell.

Przez moment panowała cisza, zanim odpowiedziała:

— W porządku. Proszę chwilę poczekać. — Po kilku sekundach otworzyła drzwi, a on wszedł do ciemnego domu. Powiedziała: — Zasunęłam żaluzje. Chwileczkę, zapalę lampę.

Kiedy ją zapaliła i Webster dołączył do niej w salonie, zastał ją w szlafroku. Najwyraźniej spała. Dzisiaj wydawała się mu pełna rezerwy, a on nie mógł zrozumieć, dlaczego.

Po chwili dostrzegł swoje odbicie w lustrze ściennym, a widok czarnego zarostu i brudnych ubrań rozbawił go.

— Muszę przeprosić za to, jak wyglądam — powiedział. — Ale nie miałem czasu, żeby się ogarnąć.

To nie przełamało lodów; ona wciąż przyjmowała go bez słowa, siadając i wskazując mu krzesło naprzeciw siebie. Przyglądała mu się uważnie, jakby nigdy wcześniej go nie widziała. I zdawała się czekać, aż on się odezwie.

— Sprowadziły mnie tu dwie lub trzy rzeczy — oznajmił Webster. — Po pierwsze, wydawało mi się, że wspomniała pani, iż panna Swanson spodziewa się tej jesieni poślubić Emory'ego Dustina?

— Dlaczego pan pyta? — odparła kobieta i zamilkła. Po chwili dodała: — Jestem pewna, że nie mogłabym określić tego tak jednoznacznie. To jej sprawa i nie sądzę, abym mogła o tym rozmawiać. Czy to jest ważne?

— No cóż, tak. Wiem, że nie po to zatrudnił mnie pan Swanson, ale chciałam pani udzielić pewnej rady. Proszę nie pozwolić, aby to zrobiła, pani Halsell.

Kobieta wydawała się zaskoczona i minęło sporo czasu, zanim odpowiedziała. Było oczywiste, że ostrożnie dobiera słowa. W końcu stwierdziła.

— Panna Swanson ma własną wolę i jestem pewna, że ma swoje własne zdanie.

To była niejasna odpowiedź, ale Webster zrozumiał, o co chodzi. Mówiła mu, że to nie jego sprawa, co robi Sonia Swanson. Wiedział to już wcześniej i sam też wypominał sobie zadanie tego pytania, lecz postanowił zaryzykować i uczynić to swoją sprawą, mimo że mogło to zostać uznane za wtrącanie się w sprawy, które go nie dotyczą.

— Wiem, że ona ma własne zdanie — zgodził się. — I dobrze poukładane w głowie. Ale są rzeczy, których ona nie dostrzega. Muszę być szczery, pani Halsell. Wiem, że podziwia pani tę młodą damę, tak samo jak ja, i że nie chciałaby pani, aby stała jej się jakakolwiek krzywda. Próbuję pani powiedzieć, że nie może pani pozwolić jej na poślubienie Emory'ego Dustina.

— Dlaczego? — Pytanie było bezpośrednie, a w jej głosie pobrzmiewała nuta gniewu. — Czy wie pan coś na temat pana Dustina?

— Mam wiele domysłów na jego temat, ale jeszcze nie jestem w stanie ich udowodnić. Lecz jest jedna rzecz, którą wiem: ten człowiek jest żądny pieniędzy. Zbyt ambitnie dąży do swego własnego dobra. Przyniesie pannie Swanson tylko wiele zmartwień.

— Myślę — oznajmiła pani Halsell, jakby chciała zakończyć tę sprawę, — że lepiej będzie, jeśli pozostawimy pannie Swanson podejmowanie własnych decyzji, w jej osobistych sprawach. Czy to z tym przyszedł pan do mnie?

— Bardzo dobrze — powiedział Webster. — Nie będę już z panią poruszał tej kwestii, ale popełnia pani błąd, którego będzie pani żałowała. Przyszedłem też zapytać, czy pan Swanson ma prawnika.

— Oczywiście, że ma prawnika.

— Jak on się nazywa?

— Myślę, że to jego powinien pan o to spytać. On panu powie, jestem tego pewna. Czy potrzebuje pan prawnika?

— Tak. Chciałabym, żeby pan Swanson wziął swojego prawnika i przyprowadził go do pani domu, jutro późnym wieczorem. I wolałabym, aby nikt inny nie był obecny przy tej rozmowie, oprócz nas trzech: prawnika, pana Swansona i mnie.

— Jeśli chodzi o sprawę, nad którą miał pan dla nas pracować — stwierdziła kobieta, — jestem partnerem finansowym w ranczu i to ja odegrałam kluczową rolę w pańskim zatrudnieniu. Oczywiście, jeśli potrzebuje pan prawnika dla siebie…

Webster miał coraz większe przeczucie, że coś tu jest nie tak, a w tej chwili wyczuł już wyraźnie niechęć kobiety.

— Pani Halsell — powiedział nagle. — Ostatnim razem, kiedy tu byłem, panowała między nami nieco bardziej serdeczna atmosfera niż teraz. Przepraszam, że zakłóciłem pani sen, jeśli o to chodzi, lecz mówiono mi, żebym się zgłosił ze wszystkim, co uznam za ważne. Czy to jest problem?

— Nie, nie jest — odpowiedziała pani Halsell w nagłym przypływie szczerości. — Natomiast, krąży o panu pewna historia, którą chciałabym, żeby mi pan wyjaśnił. Posłaliśmy po pana w dobrej wierze, oczekując, że będzie pan działał w naszym interesie. Ale doszły do nas wieści, że bardziej interesował się pan swoimi własnymi sprawami.

— Na przykład, jakimi?

— Słyszeliśmy, że wmanewrował się pan w zadanie eskortowania dwóch ludzi na Terytorium, z mnóstwem pieniędzy, a potem zabił pan ich i okradł gdzieś w górach.

— Czy mogłaby mi pani podać szczegóły?

Emocje, jakie wezbrały w tej chwili w Corze Halsell, sprawiły, że wyrzuciła z siebie wszystko, co przekazała jej Sonia. Wskazała na schemat działań Webstera, jaki Dustin nakreślił dla swoich słuchaczy od pierwotnej walki aż do utraty wozu.

— Zaś — dodała — wóz został już odnaleziony, lecz nic w nim nie było. Żadnych towarów. Zniknęły również pieniądze, a nawet ciała dwóch mężczyzn, którzy, jak krążą pogłoski, byli stróżami prawa.

— Rozumiem — oznajmił Webster po przetrawieniu tych wieści. — A ponieważ Dustin był człowiekiem, który opowiedział tę historię na mój temat, podejrzewała pani, że próbowałam podłożyć Dustinowi świnię, jeśli chodzi o pannę Swanson?

— Jest to przecież jedna z możliwości — zauważyła kobieta. — W końcu, jeśli zamierza pan zaprzeczyć oskarżeniom, naturalnym jest, że nie lubi pan człowieka, który je rozsiewał.

— Rozumiem — odpowiedział Webster z ulgą. — No cóż, pani Halsell, cieszę się, że była pani ze mną szczera. Zaprzeczam oskarżeniom i sprzeciwiam się oskarżycielowi. Zaś panna Swanson jest śliczną młodą damą, ale nie wpadła mi w oko. Nie jest kobietą ani dla mnie ani dla Emory'ego Dustina.

— Więc zdecydował pan, za kogo ona rzeczywiście powinna wyjść za mąż?

— Oczywiście. Tak samo jak i pani.

— Ja? — Głos pani Halsell uniósł się w szoku i zaskoczeniu.

— Tak, pani, pani Halsell. I ma pani rację. Dick Hammond jest uczciwym, porządnym młodzieńcem. Kocha pani Sonię, jakby była ona pani córką. A co więcej, i co ważniejsze, Dick Hammond też ją kocha. Lecz ona znalazła się pod wpływem uroku Emory'ego Dustina, a Dick jest zbyt porządnym chłopakiem, żeby próbować coś z tym zrobić, zaś pani jest zbyt porządną kobietą, żeby próbować się do tego wtrącać.

— Ależ, panie Webster! Proszę! Cóż za pomysł! Wtrąca się pan w prywatne sprawy ludzi, którzy są panu praktycznie obcy!

— Tak, pani Halsell, chyba tak. Ale mam oczy i wiem, że mówię prawdę. Wie pani, że tak jest. Przykro mi, że nie uwierzyła mi pani, że mówię prawdę, kiedy powiedziałem, żeby trzymać Emory Dustina z dala od Soni.

— Panie Webster!

— Proszę mi powiedzieć, pani Halsell. Dick Hammond wiele dla pani znaczy, prawda? Czy to możliwe, że jest pani synem z poprzedniego małżeństwa?

— Nie, on nie jest moim synem. Ale czasami czuję, jakby nim był. Widzi pani, jego rodzice zmarli, gdy ojciec Dicka pracował dla pana Halsella. Dick miał wtedy dwanaście lat. Wzięliśmy go i wychowaliśmy. I kocham go tak, jakby był moim synem. To wspaniały chłopiec i jestem z niego dumna.

— Teraz rozumiem.

— Ale jeśli chodzi o to, bym miała wtrącać się w życie Soni, to nie powinnam robić czegoś takiego. Ani innym na to pozwalać.

— Bardzo przepraszam. Postaram się już więcej o tym nie mówić. A teraz, oto co może pani przekazać panu Swansonowi. Poinformuję go o szczegółach, kiedy zobaczę się z nim jutro wieczorem. Oto co się wydarzyło: rzeczywiście dostałem pracę u Faulknera. Zrobiłem to, aby przedostać się na Terytorium w sposób, który będzie wydawał się mieć jakieś uzasadnienie. Zrobiłem to również dlatego, że przypadkiem rozpoznałem dwóch stróżów prawa, którzy tam jechali, i wiedziałem, że mieli przy sobie pieniądze. Pieniądze przyciągają bandytów i pomyślałem, że jeśli będę z nimi, kiedy rabusie wyczują te pieniądze, to może uda mi się ich znaleźć.

— Znalazłem ich, ale nie trafiłem. Zostałem rozbrojony i musiałem bezradnie stać i patrzeć, jak dwaj dobrzy ludzie zostają zamordowani, a pieniądze skradzione. Proszę mi wierzyć, pani Halsell, gdyby był jakikolwiek sposób, abym mógł stanąć u boku tych ludzi i walczyć, zrobiłbym to. Ale nie było takiej możliwości. Wszystko, co mogłem zrobić, to ruszyć tropem złodziei, po tym jak ich zabili, i tak właśnie zrobiłem.

— Może pani powiedzieć panu Swansonowi, że wytropiłem tych złodziei i dowiedziałem się, gdzie oni się ukrywają. Może pani mu powiedzieć, że znalazłem też kilka jego krów i dowody na to, iż ich kryjówka to miejsce, w którym ląduje większość zaginionych towarów i bydła, czekając na późniejszą odsprzedaż. Proszę mu powiedzieć, że jutro wieczorem podam szczegóły. I oczywiście przestrzec go, aby nikomu o tym nie wspominał. Nikomu, absolutnie! Jakieś pytania?

Pani Halsell przez dłuższą chwilę milczała w zamyśleniu, a Webster wiedział, że toczy walkę ze sobą, próbując zdecydować, czy wierzyć jemu, czy w historię Dustina.

Dał jej szansę na dalsze przemyślenia. Wstając, powiedział:

— Przyniosłem pod drzwi coś, co chciałbym, żeby przetrzymała pani dla mnie do jutra, kiedy oddam to to panu Swansonowi. — Wyszedł przez drzwi frontowe i wrócił z dwoma karabinami, które oparł o ścianę domu, gdy przyszedł. Pani Halsell popatrzyła na nie nerwowo.

— Proszę się nie niepokoić — zapewnił ją Jim. — Te karabiny są naładowane, ale z pewnością nie wystrzelą. To dlatego zginęli ci dwaj stróże prawa. Pokażę pani coś.

Stanął przed nią z na wpół pełnym pudełkiem naboi karabinowych 30-30.

— Te naboje zostały sprzedane tym stróżom prawa przez człowieka, który sprzedał im również broń. Widzi pani ten numer kodu na pudełku, 0X34C3PL140Q332593. Ten długi numer kodu podaje pełną historię tego pudełka nabojów, w tym również i tę część, która mnie interesuje. Jego część, to numer partii, dzięki któremu można prześledzić drogę tych nabojów od fabryki do sprzedawcy. Na karabinach również znajdują się numery kodowe i je również można prześledzić do człowieka, który sprzedał je stróżom prawa.

— Te naboje zostały uszkodzone. Wyjęto z nich proch, aby gdy stróże prawa będą próbowali się przy ich pomocy bronić, nie mogły one zostać wystrzelone. I dlatego obaj stróże prawa zginęli. Chcę, żeby pani ukryła te naboje i broń, dopóki nie będę oddam ich panu Swansonowi, aby mógł je umieścić w bezpiecznym miejscu. Dzięki nim ludzie, którzy powinni zostać powieszeni, zawisną, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kobieta zatonęła w myślach, wyjmując jeden z nabojów z pudełka i dokładnie go oglądając, ważąc go w dłoni i uważnie przyglądając się chropowatemu zakończeniu łuski naboju, w które wbito ołowianą kulę.

— Ma pan rację — stwierdziła. — Ja też czasami używałam karabinu.

— To wszystko — powiedział Webster. — Jutro późnym wieczorem spotkam się z panem Swansonem.

Wziął kapelusz i ruszył do drzwi. Ona podążyła za nim i dotknęła jego rękawa.

— Panie Webster — powiedziała, a w jej głosie słychać było wiele emocji. — Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, jeśli dziś wieczorem wydałam się panu niezbyt uprzejma. Wszystko, co się wydarzyło, strasznie mnie zdenerwowało. Gdyby pan tylko wiedział, jak bardzo martwię się o Erica i Sonię, o szczęście całej mojej rodziny…

Webster poklepał ją po dłoni.

— Proszę o tym zapomnieć — uśmiechnął się. — Ma pani rodzinę, o którą warto się martwić. Jeśli wydaje się pani, że się wtrącam, to tylko dlatego, że polubiłem pani bliskich i chcę, żeby byli szczęśliwi. Tak samo jak pani. Proszę o tym nie zapomnieć. Niech pani się upewni, że pan Swanson będzie tutaj obecny.

— Ale — powiedziała, wciąż przytrzymując go za ramię, żeby go zatrzymać. — Mam nadzieję, że nie uważa pan, iż zrobiłabym coś niesprawiedliwego, tylko dlatego, że Dick tak dużo myśli o Soni.

Musiał się roześmiać.

— Nie. Prawda jest taka, że tak bardzo posuwa się pani w swoich staraniach aby zachować sprawiedliwość, iż stawia pani ją oraz wszystkich państwa, w niebezpiecznej sytuacji. Powinniście dostać solidnego klapsa, pani i Dick, oboje. Dobranoc, pani Halsell.

Po raz pierwszy tego wieczoru zobaczył jak się uśmiecha, i było w tym widoku coś tak ciepłego, pomimo jej oczywistego zatroskania, że poczuł się dobrze, wbrew ogarniającemu go zmęczeniu do szpiku kości.

— Martwi się pani z obawy, że mam zamiar wyzwać Dustina za tę historię, którą o mnie opowiada. Proszę o tym zapomnieć. On tylko dodał dwa do dwóch i wyszło mu dwadzieścia dwa. Nie zwracam uwagi na takie gadanie. To nawyk, który posiada prawie każdy z ludzi.

— Dziękuję — powiedziała z ulgą. — Jeśli pan zostanie, przyniosę panu kawę i ciasto. Pewnie jest pan głodny.

— Jestem, ale jeszcze bardziej jestem zmęczony. Jeśli daruje mi pani to ciasto, to pobiegnę i spróbuję zobaczyć, jak to jest spać. Już prawie zapomniałem, jak się to robi.

Tę noc Webster przespał snem wyczerpanego człowieka, w swoim pokoju hotelowym, a późnym rankiem następnego dnia, wykąpany,

ogolony i odświeżony, zjadł śniadanie, a następnie udał się do magazynu Star Trading Company Faulknera.

Stary, myszaty urzędnik popatrzył na niego znad okularów, a szczęka mu opadła, jakby zobaczył ducha.

— Powiedz panu Faulknerowi, że chcę się z nim zobaczyć — powiedział Webster.

— Sprawdzę, czy jest w biurze – wyjąkał starzec i odwrócił się w stronę przedziału biurowego na tyle budynku.

Webster, opierając się na nagłym przeczuciu, burknął:

— Nieważne. Sam zobaczę.

Przepchnął się obok urzędnika, poszedł na tył i otworzył drzwi biura. Faulkner uniósł wzrok znad papierów na biurku, a jego podobna do maski pośmiertnej twarz, nie zmieniła wyrazu ani o jotę. Odłożył ołówek i odchylił się na krześle, nie odrywając oczu od twarzy Webstera. Nie odezwał się, tylko siedział i czekał.

Webster znalazł sobie krzesło i usiadł.

— Cóż — oznajmił — nie udało mi się. Straciłem pański ładunek i pańskich pasażerów. Czy już pan o tym słyszał?

Faulkner nie odpowiedział, tylko rzucił własne pytanie.

— Co się stało?

— Dopadli mnie tuż przed świtem w przejeździe po drugiej stronie przełęczy. Zabili prowadzącego konia, zaskoczyli mnie i zabrali mi broń. Doszło do małej strzelaniny, w której nie mogłem wziąć udziału. W jej trakcie udało mi się stamtąd wymknąć. A kiedy się skończyła, dwóch stróżów prawa nie żyło, a ja ukryłem się w krzakach. Kiedy wróciłem do wozu, rabusiów już nie było. Puściłem konie, zabrałem jednego z nich i starałem się trzymać z dala od bandytów oraz wrócić tutaj, wynosząc cało głowę. Trochę pojeździłem w kółko, zanim znalazłem drogę powrotną. I oto jestem. Chyba nie dostanę pieniędzy za moją podróż.

— Nie jesteś aż tak dobry, jak myślałeś, co?

— Wygląda na to, że może tak być — przyznał Webster. — Mimo wszystko, człowiek nie może wiele wywalczyć bez broni.

— Człowiek, który stracił tam broń, jest strasznie nieostrożny w kwestii ochrony swojego życia.

— Przekonałem się o tym — zgodził się Webster. — Bez wątpienia. Przynajmniej wyszedłem z tego żywy, a są tacy, którym nie udało się ocalić głowy.

— To prawda. Nie lubię tracić towaru i z pewnością nie podoba mi się pomysł, żeby ludzie jadący jako pasażerowie na moich wozach, ginęli. Ale zdecydowanie bardziej nie lubię, kiedy giną moi ludzie. Życie jest cenniejsze niż towar.

— No cóż, pański towar przepadł i tyle — powiedział Webster. — Zawarłem umowę, że nie zapłaci mi pan, jeśli nie dojadę do celu. Nie dojechałem, więc nic mi pan nie jest winien, a ja chyba nie dostałem tej pracy. Może powinienem zostawić Flinta w spokoju.

— Nie — odparł Faulkner chłodno. — Flint jest samochwałą i tępym osiłkiem. Nie zależy mi na zatrudnianiu takich ludzi i nie trzymałbym go,

gdybym miał kogoś, kto mógłby zająć jego miejsce. Pojawiłeś się ty, więc on już tu nie pracuje.

Faulkner obrócił fotel o pół obrotu i przekręcił pokrętło czarnego żelaznego sejfu. Wyjął z niego małe czarne pudełko oraz odliczył z niego dziesięć sztuk złota, układając je na biurku. Następnie odłożył pudełko z powrotem i zamknął sejf, przestawiając pokrętło.

— Oto twoje pieniądze — oznajmił. — Słyszałeś, że jestem skąpy, że wciąż mam pierwszego dolara, jakiego kiedykolwiek zarobiłem. To nieprawda. Prawdą natomiast jest, że nie marnotrawię pieniędzy, z powodu złego stanu zdrowia i dlatego, że uważam, iż głupio jest ryzykować. Ale dobrze płacę za uczciwą, sumienną pracę. Wykonałeś swoją robotę, chociaż miałeś pecha. Oto twoje pieniądze. Po prostu zostań gdzieś w pobliżu, tam gdzie będę cię mógł znaleźć, a ja po ciebie poślę, kiedy będę chciał, żebyś przewiózł kolejny ładunek.

— No cóż — stwierdził Webster głosem pełnym zaskoczenia i przyjemności. — Jest pan bardziej hojnym człowiekiem, niż to słyszałem.

— Zostań ze mną, a dostaniesz swoją część pieniędzy — odpowiedział Faulkner. — Poślę po ciebie, kiedy będę cię potrzebował.

Webster wyszedł i bezczynnie krążył po ulicach miasta, zauważając, że odkąd rzeka opadła, ponad połowa ludzi, których tu widział wcześniej, zniknęła.

Obozowiska wozów zniknęły z pustych miejsc w pobliżu wozowni i sklepu, a niewielu ludzi na ulicy miało na sobie robocze kowbojskie ubrania. Woodbine zapadło w sen, który miał potrwać prawdopodobnie do czasu, aż szlakiem nadejdzie kolejne duże stado i zatrzyma się w okolicy, a ludzie prowadzący je, wypełnią gorące miejsca i zaczną gasić swoje pragnienie alkoholu, hałasu i bójek, zanim wyruszą w drogę przez Terytorium w nadziei dotarcia do stacji kolejowej w Kansas, jeśli nie zostaną zabici przez rabusiów, zanim się tam dostaną.

Twarze, które widział obecnie, wydawały mu się znajome, ponieważ byli to ludzie, którzy mieszkali i pracowali w okolicy, a on widywał ich często w ciągu tygodnia, kiedy czekał, aż rzeka opadnie.

I oni też musieli go rozpoznać, ponieważ zaczął zauważać, że gdy przechodził, ich twarze zmieniały wyraz. To go przez chwilę zdziwiło. Potem przypomniał sobie historię, jaka krążyła na jego temat. Ci ludzie poznali go z widzenia i ze słyszenia, po jego walce z Flintem. Potem usłyszeli historię o jego rzekomym napadzie i zabiciu stróżów prawa. A teraz widzieli go paradującego ulicą z taką swobodą, jakby nie był morderczym bandytą, którego każdy miał prawo i obowiązek zabić na miejscu.

Zaczęło wydawać mu się wręcz zabawne, kiedy ci ludzie w pierwszej chwili spoglądali na niego ze zdziwieniem, a potem ze zmieszaniem. Na skutek złej sławy zyskanej dzięki stoczonej walce, kiedyś zaczęli kiwać mu głowami na powitanie lub rozmawiać z nim, gdy przechodził. Teraz, kiedy byli już przyzwyczajeni do rozmów z nim, a później usłyszeli, że jest złodziejem i mordercą, czuli się zawstydzeni. Nie wiedzieli, czy dalej z nim rozmawiać, czy nie; nie chcieli zostać przyłapani na przyjacielskich stosunkach z bezczelnym rabusiem, którego ręce były wciąż zakrwawione

po zabiciu pary stróżów prawa, lecz ponieważ był takim złym człowiekiem, bali się go zignorować.

Webster obserwował zakłopotanie na ich twarzach i w duchu się z nich wyśmiewał, celowo starając się, aby odpowiadać im uprzejmym tonem. A gdy od czasu do czasu, któryś z nich okazywał zażenowanie nieco większe niż przeciętne, umyślnie zatrzymywał tego człowieka i zamieniał z nim kilka przyjaznych słów.

W życiu Jima Webstera niewiele było rozrywki i musiał czerpać ją w większości z rozbawienia z przybieranych póz i pretensji płytkich ludzi.

Leniwie spacerując, dotarł do saloonu Red River i znalazł miejsce przy wygodnie pustym barze. Stoney postawił przed nim pełną butelkę, przypominając sobie markę, którą pił tamtej nocy. Na jego twarzy pojawił się ozdobiony złotymi zębami uśmiech, gdy odsunął monetę Webstera.

— Widzę, że dość szybko wymienił pan to lustro — zauważył Webster przyjaznym tonem.

— Tak. Chyba jestem panu winien darmowe drinki przez jakiś czas — uśmiechnął się szeroko barman. — To rozbite lustro było atrakcją, która przez kilka dni przynosiła mi spore pieniądze. Wszyscy opowiadali wszystkim o walce, a ci wszyscy musieli tutaj zajść, wypić parę drinków i obejrzeć rozbite lustro i spluwaczkę. Widzi pan? Kazałem je umyć i ustawić tam, jak jakieś trofeum w walce bokserskiej. Sporo zabawy pan tu wprowadził, drogi panie.

— Cieszę się, że mogłem przerwać chłopakom monotonię. Robi się nudno, gdy ludzie tłoczą się w obozowiskach, nie mając do roboty nic, poza kłótniami.

— Zdaje się, że od tamtej pory nie cierpiał pan na nudę, z tego co słyszałem.

To była wskazówka, której Webster szukał. W tym momencie wszystko ułożyło mu się w głowie i wiedział już co robić. Gdyby milczał na temat tego co się stało, ludzie uwierzyliby w bajki Dustina, a jego powściągliwość stałaby się dowodem jego winy, w ich głowach. Ale gdyby potraktował to tak, jak zrobił to u Faulknera, gdyby po prostu zbagatelizował prawdę, pomijając najważniejszą jej część, miałby szansę na znalezienie tu przyjaciół. Najlepiej było szczerze i otwarcie rozmawiać - do pewnego stopnia, oczywiście.

— Tak, było trochę burzliwie odkąd wyjechałem — przyznał, — diabelnie o mało co nie złapała mnie burza gradowa.

— Grad? Tutaj nie padał żaden grad.

— Padał w górach. Grad kul 30-30; śmigał wokół mojej głowy jak rój szerszeni. Dałem dyla w wysoką trawę, nie marnując więcej niż półtorej godziny.

Stoney się roześmiał.

— Zastanawiałem się tylko, jak panu udało się z tego wykaraskać. Co się właściwie stało? Słyszy się to i owo; wszyscy zgadują; nikt niczego nie wie na pewno.

Webster powtórzył mu mniej więcej to samo, co powiedział Faulknerowi, przyznając się do swojej ucieczki do lasu, po tym jak

zabrano mu broń, i przyznając, że wędrował po górach przez jakiś czas, zanim znalazł drogę z powrotem.

— Jest mnóstwo gór, w których łatwo można się zgubić — stwierdził Stoney ze współczuciem. — Jak dla mnie, to chyba tak samo, jak zgubić się na pustyni. Na pustyni przynajmniej widać, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Tam w górach… — pokręcił głową z boku na bok. — Ja nie chcę mieć nic wspólnego z tymi lasami. Za każdym krzakiem czai się bandzior.

Rozmawiali o tym i owym, wypili kilka drinków. Weszło dwóch innych i również wypili parę głębszych. Dziwnie popatrzyli na Webstera wykorzystując lustro za barem, po czym odwrócili się. Stoney wziął się do roboty jako gospodarz, opowiadając im historię Webstera. Ludzie wydawali się rozważać to co usłyszeli, po czym ostrożnie włączyli się do rozmowy. I stopniowo w ten sposób Webster sprawił, że znaleźli się w przyjaznym nastroju.

Przyszedł Cloyd Martin, któremu Dustin przedstawił Jima w noc, kiedy Webster opuszczał miasto, i po kilku kolejkach przy barze, rozpoczęli grę w pokera. Grali przez jakieś pół godziny, potem dołączył do nich następny mężczyzna, a chwilę później wszedł Emory Dustin.

Webster obserwował go kątem oka, kiedy Dustin pił przy barze i rozmawiał chwilę ze Stoneyem. Widział, jak Dustin przez chwilę przygląda mu się w lustrze za barem. Potem Emory podszedł do stołu pokerowego i wysunął sobie krzesło.

Położył na stole kilka banknotów oraz trochę srebra, i poprosił o rękę dla siebie. Uniósł wzrok i rzucił:

— Dobry, Webster.

Webster odpowiedział: „Dobry” i kontynuował grę w karty.

Zapadła cisza, a zebrani wokół ludzie, wiedząc dlaczego tak jest, byli zaambarasowani i zdenerwowani, w związku z czym przestali rozmawiać, co jeszcze bardziej zwiększyło ciszę i napięcie.

Zagrali kilka rozdań, a Webster mniej myślał o napięciu, a bardziej o planie, który kształtował się w jego umyśle. Wszyscy ludzie przy stole znali historię, którą Dustin o nim opowiadał. Dustin zebrał kilka faktów i ułożył je w oskarżenie przeciwko Websterowi, i na ich podstawie nazwał Jima złodziejem.

Dlaczego to zrobił? Webster zastanawiał się nad tym, chociaż uważał, że zna odpowiedź. Ale odpowiedź na to pytanie nie była teraz najważniejszą rzeczą w jego umyśle. Ludzie przy stole gotowi byli zobaczyć - a nawet bez wątpienia spodziewali się zobaczyć - jak Webster sprawdza rękę Dustina. Lecz Webster nie miał na to ochoty. Chciał wykorzystać ten incydent w zupełnie innym celu.

Celowo pozwolił, na rozbudowanie się napięcia. Obserwował je i poprzez swoje milczenie oraz napiętą, czujną postawę celowo je wzmacniał. Wiedział, że Dustin również to wyczuł, ponieważ Dustin nie sprężył się jak reszta z nich, lecz wręcz przeciwnie - zrobił się bardziej dowcipny, bardziej swobodny i beztroski, w rozmowie oraz grze. Dustin próbował ukryć swoją rosnącą niepewność co do tego, co Jim zamierzał zrobić.

Webster pozwolił, aby to trwało przez pół godziny, podczas gdy celowo zwiększał stawki w grze, aż zaczęli grać o duże pieniądze. Webster grał ostrożnie, wyglądając swoich szans na zaczepienie Dustina, niemal beztrosko rezygnując z możliwości wygranej od któregokolwiek z pozostałych. Wkrótce stało się to takie oczywiste, że samo w sobie zakrawało na milczącą drwinę. Inni ludzie zauważyli, a sam Dustin po prostu nie mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, że za każdym razem gdy obstawiał, Webster wykorzystywał to do granic możliwości, drwiąc z niego swobodnym, przyjaznym głosem, który jak obaj mężczyźni wiedzieli, był jedynie maską dla celowego i poważnego ataku.

Webster obecnie miał przed sobą większość ze stosiku pieniędzy Dustina. Czytał w twarzy Dustina i widział tam żądzę. Dustina pochwyciła gorączka hazardu; nie grał zimno i matematycznie, lecz kierowała nim żądza wygranej. Grał, aby nakarmić swój egoizm, a teraz dołączyła do tego chęć pokonania człowieka, o którym wiedział, że po cichu się z nim drażni, koncentrując swoje zakłady przeciwko niemu.

Kiedy Webster zauważył, że nerwy Dustina zostały napięte do granic wytrzymałości, nagle zmienił taktykę. Powiedział cicho do Dustina:

— Nie powinieneś tego robić, Dustin.

— Robić? Czego? — Pytania Dustina zabrzmiały niemal jakby eksplodowały.

— Mówić o mnie tego, co powiedziałeś.

Dustin popatrzył na niego podejrzliwie.

— Słuchaj, przyjacielu. Nie zrobiłem nic więcej, niż inni ludzie. Wszyscy cię obserwowali, więc kiedy doszło do tej sytuacji, uznali, że podjąłeś grę. No dobrze; myliliśmy się. Myliłem się, tak jak i cała reszta. Czy to ci odpowiada?

— Jasne. Wiem, jak to jest. Ale nie mogę się pogodzić z jedną rzeczą. Zawsze uważałem, że mężczyzna, który mówi o innym mężczyźnie za jego plecami, jest tchórzem. Ale ty, jakoś nie wyglądasz mi na tchórza. Nie rozumiem tego.

— Powiedziałem ci, czyż nie? — Głos Dustina był o kilka nut wyższy niż przedtem. — Powiedziałem ci przecież, że się myliłem. Co chcesz zrobić, dołożyć mi tak, jak zrobiłeś to z Flintem?

— Nie. A co, spodziewałeś się, że to zrobię?

— No cóż, ważysz połowę tego, co ja. Myślałem, że możesz chcieć spróbować.

— A co byś zrobił, gdybym spróbował?

— Posłuchaj, Webster — oznajmił Dustin. — Jeśli nie powiedziałem wystarczająco dużo, żeby cię zadowolić, to postaw się na moim miejscu. Nie boję się ciebie, jeśli tego próbujesz się dowiedzieć. I będę wobec ciebie uczciwy; nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić ci na wycieranie mną podłogi w barze. Jeśli nie zadowala cię nic poza walką, to wyjdziemy na zewnątrz i możesz spróbować szczęścia z rewolwerem. Powiedz słowo, a wyzwę cię szybciej, niż płatek śniegu roztapia się w piekle.

— Nie wątpię — stwierdził uspokajająco Webster. — Ale nie o to mi też chodziło. Jak powiedziałem, uznałem, że masz sporo ikry.

— Mam jej wystarczająco dużo, żeby przy jej pomocy się bronić.

— Tak. Wiem. Ale wiesz, to zabawne. Ta sprawa z obrażaniem się i strzelaniem do siebie z rewolwerów. To nie jest zbyt mądre. Powiem ci coś. Mam przyjaciela, którego porwano na statek koło Barbary Coast w San Francisco. Statek zabrał go do Chin, gdzie zabił oficera, który nie pozwalał mu zejść na ląd, i uciekł. Spędził sporo czasu w Chinach, wdał się w zatargi z paroma bandyckimi wodzami, czy jak ich tam nazywają, i walczył w kilku z tych wojen ryżowych. Zwiedził świat i wiele zobaczył, zanim wrócił na swoje rodzinne ranczo. Całkiem spore doświadczenie jak na kowboja. Wiesz, jak ci bandyccy wodzowie toczyli wiele ze swoich bitew?

— Nie, nigdy nie byłem osobą, którą można by określić jako pilnego studenta chińskiej bandyckiej sztuki wojennej.

— Powinieneś ją trochę postudiować. Ona ma sens. Weźmy dwie bandyckie armie stojące naprzeciw siebie. Zamiast wyjść i wypuszczać sobie flaki, używali rozsądku. Dwaj wrodzy generałowie spotykali się gdzieś na polu bitwy w namiocie, pili dużo herbaty, wódki i przywozili jedzenie. Następnie wyciągali swoje mapy pola bitwy, kładli je na stole i zaczynali bitwę. Pierwszy generał, mówił, no cóż, twoi ludzie są tutaj, w tym miejscu na mapie. Więc naturalnie ustawiłbym moich ludzi tutaj, na tym wzgórzu, żeby mieli dobry widok na ciebie, i zrobiłbym to i tamto. Wtedy drugi generał mówił, tak, ale to była pułapka, którą na ciebie zastawiłem. Kiedy ty zrobiłeś to, ja zrobiłbym to, tamto albo tamto. W podobny sposób postępowali dalej, walcząc na mapach jak para ludzi grających w szachy, aż w końcu jeden z nich przypierał drugiego do muru, a ten drugi nie potrafił wymyślić sposobu, na wydostanie się z pułapki. Więc przegrywał wojnę. Pili swoje drinki, przegrany generał opuszczał pole bitwy, wszyscy wracali do domu, a zwycięski generał rządził sytuacją. I nikt nie zostawał ranny. Czy nie jest to bardziej rozsądny sposób, na rozwiązanie swojego sporu przez dwóch ludzi?

— To bardzo interesujące — odparł Dustin. — Ale do czego zmierzasz? Jesteśmy dosyć daleko od Chin.

— Och, do niczego. Ale myślę, że przegrany generał musiał mieć trochę odwagi, żeby przyznać, że został pokonany i odejść bez jednego strzału. Tak czy inaczej, podoba mi się taki sposób walki. Dlatego po prostu poeksperymentowałem sobie trochę. Próbowałem sprawdzić, jak długo będziesz w stanie grać ze mną w pokera, twarzą w twarz.

Dustin popatrzył podejrzliwie na Webstera. Webster rozdał karty i kontynuował grę. Ale teraz ludzie przy stole wiedzieli, że Webster rzucił Dustinowi wyzwanie, by dalej grał przeciwko niemu. Początkowa drwina Webstera zmieniła się w otwarte wyzwanie.

Gra toczyła się dalej, a większość pozostałych graczy wycofywała się na pierwszy znak, że w danym rozdaniu Webster poluje na Dustina. Webster i Dustin przez większość rozdań grali bezpośrednio ze sobą, Webster grał na chłodno i metodycznie, kłując Dustina delikatnymi drwinami, na które Dustin nie mógł otwarcie się obrazić, ale które doprowadzały go do stanu wrzenia. Dustin zachowywał uśmiechniętą, obojętną twarz, ale miał różowe uszy, a gniew i chciwość często pojawiały się w jego oczach, w przelotnych spojrzeniach.

Webster metodycznie zabierał mu pieniądze, bezlitośnie kazał mu wygrzebywać coraz większe kwoty z kieszeni. Saloon stopniowo się wypełniał, klienci kupowali swoje drinki i przychodzili, stając za stołem, tak że teraz stali w trzech lub czterech rzędach, w dużym kręgu wokół graczy. Na sali panowała napięta atmosfera; wieści rozeszły się po całym mieście, a tłum w saloonie rósł.

Tłum i ciche, jawnie natarczywe uwagi Webstera postawiły Dustina w sytuacji, w której nie mógł się wycofać. W końcu zaangażował wszystkie swoje srebrne monety i banknoty, i znalazł się w środku gry o dużą pulę.

Popatrzył na swoją zakrytą kartę po tym, jak Webster postawił sto dolarów na odsłoniętą parę, po czym rozpiął koszulę, a następnie rozpiął klapę zamszowego pasa na pieniądze, zapiętego wokół talii, i wyciągnął z niego garść złotych monet.

Dorzucił do puli pięć dwudziestodolarówek, sprawdzając Webstera i przegrał swoją rękę przeciwko kolorowi Webstera. Teraz już wyciągnął duży stos złota i próbował odegrać się, wymuszając coraz wyższe zakłady. Webster odpuszczał, chyba że miał odpowiednio duże szanse, ani razu nie ulegając pokusie, by rzucić się na głęboką wodę.

Zajęło mu pół godziny, żeby odebrać tysiąc dolarów w złocie, które Dustin wyciągnął z pasa, i wkrótce Dustinowi zabrakło gotówki. Wstał od stołu.

— To wszystko, co mam przy sobie — oświadczył z wymuszonym uśmiechem. — Wygrałeś, i zanim spróbujesz czegoś się w tym domyślać, wygrałeś uczciwie, o ile wiem. I nie boję się bardziej gry z tobą w pokera niż walki z tobą na pięści lub rewolwery. Wrócę, żeby cię odnaleźć, następnym razem lepiej naładowany.

Webster zebrał swoje wygrane.

— Będę czekał. To lepsze niż robienie tego przy pomocy rewolwerów, prawda? — wyszczerzył zęby w uśmiechu. Następnie krzyknął do Stoneya. — Zobacz, czego tam chcą chłopcy. Ja stawiam.

Wygrał w tej grze znacznie więcej niż pieniądze.

## Rozdział 10

## Raport z postępów

Zrobiło się już ciemno i Webster ponownie znalazł się w salonie pani Halsell. Czekali tam na niego Swanson z Asą Cromwellem, starszym, postawnym prawnikiem, który nosił małe okularki i roztaczał wokół siebie aurę powściągliwej podejrzliwości, jakby zakładał, że cały świat jest winny, dopóki nie udowodni swej niewinności. Sam Swanson był bardziej powściągliwy niż zwykle i wydawało się, że brakuje mu życzliwości, którą okazał Websterowi podczas ich pierwszego spotkania.

Gdyby nie ponowne wyrazy serdeczności od pani Halsell, Webster miałby wrażenie, że znajduje się na swoim własnym procesie.

Po niezbędnych wzajemnych prezentacjach, Swanson, siedzący w wygodnym fotelu w rogu pokoju, który zdawał się być zarezerwowany dla niego, rozpoczął rozmowę z Websterem od sprawy, która musiała być dla niego najważniejsza.

— Nie wiem dokładnie, jak to powiedzieć, Webster — rozpoczął z wahaniem — ale pani Halsell wspomniała mi, że jest pan nieco zaniepokojony towarzystwem, w jakim przebywa moja córka. Ja osobiście, nie znajduję żadnych zastrzeżeń co do jej przyjaciół i…

Webster szybko mu przerwał.

— Rozumiem, co pan ma na myśli. Powiedziałem już pani Halsell, że nie odezwę się ani słowem więcej, na ten temat. Przypuszczam, że mogłoby to zostać uznane za wtrącanie się, choć miałem dobre intencje. W każdym razie, przepraszam. Nie będę więcej wtrącał się w pańskie prywatne sprawy.

— Nie uważam, abym był jakimś szczególnie złym sędzią, jeśli chodzi o ocenę ludzi — kontynuował Swanson, jakby nie mógł pozbyć się złości na Webstera - i uważam, że Emory jest szczególnie inteligentnym i dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem. Pan Cromwell odniósł takie samo wrażenie.

— Już przeprosiłem — powiedział Webster. — Czy w związku z tym, moglibyśmy kontynuować mój raport?

— Tak — zgodził się Swanson. — Czego się dowiedziałeś?

— Ujmę to w następujący sposób — odparł Webster. Otworzył portfel i wyciągnął dwie strony wyrwane z małego notatnika, po czym położył je na okrągłym stole na środku pokoju. — Tak się składa, że kiedy tu przybyłem, zostałem zaprzysiężony jako zastępca, zarówno przez szeryfa Terytorium Indian, jak i Strażnika Teksasu. Obaj ci ludzie już nie żyją, co zaraz wyjaśnię, lecz uważam za swój obowiązek przekazanie ich

przełożonym danych sprawy, nad którą z nimi pracowałem. Ponieważ spodziewam się podjąć kroki, z którymi wiąże się pewne ryzyko mojego niepowodzenia, chciałbym złożyć oświadczenie o tym, co wydarzyło się do tej pory. Dlatego poprosiłem, aby przyprowadził pan ze sobą prawnika, miał pióro i papier. Jeśli pan Cromwell i pani Halsell spiszą moje zeznania, posłużą one jako mój dotychczasowy raport zarówno dla Strażników, jak i dla biura szeryfa, a jednocześnie wysłuchacie go państwo i będzie to mój raport dla was. Czy to jest satysfakcjonujące?

— Nie widzę w tym nic złego. Ale jak to się stało, że zostałeś zaprzysiężony jako zastępca?

— To znajdzie się we właściwym miejscu w zeznaniu. Jest jeszcze jedna kwestia, co do której będę musiał uzyskać obietnicę od tutaj obecnych. Ta sprawa nie została jeszcze zamknięta, a jakikolwiek wyciek informacji, które muszę przekazać, zniszczyłby całe śledztwo. Muszę poprosić całą waszą trójkę, abyście dali mi słowo, że nie podejmiecie państwo żadnych działań ani nie będziecie dyskutować o niczym, z tego co mam do powiedzenia, dopóki nie zwolnię was z tej obietnicy. Zgadzacie się państwo?

Cromwell odchrząknął i popatrzył na Webstera przez okulary w żelaznych oprawkach.

— Jak rozumiem, pańska niedawna - określmy to - przygoda wiązała się z rabunkiem i dwoma morderstwami. Jeśli teraz poda nam pan fakty dotyczące napadu i morderstw, a my nie przekażemy ich władzom, postawi nas to w sytuacji zatajenia informacji o przestępstwie. Przestępstwo musi być zgłoszone odpowiednim władzom.

— Tak, proszę pana — odpowiedział Webster, zniecierpliwiony tym, że ten człowiek dzieli włos na czworo. Wskazując na papiery leżące na stole, powiedział: — Oto moje upoważnienia. W chwili obecnej, jestem przedstawicielem prawa, więc nie ponosi pan żadnej odpowiedzialności. Również to ja pracuję nad tą sprawą, a stróż prawa nie ma obowiązku ujawniać swoich ustaleń, dopóki nie zakończy swojego śledztwa. Gdyby musiał przedstawiać publicznie wszystko, czego się dowiedział, w chwili, kiedy się tego dowiedział, przestępcy zostaliby ostrzeżeni. Żaden stróż prawa nigdy nie złapałby żadnego bandyty. Prawda?

Cromwell zastanowił się chwilę, po czym zgodził się.

— Następną rzeczą jest to, że prosiłbym, aby jedna kopia tego zeznania została umieszczona w skrytce w lokalnym banku na czas mojej nieobecności. Zrobi to pan, panie Cromwell?

— Tak.

— Mam pewne dowody. Być może pani Halsell pokazała już panom karabiny i pociski, które zostały uszkodzone?

— Tak, pokazała — powiedział Swanson. — Trudno w to uwierzyć. Ale mamy pociski, które potwierdzają twoje twierdzenia.

— I broń — przypomniał mu Webster. — Na spodzie lufy, ukryty przez jej drewniane łoże, znajduje się numer seryjny. Można odłączyć lufę od kolby i odczytać numery, które ostatecznie doprowadzą do człowieka, który ją sprzedał. No dobrze. Czy możemy zaczynać?

Pani Halsell i prawnik usiedli przy okrągłym stole na środku pokoju. Ustawiła lampę naftową Aladdin tak, aby światło padało na ich dwa stosy przygotowanych kart papieru.

— Może pan zaczynać — oznajmił sztywno prawnik.

Webster podał datę, po czym zaczął dyktować:

— Ja, James M. Webster, niniejszym uroczyście przysięgam i potwierdzam, że poniższe oświadczenia są prawdziwe, nie zawierają błędów, i zostały złożone na skutek mojego dobrowolnego aktu i czynu…

Następnie zaczął opowiadać o swoich ruchach od czasu, gdy rozpoznał Bena Clantona na stacji kolejowej w Fort Worth. Uwzględnił fakt, że nie rozmawiał z dwoma oficerami, dopóki nie udało mu się zdobyć pracy jako woźnica zaprzęgu Faulknera. Następnie opowiedział o rozmowach między nim a Clantonem i Nixem.

— Omówiliśmy nasze dążenia — kontynuował Webster, — i doszliśmy do wniosku, że skoro nasze cele mogą się pokrywać, powinniśmy przynajmniej być przygotowani na wzajemną pomoc. Wiedząc o ryzyku, jakie podejmowali, spodziewając się, że zostaną napadnięci, a następnie ruszą tropem rabusiów, każdy z nich zaprzysiągł mnie jako swojego zastępcę, umożliwiając mi w ten sposób działanie, w razie potrzeby, jako przedstawiciela prawa, po stronie rzeki w Teksasie lub na Terytorium.

— Poinformowali mnie, że ostrzegli J.B. Faulknera, aby zachował ścisłą tajemnicę, a ponadto, że kupili od niego karabiny i pudełko amunicji, nie chcąc rzucać się w oczy, przewożąc własne karabiny. Te karabiny i pociski sprzedane przedstawicielom prawa przez J.B. Faulknera znajdują się w powiernictwie Erica Swansona.

— Ponadto poinformowali mnie, że pieniądze, które spodziewali się, iż ulegną rabunkowi, zostały oryginalnie dostarczone przez biuro Szeryfa i składały się z dwudziestodolarowych sztuk złota, które zostały oznaczone w następujący sposób.

— Złote monety, powszechnie znane jako Double-Eagles, mają wybitą postać kobiety trzymającej pochodnię i jakiegoś rodzaju gałąź.

W tym miejscu Webster wyjął jedną monetę Double-Eagle z kieszeni i zbadał ją.

— Wokół postaci kobiety — kontynuował, patrząc na monetę — i blisko krawędzi monety, znajduje się krąg malutkich gwiazdek. W pobliżu stopy kobiety, po prawej stronie, patrząc na monetę, znajduje się rok emisji. Urząd Szeryfa uszkodził jedną z gwiazdek na każdej monecie, pieczołowicie odcinając jeden z pięciu promieni gwiazdki, związanej z ostatnią cyfrą w roku wybitym na monecie.

— Oznacza to, że jeśli numer roku kończyłby się na siedem, jak w 1877 roku, to licząc od pierwszej gwiazdki na początku kręgu po lewej stronie, należy odliczyć siedem gwiazdek i wtedy odcięty byłby promień siódmej gwiazdki. A gdyby datą emisji był rok 1873, wówczas brakowałoby promyka trzeciej gwiazdki i tak dalej.

— Tak więc, dziesięć tysięcy dolarów, które przewozili, składało się z pięciuset tak oznaczonych monet. Miało to umożliwić bankom łatwą identyfikację skradzionych pieniędzy i w konsekwencji doprowadzić do prześledzenia jej drogi do osób, które ją ukradły.

— Pieniądze te zostały skradzione podczas napadu, który wydarzył się, jak następuje…

Webster opisał następnie napad i swoje działania w czasie, kiedy zabici zostali przedstawiciele prawa.

— Podczas gdy rabusie plądrowali wóz — kontynuował, — ostrożnie przekradłem się w ciemności i znalazłem ich konie, które ukryli nieco poza szlakiem. Wśród tych koni znajdował się koń gniado-białej maści z brunatną lewą przednią nogą i prawą tylną nogą. Pozostałe nogi zwierzęcia były białe. Mężczyzna kierujący napadem pozostawał w ukryciu, ale wydając mi polecenia, użył wyrażenia, które słyszałem wcześniej od pewnego człowieka i od tamtej pory słyszałem, jak ten sam człowiek je powtórzył. Jego polecenie brzmiało: „Zejdź z tego wozu albo zabijemy cię szybciej, niż płatek śniegu roztapia się w piekle.”.

Swanson poderwał się na nogi.

— To ci się nie uda — oznajmił ze złością. — Celowo kierujesz podejrzenia na Emory'ego Dustina. Mówiłem ci już, że mam pełne zaufanie do tego młodego człowieka. Przyznałeś, że nie widziałeś rabusia, a mimo to próbujesz rzucić podejrzenia na niewinną osobę. Absolutnie, nie wolno ci tego umieścić w zeznaniu. W ogóle.

— Przykro mi, panie Swanson — odparł Webster. — Ale myli się pan. Nikogo nie podejrzewam. Przedstawiam tylko fakty i robię to dla Strażników Teksasu oraz biura szeryfa Stanów Zjednoczonych. Proszę pamiętać, że jestem w obu tych urzędach zastępcą, a to jest oficjalny raport. Muszę to napisać, czy to się panu podoba, czy nie.

Swanson przeszedł wzdłuż pokoju i z powrotem, z rękami założonymi do tyłu, po czym usiadł na krześle, albo ze złością, albo pod wpływem innych emocji. Kiedy stało się jasne, że nie będzie kontynuował swoich sprzeciwów, Webster zaczął mówić dalej.

Opowiedział o krokach, jakie podjął, grzebiąc oficerów i tropiąc ślady bandytów. Następnie, po opisaniu ukrytej doliny i bydła noszącego znaki Swansona i innych właścicieli, a także swojej ucieczki z tego miejsca, wyciągnął dwie kartki papieru ze szkicami.

— Chciałbym, abyście dołączyli jeden z tych szkiców do mojego zeznania. Pokaże on lokalizację ukrytej doliny, na wypadek gdybym nie mógł być tu obecny, aby doprowadzić do niej innych.

— Dlaczego miałoby cię tu nie być? — spytał podejrzliwie Swanson. — Masz zamiar od nas uciec?

— Najpierw myśli pan, że jestem złodziejem, który już od was uciekł. Teraz się pan wścieka, bo myśli pan, że mogę od was uciec. Którą wersję mam sobie wybrać, jako pańskie stanowisko?

— Więc dlaczego miałoby cię tu nie być?

— Mogę dostać kulę, zanim skończę — zauważył rzeczowo Webster. — Tak jak dostali Clanton i Nix. Czy teraz możemy kontynuować?

Znowu wzięli się do spisywania, dyktowanych przez niego faktów dotyczących jego powrotu i raportu dla Faulknera, a także jego późniejszej partii pokera z Emorym Dustinem.

— J.B. Faulkner zapłacił mi za tę podróż dwieście dolarów w złocie — podyktował.

Położył na stole kilka dwudziestodolarowych złotych monet.

— Double-Eagles, którymi mi zapłacił, miały opisane powyżej oznaczenia.

— Później wdałem się w partię pokera z niejakim Emorym Dustinem i zmuszając go do gry o wysokie stawki, wygrałem wszystkie jego pieniądze. Brakowało na nich wyżej wspomnianych promieni gwiazdek.

Kiedy Webster skończył, zapadła długa, przytłaczająca cisza, w czasie której pełna świadomość znaczenia jego zeznania, potrzebowała trochę czasu, aby przebić się do świadomości obecnych. Webster przerwał ją, prosząc panią Halsell o broń i pociski, które u niej zostawił.

W milczeniu wyszła, przyniosła je i położyła na stole pośrodku pokoju. Webster wziął scyzoryk i odkręcił łoże od lufy każdego karabinu, a następnie skopiowali numery ze spodu luf. Po zakończeniu tej pracy, dopisali również numery seryjne z pudełka na naboje.

Webster wyjął z kieszeni papierową torbę i położył ją na stole.

— Zawiera ona tysiąc dolarów w znaczonym złocie, które wygrałem od Dustina, z wyjątkiem kilku monet, które zatrzymam. Jest własnością biura szeryfa.

Położył obok niej, kolejny stosik monet.

— To są pieniądze, którymi zapłacił mi Faulkner — powiedział. — One również należą do rządu.

Następnie zwrócił się do Swansona:

— Obiecał mi pan wcześniej, że bezpiecznie przechowa pan te rzeczy w skrytce w banku. Oczywiście z wyjątkiem karabinów, które nie mogą trafić do skrytki. Może pan ukryć je tam, gdzie pan uzna, że będą bezpieczne.

Stary prawnik zamilkł na dłuższą chwilę, a teraz przemówił.

— Obawiam się, że nie możemy trzymać tego w tajemnicy. Naszym obowiązkiem jest przekazanie tych dowodów odpowiednim władzom.

Głos Webstera zabrzmiał szorstko.

— Wyjaśniłem już panu, że to ja jestem w tej sprawie właściwym organem władzy. Otrzymałem pańską obietnicę współpracy. I mogę panu obiecać, że nie pozwolę panu na przekazanie tych rzeczy komukolwiek. Jeśli pańskie słowo jest nic niewarte, zabiorę swoje dowody i zajmę się kolejnymi ustaleniami. Nadal jestem przedstawicielem prawa i pracuję nad tą sprawą.

Swanson siedział przygarbiony na krześle, z twarzą podpartą dłonią na czole. Webster dostrzegł głębokie zmarszczki wokół ust mężczyzny i zrobiło mu się go żal.

Swanson powiedział, jakby walczył sam ze sobą:

— To nie jest dowód na to, że to był Dustin. Mogą przecież istnieć inne konie, które pasują do opisu. Nie widziałeś tego człowieka. Słyszałeś tylko jego głos i usłyszałeś, jak używa wyrażenia, którego często używa też Dustin. Każdy mógł użyć tego wyrażenia. Nie można skazać człowieka bez uczciwego procesu. Trzeba widzieć, jak coś robi.

— Ma pan rację — przyznał Webster. — Nie widziałem, żeby Dustin to zrobił. Nie musi pan wierzyć w moje słowa: być może nie potrafiłbym udowodnić tego, co powiedziałem. To tylko moje słowo przeciwko jego słowu. Ale jest pan winien samemu sobie, aby zawiesić własny osąd na

jego korzyść, tak jak ja muszę zawiesić mój osąd przeciwko niemu. To już nie potrwa długo.

— Dlaczego? Jak można w ogóle podjąć ostateczną decyzję w jego sprawie?"

— Wkrótce podejmę ostateczną decyzję — zapewnił go Webster. — Dlatego chcę zostawić panu te rzeczy. Mógłbym mieć pewne problemy z ich zachowaniem.

— Jak zamierzasz udowodnić swoje podejrzenia?

— Zamierzam przyłączyć się do tej bandy.

Zapadła kolejna długa cisza. Webster ponownie ją przerwał.

— Panie Cromwell, zdecydował się pan już, czy podtrzymuje pan swoje zobowiązanie, że będzie pan chronić moje dowody, czy też muszę poczynić inne przygotowania?

— Po prostu nie wiem, co robić.

— Nie ma pan swobody działania — stwierdził krótko Webster. — Został pan tu sprowadzony na moją prośbę, przez pana Swansona. Jest pan jego prawnikiem i znalazł się pan tutaj, w jego interesie. Jeśli nie może pan prowadzić jego spraw tak, jak on sobie tego życzy, powinien on o tym wiedzieć. Jeśli chce pan wziąć sprawy w swoje ręce i ingerować w obowiązki przedstawiciela prawa, powinien pan mu o tym powiedzieć.

Zwrócił się do Swansona.

— Co pański prawnik ma zrobić w pańskim imieniu, współpracować ze mną, czy kazać mi zabrać dowody i samemu zająć się moimi własnymi sprawami?

Swanson wyprostował ramiona i wstał. Jego twarz była pełna napięcia, ale szczęka nagle stała się kwadratowa, a usta zacisnęły się.

— Przez cały czas próbowałem zrozumieć, jak mogłeś opowiedzieć nam taką historię i spodziewać się, że w końcu podejmiemy na jej podstawie działania, nawet jeśli nie jest ona prawdziwa. Gdybym widział jakikolwiek sposób, w jaki mógłbyś zyskać coś na tej historii, lub jak mógłbyś ją opowiedzieć i poprzeć swoim słowem, gdyby nie była prawdziwa, to nie uwierzyłbym w ani jedno twoje słowo. Wiara w przedstawione przez ciebie fakty jest sprzeczna z moimi najgłębszymi uczuciami, ale Webster, nie mam innego wyboru. Robię to z najwyższą niechęcią, ale muszę ci uwierzyć. A więc, oczywiście, będę z tobą współpracował.

— Cokolwiek postanowisz, Eric — zawtórował mu Cromwell. — Możesz założyć, że zachowam to w tajemnicy, Webster, choć jest to sprzeczne z zasadami.

Webster skinął ironicznie głową.

— Dziękuję bardzo panom.

Swanson przeszedł przez pół pokoju.

— Webster, w świetle tych faktów, jestem ci winien przeprosiny. Potrafisz przecież zrozumieć, jakie były moje osobiste odczucia w tej sprawie. Być może to strach przed tym, co te wiadomości zrobią z moją córką, sprawił, że trudno mi w nie było uwierzyć. Nie muszę ci chyba mówić, że teraz, kiedy mnie przekonałeś, dowiodłeś mi, że byłeś w pełni usprawiedliwiony, robiąc wszystko, co w twojej mocy, aby niewinna

dziewczyna nie została skrzywdzona. Chciałbym więc cię przeprosić i podziękować.

Swanson wyciągnął do niego rękę, a Webster uścisnął ją. Poczuł ulgę, wiedząc, że udało mu się pokazać Ericowi Swansonowi prawdę o Dustinie, ale poczuł odrobinę smutku, gdy zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie będzie w stanie uniknąć bólu rozczarowania, które musiało nadejść. Gdyby mógł jej tego oszczędzić, zrobiłby to z całą pewnością.

— Webster — oznajmił Swanson, wykazując oznaki nowego życia i determinacji. — Musimy coś z tym zrobić. Cokolwiek masz na myśli, daj mi znać, a ja się tym zajmę. Jakie są twoje plany?

Webster wziął jedną z dwóch szkicowych mapek, które przygotował. Ołówkiem zaznaczył na niej mały krzyżyk w pobliżu ukrytej doliny.

— Jak już mówiłem, zamierzam przyłączyć się do tej bandy, jeśli będzie to możliwe. W każdym razie będę musiał pokręcić się tam po okolicy, aby prowadzić dalej swoją sprawę. Chciałbym, żeby pożyczył mi pan na jakiś czas Dicka Hammonda.

— Myślałem, że uzgodniliśmy, iż będziemy trzymać w tajemnicy naszą współpracę.

— Będziemy. Oto, czego chcę, od Dicka. Po pierwsze, proszę mu powiedzieć, żeby przestał się golić. Niech zapuści brodę i ubierze się w najstarsze ubrania, jakie znajdzie. Ma wyglądać jak jakiś pustelnik, ekscentryk. Broda i stare łachy uchronią go przed rozpoznaniem, o ile istnieje w ogóle takie ryzyko, w co wątpię.

— Niech weźmie jucznego rumaka i trochę jedzenia, a następnie uda się do tego miejsca na mapie. Znajdzie tam starą opuszczoną chatę, którą pozna po starym ostrzu siekiery, które musiało zostać wbite w sosnę rosnącą przed drzwiami, jakieś dwadzieścia lat temu. Jest w połowie wyrośnięte w drzewo.

— Chata znajduje się poza szlakiem, nad strumieniem. Będzie się nudził czekając na mnie, więc lepiej niech weźmie ze sobą kilka haczyków i żyłek, żeby zabić czas. Proszę mu powiedzieć, żeby tam pojechał i po prostu czekał. Chodzi mi o to, że kiedyś być może będę musiał się z panem skontaktować, a sam nie będę mógł odbyć takiej podróży. Zaś ta chata jest blisko wyjścia z tej ukrytej doliny i mogę do niej zajść, przekazać wiadomość dla pana jemu i wrócić do doliny, jeśli pojawi się taka potrzeba. W każdym razie chciałbym, żeby go pan tam wysłał.

— Będzie tam.

— A czy zaczął już pan kontaktować się z sąsiadami, którym może pan zaufać? Na wypadek, gdybym potrzebował pana i grupy pańskich przyjaciół w pośpiechu, chciałbym wiedzieć, że poczynił już pan przygotowania, aby ich zebrać i przyjechać.

— Rozmawiałem ostrożnie z kilkoma z nich — poinformował go Swanson. — Praktycznie wszyscy tutaj są gotowi wykonać swoją część roboty, w rozbiciu tej bandy.

— Może być. To chyba wszystko, co mam do powiedzenia.

— Proszę mi powiedzieć — spytał prawnik swoim piskliwym i powściągliwym głosem. — Jak zamierza pan dostać się do tej bandy? Jeśli

wywołał pan takie spustoszenie, podczas poprzedniej wizyty, to myślę, że nie powitają pana z otwartymi ramionami.

— Jestem pewien, że nie — zaśmiał się Webster. — Ale jestem równie pewien, że nie pozwolę, aby taka drobnostka mnie powstrzymała.

— W takim razie, jak ma pan zamiar zacząć pracować dla takiej bandy? To pytanie jest oczywiście czysto akademickie. Ja nie mam zamiaru dostawać się nigdy do żadnej takiej grupy.

— No dobrze — odparł Webster. — Dzięki długoletniemu doświadczeniu odkryłem, że jest to pewnego rodzaju sztuka, podobnie jak dostawanie się do czegokolwiek innego, na przykład do sejfu lub do ekskluzywnego klubu. Moje własne umiejętności w tej sztuce zostały wypracowane i doprowadzone do perfekcji w oparciu o teorię, że wszyscy ludzie odczuwają szacunek dla swoich profesji. Pan, jako prawnik, jak śmiem przypuszczać, ma pewien szacunek dla uznanych sędziów. Czy to prawda?

— Zgadza się. Naturalnie, że szanuję kompetencje zawodowe człowieka, który osiągnął taki zaszczyt, jakim jest stanowisko sędziego.

— Właśnie o to mi chodzi — odpowiedział poważnie Webster. — Śmiem twierdzić, że ucieszyłoby pana towarzystwo człowieka tak wybitnego w pańskim zawodzie?

— Oczywiście. Mielibyśmy ze sobą wiele wspólnego.

— Widzi pan, sam pan przedstawił moje podejście, za mnie. Teraz musi pan sobie jeszcze wyobrazić, że nawet najgorsze skunksy podziwiają swoich bardziej biegłych kompanów. Widzi pan, zamierzam związać się ze złodziejami i oszustami. Naturalnie więc spodziewam się, że zdobędę ich szacunek, udowadniając im, że jestem jeszcze lepszym oszustem i jeszcze bardziej zimnokrwistym złodziejem, niż oni. Proste, nie sądzi pan?

Prawnik zakaszlał, podejrzewając, że został oszukany. Ale będąc człowiekiem pozbawionym poczucia humoru, nie zauważył, ani w żaden sposób nie zinterpretował, nagłego wyjścia do kuchni pani Halsell, z podejrzanie trzęsącymi się ramionami i podciągniętym powyżej ust fartuchem.

## Rozdział 11

## Webster dobija targu

Było już środkowe popołudnie następnego dnia, kiedy Webster, czekający w barze Red River, zobaczył Emory'ego Dustina, który podjechał na swoim gniadosiwym wałachu i wszedł do środka. Webster dołączył do niego przy barze i wypili kilka drinków.

— Co powiesz na szansę abym mógł odzyskać moje pieniądze? — zapytał Dustin. — Tym razem mam całe mnóstwo amunicji. — Potrząsnął garścią złotych monet w kieszeni.

— Dam ci szansę na zarobienie prawdziwych pieniędzy — odpowiedział wymownie Webster.

Dustin popatrzył na niego ostro znad kieliszka.

— Jakich pieniędzy?

— Prawdziwych pieniędzy. Takich, że musiałbyś je wozić taczkami.

Dustin roześmiał się.

— To nie brzmi zbyt dobrze. Brzmi, jakby były to brudne pieniądze.

— Są brudne. Pobrudzą ciebie i pobrudzą mnie, ale nie są zbyt brudne i trudne, do zdobycia.

Dustin zaśmiał się i pokręcił przecząco głową.

— Nie. Jestem po prostu ciężko pracującym młodym człowiekiem, który próbuje sobie radzić w życiu. Moja szyja jakoś nigdy nie czuje się komfortowo, gdy nie ma wokół siebie luzu. Nigdy nawet nie zapinam kołnierzyka. Nie czułbym się swobodnie z pętlą na szyi. Lepiej na mnie nie licz.

— No cóż, nie jest aż tak źle — zapewnił go Webster. — Po prostu człowiek powinien korzystać z okazji, kiedy się nadarzają. Dobrze zapowiadający się młody człowiek, taki jak ty, powinien skorzystać z szansy zarobienia paru uczciwych dolarów, na krowach.

— Uczciwe dolary, mogą być. Brudne dolary, nie.

— A co byś powiedział na własny biznes, we współpracy ze mną? — Webster nalegał łagodnie. — Połowa udziałów w dużym biznesie?

Dustin uniósł brwi.

— Masz duży biznes?

— Mogę położyć ręce na jednym i to będzie twoje i moje. Żadnych innych partnerów. To duży biznes. Wiele możliwości.

— Gdzie jest ten biznes?

— Głównie na Terytorium.

— Czyj on jest?

— Faulknera.

— Nie. Nigdy nie lubiłem tego człowieka i nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

— Myślę — powiedział Webster — że mogę pokazać ci nowe spojrzenie na tę sprawę. To może sprawić, że zmienisz zdanie. Chodź ze mną do stolika, to ci coś pokażę.

— Mówię ci, że nie jestem zainteresowany. Niczym podejrzanym i niczym, co ma cokolwiek wspólnego z Faulknerem.

— Poczekaj, aż zobaczysz co mam ci do pokazania — kontynuował Webster, ignorując odmowę Dustina.

Wziął butelkę i szklaneczki, podszedł do zacisznego stolika pod ścianą naprzeciw baru i usiadł. Dustin przyszedł tuż za nim.

Webster nalał dwa drinki, podsunął jedną szklaneczkę Dustinowi, po czym wyjął z kieszeni kopię swoich zeznań i otworzył ją, rozkładając papiery przed Dustinem.

— Przeczytaj to, Dustin, a zobaczysz, co mam na myśli.

Dustin opróżnił szklaneczkę i zaczął czytać, podczas gdy Webster zapalił papierosa i obserwował jego twarz. Oczy Dustina wyostrzyły się i oblizał wargi, wczytując się w długie oświadczenie. Po chwili oddech zaczął świstać mu w nosie, nozdrza rozszerzały się i kurczyły, a dłoń na szklaneczce do whiskey pobielała w knykciach.

Webster siedział przed nim w milczeniu, obserwując grę emocji na twarzy swojego rozmówcy, gdy ten czytał dokument, który mógł go posłać na szubienicę.

Kiedy Dustin przejrzał dokument, zaczął nieustannie pocierać podbródek jedną ręką, podczas gdy jego oczy błądziły tam i z powrotem po podłodze, starannie unikając wzroku Webstera.

Webster przemówił do niego łagodnie.

— Obejrzyj sobie te sztuki złota, którymi chwilę temu grzechotałeś w kieszeni.

Wydawało się, że niemal oszołomiony, Dustin wyciągnął jedną z monet z kieszeni i upuścił ją przed sobą na stół, jakby była nieczysta. Ostrożnie obrócił ją palcem, aż postać kobiety znalazła się na niej prawą stroną do niego, aby mógł odczytać datę.

Następnie długo wpatrywał się w monetę, zafascynowany, jak ptak wpatrzony w hipnotyczne spojrzenie węża, który miał go właśnie połknąć.

Webster dociskał go.

— Rząd federalny ma raczej krytyczne podejście do ludzi, którzy kradną jego pieniądze i zabijają jego przedstawicieli. Słyszałem, że ten sędzia w Fort Smith zawsze skazuje więźniów na śmierć, bo dostaje pięćdziesiąt dolarów ekstra za to, że sam ich wiesza. Jeśli chodzi o Strażników Teksasu, to też nie przepadają oni za chłopcami, którzy zabijają ich ludzi.

Twarz Dustina stała się biała, z wyjątkiem różowych plam na kościach policzkowych. Mimo to nie podniósł wzroku na Webstera, tylko wpatrywał się w podłogę.

— Jeszcze jedna myśl do rozważenia — kontynuował Webster monotonnym głosem, którym mówił przez cały czas. — Wezmę tylko z powrotem ten dokument, jeśli skończyłeś go czytać.

Złożył zeznanie i schował je do kieszeni.

— To, co chciałem jeszcze dodać — kontynuował — brzmi następująco! Wyobrażam sobie, że gdyby to mnie złożono taką propozycję, pierwszą rzeczą, jaką bym zrobił, to zastanowiłbym się, jak mógłbym wyciągnąć mojego rozmówcę w jakieś ustronne miejsce, załatwić go, zdobyć ten papier i zniszczyć go. Oczywiście, nie można winić człowieka za podobne myśli. Więc, nie mam ci tego za złe. Chcę żebyśmy byli przyjaciółmi. Ale uważam, że powinienem ci to wyjaśnić do końca, abyś nie działał dalej bez pełnego zestawu informacji, na podstawie których mógłbyś podejmować decyzje. Ten papier, to duplikat. Druga kopia, wraz z bronią i amunicją, odznakami przedstawicieli prawa i temu podobnymi rzeczami, została przekazana innym ludziom na przechowanie. Jestem człowiekiem, który lubi dbać o swoje bezpieczeństwo. Zawsze patrzę w przyszłość, więc poczyniłem niezbędne przygotowania, aby w przypadku gdybym nie skontaktował się z ludźmi, którzy przechowują tę drugą kopię i inne rzeczy, wysłali oni wszystkie materiały do biura szeryfa USA na Terytorium. To tylko środek ostrożności, aby ci inni ludzie, pomogli mi zadbać o moje dobro. Jak widzisz, ta odrobina przezorności sprawia, że dla ciebie i Faulknera niezwykle ważne staje się, abym przeżył. Niezły pomysł, nie uważasz?

Leżące na stole dłonie Dustina zacisnęły się w pięści, gdy uniósł wzrok, a jego twarz ściągnęła się, przyjmując wyraz, którego Webster nie potrafił w pełni odczytać.

— Kim do cholery jesteś i co próbujesz osiągnąć? — Głos Dustina robił się coraz bardziej piskliwy.

Webster wykonał uspokajający gest dłonią.

— Jak ci mówiłem, jestem człowiekiem, który lubi zarobić parę dolarów, kiedy widzi ku temu okazję. W tym układzie tkwią spore szanse. Naprawdę spore. Pomyślałem, że może będziesz chciał z nich skorzystać.

— A na czym polega haczyk? Jesteś Strażnikiem, który próbuje zmusić mnie do przyznania się do czegoś? Czy też szeryfem federalnym spoza swojego okręgu?

— Ani jednym, ani drugim! Działam tu we własnym interesie. Po prostu przypadkiem wpadłem na tę sprawę z Faulknerem. Ale teraz, kiedy już mi to wpadło w ręce, mam zamiar sprawić, aby to mi się opłaciło.

— Jak?

— Jak? — powtórzył Webster. — Człowieku, czy ty w ogóle nie masz wyobraźni? Ani ambicji? A co powiesz na to, aby wydrzeć Faulknerowi duży kawałek tego tortu? To idealny układ i jeśli troszkę nad tym popracujemy, powinniśmy zapewnić sobie wielkie zyski. Tylko ty i ja, powiedzmy.

— A co z Faulknerem?

— Chcesz powiedzieć, że nie dasz sobie z nim rady?

— Nie potwierdzam nawet, że go znam. Nie przyznaję się do niczego, co tam napisałeś.

— Oczywiście, że nie. Ale jest coś, co o tobie wiem, a ty nie zdajesz sobie sprawy, że ja to wiem. Lubisz dolary tak samo jak każdy inny człowiek. Znam Faulknera na tyle dobrze, żeby czuć, że nie daje ci zbyt

dużego udziału w tym interesie. Pewnie z tych dziesięciu tysięcy wziął połowę i dał ci drugą połowę. A ze swojej połowy wziąłeś pewnie ze dwa tysiące, a resztą podzieliłeś się z chłopakami w dolinie.

— Nie wiem, o jakiej dolinie mówisz.

— Rób, jak chcesz — cierpliwie powiedział Webster. — W takim razie ja sam będę musiał pójść do Faulknera. A jeśli to zrobię, przejmę cały układ. Nie bawię się w groszowe interesy. Chcę poważnych pieniędzy. Możesz pójść ze mną i mieć w tym udział. Albo jeśli nie, to rzucę cię wilkom na pożarcie. Ten tysiąc dolarów w złocie, który wygrałem od ciebie wczoraj wieczorem, pośle cię prosto na szubienicę, a sędzia dostanie kolejną pięćdziesiątkę za wykonanie tej roboty. To usunie cię z drogi.

— Może zrobisz to. A może nie.

— A może mnie zabijesz i poślesz kopię tego dokumentu prosto do władz federalnych? — Webster delikatnie zadrwił. — Nie jesteś aż tak głupi, Dustin. A teraz, czy chcesz ze mną pójść i porozmawiać z Faulknerem - czy też mam pójść sam i porozmawiać z nim, wyłącznie na swój własny rachunek?

— Powiedzmy, że po prostu usiądę sobie i będę patrzył, jak to robisz. Wtedy będę miał cię na krótkiej smyczy, tak jak myślisz, że ty masz mnie teraz.

— Jasne — zgodził się Webster. — Nie myśl, że tego nie przewidziałem. A kiedy wiem, że jakiś facet może mnie wziąć na krótką smycz, to muszę pozbyć się jego samego i jego smyczy, zanim będzie mógł mi ją założyć. Czyż nie? Dokładnie tak samo, jak ty myślałeś, że możesz załatwić mnie. Chcesz zobaczyć, jak biorę się do roboty?

Dustin popatrzył na Webstera z szczerym zdumieniem.

— Jesteś zimnokrwistym sukinsynem, co?

— Powiedz mi, Dustin, jak daleko bym zaszedł, gdybym nie był? Jaki miałbym wykonać ruch, żeby zaatakować Faulknera, jeśli nie taki, aby pokonać go w jego własnej grze?

Dustin nie odpowiedział na ostatnią kwestię. Nalał sobie kolejnego drinka i opróżnił go drżącą ręką.

Po chwili namysłu zapytał:

— Jaki jest twój pomysł?

— Mam ich milion. Usłyszysz je, kiedy ty i ja porozmawiamy sobie z Faulknerem. Przez jakiś czas możemy go wykorzystywać w naszym biznesie. Trzeba pozwolić mu myśleć, że to on nadal rządzi. Kiedy wyciągniemy z niego wszystko co chcemy, rzucimy go psom na pożarcie. Nie ma sensu ciągnąć za sobą zbędnego bagażu. Jeśli podróżujesz na lekko, będziesz podróżować szybciej. Tak?

Dustin pokręcił głową w milczącym zdumieniu.

— A co, jeśli nie pójdę z tobą?

— Pójdziesz! Wolisz żyć i mieć swój kawałek tego interesu, niż z niego wylecieć - z tymi stróżami prawa na karku. Nie martwię się, że będziesz biegał po całej okolicy i chlapał na wszystkie strony ozorem, wiedząc to co wiesz, o prowadzonym przeze mnie biznesie.

— Prowadzonym przez ciebie?

— Prowadzonym przeze mnie. Nie oszukuj się, Dustin.

Dustin wpatrywał się w szklaneczkę, a wytężona praca jego umysłu, rysowała się wyraźnie na jego twarzy. Po chwili opanował się i zdobył się na uśmiech, w którym widoczna była iskra triumfu, której nie potrafił do końca ukryć.

— Nie, Webster. Nie sądzę, żebym kupił twoją ofertę. Po prostu zapomnij o tym.

— Jak chcesz — Webster wzruszył ramionami. — Ale pamiętaj, co mi mówiłeś o tej swojej delikatnej szyi.

— Nie martwię się o moją szyję. Widzisz, nie ukryłeś haczyka dostatecznie głęboko. Nie myślisz o wydaniu mnie w ręce prawa, bo byłeś zamieszany w ten napad tak samo mocno jak ja. To ty masz w tej chwili część tego złota. Spróbuj powiedzieć ławie przysięgłych, że wygrałeś je ode mnie w pokera. Każda ława przysięgłych padłaby trupem ze śmiechu, gdybyś opowiedział jej taką historię. Zatańczyłeś małe fandango z Flintem tylko po to, żeby mieć szansę na obrabowanie tego wozu. To ty jesteś człowiekiem, który wymyślił ten układ, i wszyscy w mieście widzieli, jak to robisz. Nie, Webster, grasz całkiem nieźle w pokera; to był bardzo dobry blef, ale ja cię sprawdzam i podbijam stawkę. Tak naprawdę, to mówię ci, żebyś wynosił się z tego miasta. Natychmiast! I to szybko! Bo jeśli tego nie zrobisz, zabiorę cię i wydam w ręce prawa za ten napad. Osobiście nie wiem o tym nic, poza tym, co usłyszałem od ciebie. No dobrze, możesz już sobie iść. I powodzenia następnym razem.

Webster wzruszył ramionami i wstał.

— Dobrze — powiedział. — Jeśli sobie tego życzysz, to pójdę.

— Lepiej, żebyś to zrobił.

— Najpierw, jeszcze tylko jeden szczegół — dodał Webster, jakby na marginesie. — Widzisz, tak jak napisano w tych papierach, w czasie napadu byłem zastępcą szeryfa i wraz z dwoma innymi stróżami prawa pilnowałem złota. Nadal jestem zastępcą przedstawiciela prawa, jeśli mnie pamięć nie myli. Więc idę, tak jak sugerujesz. Ale aresztuję cię za morderstwo oraz napad i zabieram cię ze sobą. I pozwól, że cię ostrzegę, jeśli będziesz stawiać opór podczas aresztowania, będę musiał użyć wszelkich środków, jakie uznam za konieczne, żeby cię zabrać ze sobą - żywego lub martwego. No to, jak będzie? Zdecyduj się. Śpieszę się, tak jak mi kazałeś.

Wstał i stanął nad Dustinem, a jego prawa ręka spoczywała na broni. Dustin siedział ze szklaneczką whisky w prawej dłoni i miał za dużo rozumu, żeby w ogóle pomyśleć o przesunięciu tej ręki w dół, aby sięgnąć po rewolwer.

Twarz Dustina zrobiła się odrobinę szara, a cały triumf z niej zniknął, pozostawiając tylko rozdrażnienie.

— Najpierw masz zamiar przejąć ten interes i zapominasz, że jesteś szeryfem. Następnie przypominasz sobie, że jesteś zastępcą szeryfa, i przepełnia cię prawe poczucie obowiązku oraz chcesz wsadzić mnie do paki. Czemu się na coś nie zdecydujesz? Nie jesteś w stanie sobie przypomnieć, czy w tej chwili jesteś oszustem, czy przedstawicielem prawa?

Webster uśmiechnął się do niego.

— Dustin, człowiek w moim biznesie musi nauczyć się kontrolować swoją pamięć, żeby móc pamiętać właściwe rzeczy, we właściwym czasie. Pójdziesz ze mną do Faulknera, albo zostaniesz stąd wyniesiony nogami do przodu, za stawianie oporu w czasie aresztowania. Nie robi mi to różnicy, czy będę musiał zastrzelić cię tutaj, czy gdzieś dalej. Jeśli będę musiał zrobić to wcześniej czy później, równie dobrze mogę to zrobić od razu, i mieć to z głowy, póki mam przeciwko tobie tę świeżą sprawę o napad.

— Nie masz przeciwko mnie żadnych dowodów.

— Więc nie musisz się o nic martwić w sądzie. Mam już dość tego całego gadania. Idziesz ze mną czy chcesz się dowiedzieć, co zrobię?

Dustin niechętnie wstał i poszedł z Websterem do baru zapłacić rachunek.

— Dokąd idziecie, chłopaki? — uśmiechnął się szeroko Stoney. — Na ryby? Siedzieliście tam tak, jakbyście szykowali się do wyłapania wszystkich sumów w kraju.

— Tak — odpowiedział Webster, zbierając drobne z reszty. — Wybieramy się aby złapać wielką, cętkowaną rybę.

Kiedy szli w stronę magazynu Faulknera, minęli Dicka Hammonda wiozącego do miasta Sonię Swanson w bryczce. Sonia pomachała Dustinowi i powiedziała coś do Dicka. Hammond zatrzymał zaprzęg, a Dustin podszedł do bryczki i zamienił z nią kilka słów. Hammond trzymał wzrok starannie skierowany do przodu, a Webster czekał na chodniku, nie będąc rozpoznany, a żadne z nich nie odezwało się do niego.

Kiedy Webster stał, czekając na Dustina, przyglądał się chłopakowi i dziewczynie w bryczce. Byli idealnie dobraną parą, a ich zainteresowania już wcześniej leżały blisko siebie. Porównał uczciwego i szczerego młodego Hammonda, z rozmawiającym z dziewczyną Dustinem, którego ona obdarzała zaufaniem, i naszedł go jeden z napadów rozgoryczenia, jakie ostatnio często go dręczyły. Rozmyślając o niesprawiedliwości, jaka, bez żadnego powodu, zdawała się spadać na ludzi, zabrnął w ślepy zaułek, w którym zawsze kończył tego rodzaju refleksje. Nigdy nie potrafił zrozumieć takiej niesprawiedliwości i ta myśl go doprowadzała do irytacji. Kopnął do rynsztoka jakiś kamień i skręcił napiętymi palcami papierosa.

Te małe sceny, w których widział nasiona przyszłego nieszczęścia, tak niesprawiedliwie zasianego, zawsze przenosiły go z powrotem do czasów jego własnej młodości. Ojciec i matka Webstera, którzy ciężko pracowali, aby zbudować dom dla siebie, dla niego i jego młodszej siostry, nagle znaleźli się między kamieniami młyńskimi dwóch żądnych ziemi ranczerów. Będąc szarym, nieistotnym człowiekiem, jakim był, i w dodatku zupełnie osamotnionym, ojciec Webstera nie miał szans. Był jedynie drobną przeszkodą odsuniętą na bok przez pierwszego z dwóch ludzie, którzy przetoczyli się przez jego ziemię. Próbował się bronić i został zabity, po prostu ot tak, mimochodem, jako przypadkowa ofiara wielkiej wojny. Ale kiedy wojna się skończyła, jeden człowiek przejął kontrolę nad całą ziemią i zapanował tam pokój, tragiczne efekty walki nadal narastały, a człowiek, który je spowodował, nawet o nich nie wiedział - ani się nimi nie przejmował.

Matka Webstera, wyczerpana i chora, z dwójką małych dzieci na utrzymaniu, nie żyła długo. Zmarła z przepracowania i z głodu, i taki był rezultat chciwości dwóch ludzi, którzy nigdy nawet o niej nie słyszeli i nie byliby nią zainteresowani. Jego siostra podjęła pracę jako służąca w domu w mieście, co zniszczyło dumę jej wolnego ducha. Próbowała oderwać się od swojej podrzędnej pozycji społecznej; zakochała się w przystojnym młodym hazardziście z czarnymi falowanymi włosami i odeszła z nim.

Webster nawet nie wiedział, gdzie ona jest dzisiaj, lecz wiedział, że gdzieś nadal płaci drogo za coś, co się wydarzyło, a co jej w ogóle nie dotyczyło.

To właśnie taka pozornie bezsensowna niesprawiedliwość i inne podobne rzeczy, czasami wzbudzały w nim gorycz. A w innych przypadkach, ponieważ nie miał swoich własnych więzów krwi, powodowało to, że budziło się w nim sentymentalne zainteresowanie związkami innych ludzi, jakby jakimś sposobem, interesując się nimi, tworzył własną rodzinę, którą mógł się zajmować i chronić.

Takie właśnie uczucia pojawiły się w nim w stosunku do Soni Swanson i Dicka Hammonda, tak właśnie widział ich teraz. I patrząc na Dustina, poczuł silną żądzę, aby wziąć to wypaczone młode stworzenie i wdeptać je w ziemię. To tacy ludzie jak Dustin - i jak Faulkner - kosztowali niewinnych i porządnych ludzi tak wiele cierpienia, i tak wiele owoców ich trudu.

To właśnie ta myśl, utwardzała jego serce przeciwko Faulknerom i Dustinom tego świata, co pozwoliło mu traktować ich z takim samym bezlitosnym okrucieństwem, z jakim oni odnosili się do swoich ofiar.

Robił to z zimną i wyrachowaną intensywnością, i tylko fakt, że musiał zaczekać i wyrwać te wszystkie chwasty z okolicznej ziemi, powstrzymał go przed natychmiastowym podejściem do bryczki i skorygowaniem poglądów Soni Swanson na temat Dustina.

Webster miał przed sobą jeszcze długą i zdradliwą drogę, zanim będzie mógł doprowadzić do takiej ostatecznej rozprawy. Wysoki człowiek ze smutkiem muskającym jego szorstką twarz, wyparł uczucie samotności ze swojej świadomości, koncentrując się na nienawiści do tego rodzaju ludzi, z jakimi musiał walczyć.

## Rozdział 12

## Negocjacje biznesowe

Kilka minut potem, Webster i Dustin weszli do magazynu Faulknera i ruszyli w stronę biura. Stary myszaty urzędnik stanął przed nimi i nieśmiało się uśmiechnął.

— Przepraszam, ale pan Faulkner jest teraz zajęty.

Webster odepchnął szorstko mężczyznę.

— Naprawdę? — powiedział i ruszył w stronę biura, nie zwalniając kroku.

Otworzył drzwi, a Dustin wszedł za nim i zamknął je za sobą.

Faulkner siedział za biurkiem i spoglądał na nich nie zmieniając wyrazu swej twarzy martwego człowieka. Webster popatrzył za niego i zobaczył stojącego przy oknie Ike'a Flinta.

Mógł niemal zobaczyć, jak Flint stroszy futro jak wściekły kot. Uśmiechnął się krótko do wąsatego mężczyzny, a następnie odwrócił się do Faulknera.

— Mam coś z tobą do omówienia — oznajmił. Następnie znacząco popatrzył na Flinta. — W cztery oczy.

— Jestem teraz zajęty — odparł Faulkner, bawiąc się piórem na biurku. — Wróć, jak skończę.

— To nie może czekać. Odeślij go, żebyśmy mogli porozmawiać — powiedział Webster, kiwając głową w stronę Flinta.

Flint spojrzał pytająco na Faulknera, szukając jakiegoś znaku, ale Faulkner nawet się nie ruszył.

— W porządku, jeśli chcesz, żeby został, to ja się zgadzam - na razie. — Webster wyjął zeznania z kieszeni, ostrożnie je porozkładał i położył na biurku Faulknera. — Właśnie pokazałem to Dustinowi, przeczytał je i zgodził się, że podane w nich fakty są poprawnie…

— Nie zrobiłem żadnej takiej cholernej rzeczy — wtrącił Dustin. — Przeczytałem to i powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego.

— W porządku — powiedział uspokajająco Webster. — Myślałem, że przekonałem cię do tego pomysłu. Dokończę tę robotę później, jak tylko przekonasz się, że Faulkner się ze mną zgodzi. Przeczytaj to, Faulkner, a potem porozmawiamy o interesach.

Szkliste oczy Faulknera niechętnie i bez żadnego zainteresowania powędrowały na papier. Nagle przykleiły się do niego, a potem w pokoju ucichły niemal wszystkie dźwięki poza brzęczeniem końskiej muchy, próbującej wydostać się na dwór przez szklaną szybę nad głową Faulknera.

Po długiej, wypełnionej głuchą ciszą przerwie, Faulkner odłożył papier na biurko i popatrzył na Webstera.

— No cóż — stwierdził. — I co?

Dustin wtrącił się ponownie.

— Powiedziałem mu, że nie ma w tym niczego, co mogłoby nam zaszkodzić lub jemu pomóc. Nie jest to warte papieru, na którym jest napisane.

Faulkner zdawał się nie słyszeć go, tylko patrzył na Webstera.

— I co? — powtórzył.

— Partnerstwo — oznajmił chłodno Webster.

— W czym?

Webster skinął głową w stronę papierów.

— W tym.

— Nic o tym nie wiem — stwierdził Faulkner. — To mówi mi tylko jedno. Że wpadłeś na jakiś wspaniały pomysł, który zbudowałeś z niczego. Nie byłbyś w stanie nawet zmusić sędziego, żeby wysłuchał tej historii, a co dopiero, żeby uwierzyła w nią ława przysięgłych.

Webster westchnął znużony i wzruszył ramionami.

— Och, cóż. Jeśli trzeba ci wszystko dokładnie zarysować, jak Dustinowi, to chyba będę musiał zrobić to od nowa.

Odwrócił się i popatrzył na Flinta.

— Wynoś się stąd — warknął. — Mamy interesy do omówienia i nie chcę, żebyś tu był.

Flint znów popatrzył na Faulknera i nie zrozumiał.

Głos Webstera znów smagnął go jak biczem.

— Wynoś się, do cholery, albo wywlokę stąd twoje zwłoki. Spadaj!

Flint próbował popatrzeć mu w oczy, ale jego wzrok w końcu umknął przed spojrzeniem Webstera. Spuścił wzrok na podłogę, przeszedł przez pokój i wyszedł.

Zanim zatrzasnął drzwi, odwrócił się i spojrzał za siebie.

— Szanowny panie — oznajmił. — Próbuje pan wejść tutaj w bardzo duże buty. Nie sądzę, żeby mógł je pan długo nosić.

— Będę chodzić w każdych dowolnych butach, jakie sobie wybiorę. Dość tego! *Vamos*!

Flint zatrzasnął drzwi z głośnym hukiem i tupiąc nogami przeszedł przez magazyn.

Webster odwrócił się do Faulknera, i teraz jego głos brzmiał władczo, ostro i zawierał w sobie nutę gniewu oraz niecierpliwości.

— No dobrze — powiedział. — Mówisz, że nie mam przeciwko tobie żadnych dowodów. Tak twierdzi też Dustin. Może nie mam wystarczająco dużo, żeby przekonać sędziego. Ale ja nie jestem sędzią ani ławą przysięgłych. Osądziłem cię i uznałem za winnego, a to wystarczy dla moich celów.

— Mógłbym działać na podstawie tych dwóch nominacji od martwych przedstawicieli prawa i wsadzić cię do więzienia. Może nie zostałbyś skazany, ale rozwaliłoby to twój teatrzyk. Albo skoro twierdzisz, że to nie twoja zabawka, to mógłbym wyjść i rozwalić go sam, w pojedynkę. Albo, jeśli już o to chodzi, mógłbym go przejąć. Jak mówisz, to nie jest twój

biznes, więc nie powinno cię obchodzić, gdybym go sobie zabrał. Prawda, Faulkner?

Faulkner tylko siedział z kamienną twarzą i bawił się piórem, nic nie mówiąc.

— Ale — mówił dalej Webster — nie chcę tego robić. To zbyt dobry interes. Mogę się do niego włączyć i zarabiać dla nas wszystkich pieniądze. Mógłbyś nawet dać mi pewien udział i nadal wyciągać z tego więcej, niż masz teraz.

— Jakim cudem?

— Bo ja jestem dobrym biznesmenem. Wiem, jak wyciągnąć z czegoś wszystko, co tylko się da, i nie boję się tego zrobić. Mogę rozejrzeć się po twoim przedsięwzięciu i pokazać ci tuzin sposobów, jak jeszcze więcej na nim zarobić. Nigdy dotąd nie poniosłem porażki, a brałem udział w wielu takich imprezach.

— A jak byś go przejął?

— Jak? — powtórzył Webster. — To proste. Ponieważ Flint przyjechał tutaj prawdopodobnie po to, żeby ci zameldować, że ja już odwiedziłem to miejsce. Ty i on pewnie zastanawialiście się, gdzie zastawić pułapkę, żeby mnie zabić, ale oszczędzę wam kłopotu i od razu wam powiem, że mnie nie zabijecie. Po pierwsze, potrafię o siebie zadbać, a po drugie, straciłbyś kupę forsy na mojej śmierci. Tak naprawdę, to straciłbyś znacznie więcej. Chyba zapomniałem ci powiedzieć, że ten papier na twoim biurku jest kopią innego, który znajduje się obecnie w bezpiecznym miejscu, razem z karabinami i atrapami naboi, które sprzedałeś Clantonowi i Nixowi, wraz z numerami seryjnymi broni i pudełka na naboje oraz znaczonymi złotymi monetami. Te rzeczy mają zostać przekazane właściwym władzom, gdyby coś mi się stało. Dustin już to zrozumiał.

— Więc nawet gdybyś nie był właścicielem kawałka tej doliny, tam na Terytorium, wystarczy, że mnie zabijesz, a znajdziesz się w sytuacji, w której będziesz musiał udowodnić w sądzie, że nim nie jesteś. Tak czy inaczej, zrujnowałoby to twój interes. Dlaczego nie przestaniesz zachowywać się jak Dustin? Wchodzę w to i im szybciej wyjdziesz zza krzaków, tym szybciej zaczniemy zarabiać. I z mniejszymi kłopotami. Czy chcesz brnąć dalej i zmarnować dobry interes, pozwalając mi go zniszczyć za ciebie?

— Po co miałbyś go niszczyć, gdybyś do niego nie wszedł?

— Musiałbym to zrobić choćby po to, żeby cię nauczyć, iż powinieneś był mnie do niego dopuścić, nie robiąc kłopotów, kiedy złożyłem ci propozycję. Bardzo poważnie podchodzę do sytuacji, kiedy ludzie nie widzą stanu rzeczy, po mojej myśli. Potem mógłbym zorganizować to na nowo, sam.

Dustin spróbował po raz ostatni.

— Myślę, że on tylko lubi robić wiele wiatru. Nie sądzę, żeby był w połowie tak twardy, jak myśli, ani w ćwierci tak mądry.

Faulkner podniósł pióro i rzucił nim jak lotką w blat biurka, gdzie utkwiło pionowo. Patrzył, jak drży. Potem oznajmił:

— Obawiam się, że się mylisz, Emory. Ten człowiek jest mądry i jest tak twardy, jak mówi. Może nie zarobi nam aż tyle dodatkowych

pieniędzy, ile mówi, ale jest w stanie nas kompletnie zrujnować, jak sam zauważył. Tak, przypuszczam, że mamy nowego partnera. Mam tylko nadzieję, że będzie równie mądry, pracując z nami, jak był, pracując przeciwko nam.

Dustin nie krył zaskoczenia widząc, że Faulkner tak łatwo się poddaje. Webster zaśmiał się z niego.

— Nie myśl tylko, Dustin, że Faulkner skapitulował tak bardzo, jak ci się wydaje. On po prostu kupuje czas, podczas gdy próbuje wymyślić, co zrobić. Jeśli pokażę mu coś wartościowego, to może pozwoli mi działać razem ze sobą; jeśli nie, to przecież i tak zawsze może zdecydować się na to abym zapłacił za próbę wsadzenia ryja do jego koryta. Ale, to jest absolutnie w porządku. To wszystko, czego potrzebuję; reszta zależy już ode mnie.

— A ile — spytał Faulkner — miałyby nas kosztować twoje usługi eksperckie?

— To uczciwe pytanie — odpowiedział rozsądnie Webster. — Podzielimy nasze zyski w taki sposób: ty, ja i Dustin weźmiemy po ćwiartce. Pozostała ćwiartka zostanie podzielona między ludzi, którzy dla nas pracują. Proste, prawda?

— Przypuszczam, że tak, skoro tak to sobie ułożyłeś w głowie. Od czego zaczniesz?

— Po pierwsze, naturalnie, będę musiał przejrzeć cały interes i zobaczyć, gdzie mogę wprowadzić ulepszenia. Wiesz, parę skrótów, które zapewnią, żebyśmy uzyskali cały zysk, jaki jest w stanie znieść ruch handlowy. Zazwyczaj istnieje cała paleta sposobów, na oszczędności i zarobienie pieniędzy, gdy trafia się na luźno zorganizowany biznes. Uporządkuję wszystko na całej linii, wyeliminuję marnotrawstwo, poprawię wydajność i tym podobne.

— Zakładam, że zaczniesz od rancza?

— Jasne. Zabiorę Dustina i od razu tam pojadę. On może mi pokazać, jak ono działa.

— Jest pewna drobna sprawa, o której zapomniałeś — powiedział Faulkner. — Korzystamy ze sporej grupy ludzi. Są dość niezależni, a biorąc pod uwagę ich przeszłość, potrzeba odpowiedniego człowieka, aby utrzymać ich w ryzach. Nie zapomną ci, że zabiłeś jednego z ich przyjaciół. No i jest Flint. Może nie będziesz w stanie sobie z nimi poradzić.

— Jeśli nie dam sobie rady, to nie mam pracy, prawda? — Webster uśmiechnął się do niego szeroko. — Ale, na twoim miejscu, nie przejmowałbym się tym, bo z drugiej strony, jeśli uda mi się ustawić chłopaków w rządku, to będziesz wiedział, że związałeś się z dobrym człowiekiem.

Faulkner nie był człowiekiem, który przyznałaby komukolwiek, nawet że tamten zna porę dnia, i nie skomentował argumentu Webstera w żaden sposób, poza stwierdzeniem:

— Zobaczymy, jak przypuszczam.

— No dobrze — powiedział Webster. — Umowa stoi. A teraz jeszcze jedna sprawa. Odnośnie złota, co do którego być może nie będziesz chciał się przyznać, że masz je schowane w tym sejfie. Będziesz chciał się go

szybko pozbyć. Jeśli chcesz mieć z głowy ten problem, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wziąć je na siebie, w ramach mojej części rozliczeń, które będziemy prowadzić. Nie boję się go wziąć do ręki, bez względu na to, jak bardzo jest gorące. Oczywiście z pewną zniżką.

Ponure spojrzenie Faulknera spoczęło na Websterze trochę dłużej niż zwykle, zanim wróciło do pióra, którym się bawił.

— Wydajesz się być bardzo pewny siebie — zauważył.

— To mój towar, który sprzedaję — odparł Webster. — Jeśli w coś się wchodzi, po co zgrywać głupca? Trzeba wiedzieć, co się robi, a potem to robić. Jeśli ktoś nie jest pewien, lepiej w ogóle nie zaczynać. Po co tracić czas?

Zwrócił się do Dustina.

— Ruszajmy. Marnując czas, marnuje się dolary. — Przy drzwiach odwrócił się i powiedział: — Kiedy skończysz instruować Ike'a Flinta, jak się mnie pozbyć, wyślij go na ranczo, dobrze, Faulkner? Będę go potrzebować.

Kiedy wracał do miasta z Dustinem, powiedział:

— Mamy Faulknera dokładnie tam, gdzie chcemy. — A po chwili dodał: Oczywiście, dopóki go będziemy potrzebowali. A to nie potrwa zbyt długo.

Dustin popatrzył na Webstera z szeroko otwartymi oczyma.

— Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz pójść na ten układ, który właśnie zawarłeś?

— Och, tak — odrzekł swobodnie Webster. — Ale tylko do czasu, aż wszystko sobie poukładamy tak, żebyśmy mogli wziąć sprawy w swoje ręce. Po co potem oddawać mu część zysków, skoro będziemy mogli poradzić sobie bez niego?

Dustin wykrzyknął:

— A niech mnie diabli! Myślałem, że widziałem naprawdę bezwzględnych manipulatorów, ale ty jesteś chyba najbardziej podstępnym zimnokrwistym draniem, na jakiego kiedykolwiek trafiłem. Jak możesz tak grać? Nigdy nie spotykasz się z nikim w połowie drogi?

— To moja filozofia — odpowiedział mu chłodno Webster. — Kiedy coś robisz, rób to dobrze albo wcale. Jeśli masz być oszustem, to bądź tak dobrym oszustem, jak tylko potrafisz. Oszust to człowiek, który robi interesy na kradzieżach i zabójstwach, a przekręt jest jednym z jego najważniejszych narzędzi. No cóż, jeśli ktoś chce wykonywać swoją pracę dobrze, musi wydobyć z wykorzystywanych narzędzi wszystko, co są one warte. W przeciwnym razie jest kiepskim rzemieślnikiem, a ja nienawidzę człowieka, który nie potrafi lub nie chce wykonać swojej pracy dobrze.

Dustin szedł dalej w milczeniu przez chwilę, myśląc. Potem zauważył:

— Według tego, co sam mi powiedziałeś, oszukałbyś partnera tak szybko, jak oszukałbyś kogokolwiek innego. Oszukasz Faulknera i ukradniesz jego udział w interesie. Co powstrzyma cię od zrobienia tego samego ze mną?

— W zasadzie nic. Ale jest jeszcze inna, solidna polityka biznesowa, która cię chroni, w obecnej sytuacji. Kiedy zaczynasz wspinać się po szczeblach kariery, nie możesz tego robić, stając na karkach ludzi, których potrzebujesz. Musisz im dać spokój i ciągnąć ich za sobą, jeśli chcesz

uzyskać jakąkolwiek pomoc w tym, co musisz zrobić. To po prostu dobry interes. Potrzebuję cię, a nie mógłbym cię rzucić psom na pożarcie i nadal mieć twoją pomoc, prawda? To byłoby głupie, a ja nie jestem głupi. Więc siedzisz sobie wygodnie. Fakt, że nie mogę sobie poradzić bez ciebie, chroni cię. Bez Faulknera możemy sobie poradzić, więc on nie ma żadnej ochrony. Widzisz, jak to działa.

Dustin rozjaśnił się.

— Przemyślałeś już prawie wszystkie aspekty sytuacji, prawda?

— To właśnie musi robić człowiek w tym biznesie.

— W takim razie może przemyślałeś to; mamy tu dwóch martwych przedstawicieli prawa. Ktoś prędzej czy później będzie musiał powiadomić władze. Powinieneś to zrobić ty, skoro cię zaprzysięgli na swojego zastępcę. A może zostawili wiadomość Faulknerowi, żeby powiadomił ich przełożonych, gdyby coś im się stało. Faulkner może to zrobić, żeby ratować własną skórę i rzucić cię wilkom na pożarcie.

— Może powinienem to zrobić. Może zrobię to w odpowiednim czasie. Ale może na jakiś czas zapomnę o tym, aby to zrobić. A nawet jeśli to zrobię, to wiadomość dotrze do ich przełożonych dopiero po jakimś czasie. Może Faulkner powinien ich poinformować. Z pewnością myśli o tym, jak mógłby to zrobić, ratując własną skórę i zrzucając całą sprawę na moje barki. Ale jeśli to zrobi, to wie, że mogę zepsuć ten jego interesik, nawet gdyby udało mu się posłać mnie na szubienicę. Najprawdopodobniej więc nic nie zrobi, a jeśli kiedykolwiek ktoś by spytał, dlaczego nie zgłosił tych zabójstw stróżów prawa, to oczywiście zawsze może śmiało powiedzieć, że założył, iż to ja - ich zastępca - zrobiłem to oraz, że to nie było jego obowiązkiem. Wieść o zabójstwach w końcu dotrze do właściwych władz, ale zajmie to trochę czasu. A w tej chwili, czas jest nam potrzebny, żeby się odpowiednio zorganizować.

— Władze nie będą zadowolone z tego, że nie zostały powiadomione — Dustin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Oczywiście, że nie, ale niech cię to nie martwi. Młyny sprawiedliwości mielą bardzo powoli i nie mielą tak drobno, jak ludzie lubią myśleć. Wiele całych ziarenek przechodzi między i wokół ich kamieni i nigdy nie zostanie startych. Istnieją tysiące sposobów na ucieczkę przed kamieniami młyńskimi sprawiedliwości. Zapytaj dowolnego bogatego człowieka.

Wypili kilka drinków i rozeszli się, uzgadniając, że wyruszą na ukryte ranczo, przed świtem.

Webster opuścił Dustina, zastanawiając się, jak wiele osiągnął z nim i z Faulknerem. Właściwie był bardziej pewny tego, na czym stoi z Faulknerem, niż z Dustinem. Faulkner był głębokim myślicielem i planistą. Był niczym innym jak złowrogim mózgiem ukrytym za fasadą pozbawionej wyrazu twarzy. Zbyt łatwo zaakceptował Webstera, a jego akceptacja w pewnym sensie nie była wcale żadną akceptacją. Oznaczała jedynie, że Faulkner pozwoli Websterowi pozostać pod swoim butem, obserwując go, dopóki nie zdecyduje, co z nim zrobić. Jim wiedział, że Faulkner nawet nie pomyślałby poważnie o tym, by pozwolić Websterowi wejść do swego interesu, tak jak to przedstawił Webster. Faulkner od razu wiedział, że

Webster jest zbyt ambitny i energiczny, by dopuścić go do organizacji, którą bez wątpienia utrzymywał żelazną ręką.

Jeśli chodzi o Faulknera, Webster wiedział więc, że wchodzi do paszczy lwa. Lecz co do Dustina nie był jeszcze pewien. Akceptacja Dustina mogła być kwestią gry na zwłokę, podążania za jego pomysłami jedynie w celu zdradzenia Webstera i jego gry Faulknerowi, a następnie trzymania się razem z Websterem, dopóki Jim nie zostanie złapany w jakąś pułapkę, którą Faulkner zdoła dla niego wykopać.

Albo też, Dustin może mieć własne ambicje i pozwala Websterowi wejść do gry, aby zachęcić Webstera do wykonania prawdziwej roboty, jaką jest pozbycie się grupy Faulknera, po to by później pozbyć się samego Webstera.

Albo wreszcie, Dustin mógł być nawet tym, na kogo wskazywałyby jego powierzchowne działania, czyli człowiekiem Faulknera, który był gotów pójść na rękę silniejszemu człowiekowi, który mógł odebrać Faulknerowi całe to show i poprowadzić je samemu.

Webster był jednak pewien jednego. Celowo zasiał w obu tych ludziach przekonanie, że mówi jak duży i twardy gracz. Obaj nie będą zwlekali z postawieniem go w sytuacji, w której będzie musiał się wykazać lub zapłacić cenę za zbyt głośne pyskowanie.

I właśnie tego - lub jakiejkolwiek innej z możliwości, która mogłaby wywołać poruszenie w całej tej sytuacji - pragnął. Webster i tak będzie musiał stąpać po kruchym lodzie i miał wrażenie, że jest o krok od konieczności ponownego wykręcenia prawa ogonem, w interesie większej sprawiedliwości.

Ale tak zwykle wyglądały sprawy, gdy Jim Webster ruszał do pracy; uważał więc to za zwykłe ryzyko zawodowe.

Poszedł do swojego pokoju i dobrze się przespał, wiedząc, że może minąć dużo czasu, zanim będzie miał kolejną szansę na odpoczynek.

## Rozdział 13

## Webster wchodzi do interesu

Webster wyruszył z Dustinem następnego ranka, docierając na ukryte ranczo nieco przed południem. Wjechali do środka tylnym wejściem, którego pilnował znany mu już Chock.

Oczy Chocka były opuchnięte, a jego ciemna twarz nosiła ślady walki z Websterem. Kiedy zobaczył, kto jest z Dustinem, nie potrafił skryć nienawiści.

Dustin zaśmiał się z niego.

— Ten hombre, na którego wczoraj wpadłeś, to twój nowy szef — oznajmił. — Przyjechał tutaj, szukając mnie, a wy próbowaliście go powstrzymać. Od dzisiaj, wpuszczajcie go swobodnie. Może mu się nie spodobać, że znów próbujecie go zatrzymać.

Chock warknął:

— Dlaczego więc nic nie powiedział? Skąd mieliśmy wiedzieć, kim on jest?

— Dobrze zrobiliście — odpowiedział Webster. — Nigdy nie wpuszczajcie nikogo, kogo nie znacie, chyba że chcecie posłużyć jako ozdoba konaru drzewa. Nie będę miał ci tego za złe, że mnie wczoraj nie wpuściłeś.

Webster i Dustin wjechali do doliny ramię w ramię, a podczas jazdy, rozmawiali o bydle pasącym się w wysokiej trawie.

— Ile sztuk bydła tu macie? — spytał Webster.

— Gdzieś około siedmiuset do ośmiuset.

— Po co je trzymacie? Dlaczego nie zamienicie go na gotówkę?

Dustin wydawał się być w dobrym humorze.

— To twoja pierwsza lekcja — uśmiechnął się. — Wygląda to tak. Pracują dla nas pewni ludzie; akwizytorzy, i nie mówię tu akwizytorach handlowych jeżdżących od miasta do miasta. Mamy kontakty z różnymi ludźmi tu i tam, takimi którzy lubią zarobić uczciwy grosz, pozyskując krowy swoich sąsiadów. Kupujemy je tanio, kiedy tylko się z nami skontaktują. Potem zbieramy wiele sztuk na naszym terenie. Ale nie zawsze można ich się pozbyć tak szybko, jak się pojawiają. Mamy cały szereg powiązań, dzięki którym je sprzedajemy, obozy kolejowe, sklepy, agentów indiańskich i tym podobne. Nasi odbiorcy mogą odebrać tylko określoną ilość towaru za jednym razem, więc musimy go przechowywać do czasu, aż będą mogli go wykorzystać lub sprzedać.

— Ile zamierzacie zarobić na tym towarze, trzymając go w taki sposób?

Dustin okazał lekkie zaskoczenie.

— No cóż, układ jest taki: za towar, który kupujemy, dajemy dziesięć dolarów za sztukę. To, co kradniemy sami, oczywiście nic nas nie kosztuje. Na legalnym rynku krowy sprzedawane są po trzydzieści dolarów za sztukę. My sprzedajemy to bydło za dwadzieścia, oczywiście bez zadawania pytań. To daje indiańskim agentom szansę na zarobienie dziesięciu dolarów, poprzez wystawianie rządowi rachunków na pełne trzydzieści dolarów, podobnie w przypadku agentów zajmujących się zakupami dla kolei, czy też innych prac budowlanych. Sklepikarze, oczywiście, rozbierają wołowinę i zarabiają na niej po dziesięć dolarów więcej niż na uczciwym mięsie. Rozgrywamy to w ten sposób: daj każdemu trochę zarobić, a wszyscy będą chcieli z tobą pracować.

— A ty nie dostajesz dla siebie zbyt dużo — skomentował sucho Webster.

Dustin ponownie popatrzył na niego, po czym machnął ręką w stronę doliny.

— Siedemset lub osiemset sztuk bydła po dziesięć dolarów za sztukę, to w sumie siedem lub osiem tysięcy. Stado, za które nie zapłacimy, przynosi nam oczywiście jeszcze większe pieniądze. Takie właśnie kwoty będziesz musiał przebić, jeśli chcesz pokazać nam większe zyski, niż zarabiamy teraz. Myślisz, że dasz radę to zrobić?

— Prawdopodobnie dam — odpowiedział lekkim tonem Webster.

— Jak?

— Powiem ci później. A co z tym towarem? Kto go kupuje i za ile?

Zbliżali się między drzewami do budynku składu, a Dustin wyjaśniał.

— Oczywiście większość z tego nic nas nie kosztowała. Nic, nie licząc tego, co Faulkner wysyła dla zmyłki i traci na rzecz samego siebie, że tak się wyrażę. Mamy stałą listę sklepów w tej części Terytorium, które kupują to z pięćdziesięcioprocentową zniżką. Oczywiście Faulkner zna ceny wszystkich towarów, podobnie jak właściciele sklepów, więc nie mamy z tym żadnych problemów.

— Masz spis właścicieli sklepów i listę cen wszystkich tych rzeczy?

— Pewnie. Faulkner, jest po prostu ostrożnym sklepikarzem. Przyjeżdża tu i robi nam inwentaryzacje, a my musimy przedstawiać duplikaty rachunków za wszystko, co sprzedajemy. Te duplikaty są sprawdzane z bieżącą inwentaryzacją przez jego księgowego.

— To znaczy, że wtajemnicza w cały ten biznes księgowego? Księgowi mają usta, mogą mówić. Wiesz chyba?

— Nie ten. Widziałeś tę małą szarą myszkę u Faulknera? To on jest księgowym. Był księgowym Faulknera w jakimś banku i powinien siedzieć we więzieniu, za to, że pieniądze kleiły mu się do rąk. Faulkner ma go prosto na celowniku. Tak więc nie puści pary z gęby na temat tego rodzaju interesów, bo sam w nich siedzi po uszy.

Dojechali do magazynu i zsiedli z koni, a Dustin poprowadził Webstera przez zaplecze, pomieszczenie, z którego słyszał muzykę tamtej nocy. Teraz widział, czym była ta część tego miejsca.

Było to coś w rodzaju sali zebrań i baru, w jednym. W narożniku znajdował się krótki sosnowy bar, a za nim na półce stało kilka butelek

whisky. Było tam też kilka stołów i krzeseł, żetony do pokera i karty, a w jednym z rogów zobaczył futerał na skrzypce i na gitarę.

Obecnie nie było tam więcej niż pół tuzina mężczyzn i trzy kobiety. Wszyscy spoglądali na niego podejrzliwie, gdy przeszedł za Dustinem przez pomieszczenie i ruszyli dalej, przez drzwi do magazynu.

Przy drzwiach Dustin odwrócił się i zwrócił do jednego z ludzi.

— Joe, sprowadź tu wszystkich chłopców. Mam im coś do powiedzenia. Wyjdziemy do was za kilka minut.

Następnie Dustin zamknął za sobą drzwi i razem z Websterem przeszli przez skład. Był wypchany towarami wszelkiego rodzaju. Skrzynie z narzędziami, siodła i skórzane uprzęże, chomąta dla koni, beczki z gwoździami i podkowami, skrzynie mające pozrywane wieka, w których widać było zawartość: młotki oraz wszelkiego rodzaju narzędzia stolarskie. Były też bele pościeli, koców i kołder; materace i ramy łóżek, piece do gotowania, piece do ogrzewania i przybory kuchenne.

I cały stos nowych lemieszy do pługów!

To były rzeczy, których potrzebowali pionierzy, typowe dobra, napływające na Terytorium w wozach handlarzy. Rzeczy, które złodzieje mogli odsprzedać gdziekolwiek.

— Po co wam tyle tego? — spytał Webster.

— Odpowiedź jest taka sama, co w przypadku krów. Nie można wysłać zbyt wiele towaru do sklepów, które od nas kupują. Trzeba dać im czas na sprzedaż starych zapasów, zanim wyśle się im więcej.

— Dlaczego?

Dustin wyglądał na zaintrygowanego.

— Sklepy nie chcą kupować zbyt dużo z wyprzedzeniem. Nie jesteśmy więc w stanie sprzedawać towaru tak szybko, jak go pozyskujemy. Czemu pytasz o takie rzeczy?

— Tylko się zastanawiałem.

— Nad czym?

— Dlaczego pozwalacie tym rzeczom leżeć bezczynnie, skoro można je zamienić na pieniądze.

— Powiedziałem ci dlaczego. Myślisz, że dałbyś radę zamieniać je na pieniądze szybciej niż my?

— Pewnie. To tylko rzeczy, prawda? Więc można je sprzedać, jeśli się wie, jak to zrobić.

— Ty wiesz?

— Jasne.

— W porządku, a kiedy zobaczymy, jak to zrobić?

— Właśnie po to tutaj jestem.

— Kiedy?

— Począwszy od jutra. Jeśli twoi chłopcy są już na miejscu, chyba powinniśmy pójść i spotkać się z nimi.

Wrócili do pomieszczenia, która wydawało się służyć jako centrum rekreacji tutejszej społeczności. Ludzie zebrali się z różnych domków i siedzieli na ławkach oraz hikorowych krzesłach. Mężczyznom towarzyszyły trzy lub cztery zaniedbane dziewczyny obozowe, trzymające się swoich

mężczyzn, i wszystkie przyglądały się Dustinowi i Websterowi ze szczerym zaciekawieniem.

Dustin prezentował na twarzy swój odwieczny uśmiech, lecz Webster wyczuwał, że było raczej coś w rodzaju tajemniczego i nerwowego rozbawienia, jakby ten człowiek przygotowywał się do jakiegoś zagrania.

— Chłopcy — oznajmił Dustin — oto wasz nowy szef. Przyjrzyjcie mu się dobrze, bo od teraz macie robić wszystko to, co wam każe. Jest strasznie czepialski i trudny w stosunkach, oraz nie lubi słyszeć w odpowiedzi „nie". Mówi, że uczyni nas wszystkich bogatymi. Pokaże nam, jak naprawdę powinno się prowadzić taki interes. Od teraz to on jest szefem stada. Nazywa się Jim Webster i od tej chwili to tylko jego show. Proszę bardzo, Webster.

Teraz stało się jasne, o co chodziło Dustinowi; rzucał Webstera na pożarcie chłopakom, robiąc mu złą renomę, sprawiając, że wyglądał na chełpliwego krętacza, co od samego początku stawiało go w niekorzystnej sytuacji.

Webster wiedział, że posunięcie Dustina powinno zakończyć się sukcesem; ludzie od razu znielubią człowieka, który wytwarzał wokół siebie wizerunek człowieka szorstkiego, przesadnie wierzącego w swoje możliwości. Najwyraźniej to miał być sposób Dustina na walkę o własne przywództwo - przedstawienie Webstera w takim świetle, żeby nie mógł zdobyć panowania nad bandą.

Webster przyglądał się bandytom, jednemu po drugim, rzucając każdemu długie, oceniające spojrzenie. Zauważył Ike'a Flinta stojącego w kącie, starającego się nie rzucać w oczy. W najbliższym rogu rozpoznał drugiego ze strażników, których pokonał w noc swojego zwiadu; mężczyzna wciąż nosił na twarzy ślady walki. Stał przy barze i bawił się blaszanym kubkiem z whisky, unikając spojrzenia Webstera.

— Powiem wam mniej więcej to samo, co mówił Dustin — rzekł do całej sali. — Biorę udział w tej imprezie, żeby wyciągnąć z niej tyle, ile się da. Myślę, że wy również jesteście tutaj z tego samego powodu. Kręcę się już trochę po świecie i zgromadziłem nieco wiedzy na temat różnych rzeczy. Wiedzy, która może zawierać w sobie pewne ziarno prawdy. Jedną z tych rzeczy jest to, że pieniądze nie rosną na drzewach; drugą jest, że w tym kraju dzień prawie nigdy nie ma więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Tak więc, trzeba zarabiać pieniądze zamiast zrywać je z drzew, a każdego dnia jest na to tylko tyle czasu, ile jest. Ja zaś należę do tych ludzi, którzy lubią wykorzystywać ten czas, aby dostać to, czego chcą. Jest jeszcze jedna rzecz, o której słyszałem, a która może mieć w sobie trochę prawdy. Pewien facet powiedział mi kiedyś, że linia prosta to najbliższa odległość między dwoma punktami. Słuszne to, czy nie, spodobał mi się ten pomysł, więc nabrałem nawyku podążania za tym, czego chcę, w linii prostej. Oszczędza to wszystkim czasu, wiecie o co mi chodzi?

— Więc tak to wygląda; od teraz to ja prowadzę tę imprezę, dopóki nie przestanę tym rządzić. A jeśli jest ktoś, kto nie chce robić tego, co mu każę, nadszedł czas, aby stanął prosto przede mną i wygłosił swoje zdanie. Kiedy zaczniemy działać, nie będę miał czasu na kłótnie.

Na wyzwanie Webstera w pomieszczeniu zapadła głęboka cisza. Po chwili Jim zobaczył, jak mężczyzna przy barze odwraca ku niemu opuchniętą twarz, odstawia swój cynowy kubek i podchodzi.

— To jest facet, którego nazywają Snake-eyes — oznajmił Dustin. — Wygląda na to, że chce z tobą zamienić słowo.

Webster rozpoznał po ciszy panującej w pomieszczeniu, że tłum był na coś przygotowany; znali Snake-eyes-a i musieli się spodziewać, że coś się wydarzy. To właśnie to nagłe napięcie zaalarmowało Webstera.

Mężczyzna zatrzymał się sześć lub osiem stóp przed Websterem i stanął z pięściami na biodrach, kilka centymetrów ponad parą rewolwerów, które nosił. Snake-eyes był chudym mężczyzną średniego wzrostu, z opadającymi, poplamionymi żółtymi wąsami i ciemnoszarymi oczyma, które zdawały się być pokryte filmem, tak że można było w nich wyczytać tylko smutek - a może to była niechęć. Jedna z brwi była tak napuchnięta, że oko było ledwo widoczne.

— Co panu chodzi po głowie, mister? — zapytał Webster.

— Widziałeś mnie kiedyś?

— Taaa, pewnie. Byłeś jednym z chłopców, którzy próbowali mnie stąd wywalić tamtej nocy. Nie powinieneś był tego robić.

— Nie czekałeś, by się wytłumaczyć. Po prostu na mnie skoczyłeś. Spadłeś na mnie z drzewa.

— Taaa. Kiedy spałeś. Wysłano cię tam, żebyś pilnował, aby nikt się nie przedostał do doliny. Wiesz, co robiłeś? Zaryzykowałeś życie każdego człowieka w tym pokoju, idąc sobie spać. W wojsku, za zaśnięcie na warcie, ludzi rozstrzeliwują. Cała armia mogła tu wejść i zabić wszystkich tu obecnych - tylko dlatego, że urządziłeś sobie drzemkę, podczas swojej pracy.

Rozmawiając z tym człowiekiem, starał się wyczuć, jaki wpływ na resztę miała jego odpowiedź. Snake-eyes wystawił się na cios, poruszając ten temat, a Webster natychmiast to wykorzystał aby udowodnić reszcie, że wie co robi i potrafi myśleć szybciej niż reszta. Próbował też odebrać sympatię Snake-eyes-owi, pokazując reszcie, jak bardzo naraził ich on na niebezpieczeństwo.

Co więcej, starał się wywabić Snake-eyes-a, próbując zmusić go do porzucenia tej solidnej, beznamiętnej, skrytej postawy i ujawnienia tego, co miał w głowie.

Snake-eyes oblizał wargi i poruszył stopami, a Webster nie przegapił tego drugiego ruchu. Sam też lekko się poruszył.

— Powiedziałem — oznajmił miękko Snake-eyes — że skoczyłeś na mnie od tyłu.

— Nie od tyłu, tylko od góry.

— Taaa. Co za różnica? Nie lubię, gdy ludzie atakują mnie od tyłu. Widzisz moją twarz?

— Tak — odparł krótko Webster. — To powinno cię nauczyć, żeby nigdy nie kłaść się spać na warcie. Niektórzy z twoich kolegów mogą mieć ochotę nie tylko naznaczyć ci gębę, za flirtowanie w taki sposób z ich bezpieczeństwem.

Snake-eyes był nieustępliwy; był człowiekiem mającym jeden tylko cel. Był tu nowy, a przyjęcie do grupy zawdzięczał swojej reputacji szybkiego jak błyskawica i zimnego jak lód rewolwerowca. Był katem i teraz wykonywał swoją ulubioną robotę.

— Nie podoba mi się, że mam tak poobijaną twarz.

— Czy to prawda? — odparł Webster, unosząc ze zdziwieniem brwi. — Powinieneś był mi powiedzieć.

— Mówię ci teraz. Nie lubimy tutaj, kiedy nas ktoś obszarpuje. Ani ja, ani nikt inny. Flint też tego nie lubi. Popatrz na twarz Flinta. Widzisz go?

Snake-eyes wskazał ręką na drugą stronę pomieszczenia, gdzie siedział Flint, za Websterem i nieco po jego lewej stronie.

— Rozumiesz, co Flint zamierza z tym zrobić, prawda?

Webster powoli przesunął wzrok w stronę Flinta i natychmiast przeniósł go z powrotem, a jego ręka wyciągnęła rewolwer. Rewolwer plunął ogniem, zanim Snake-eyes zdążył wyciągnąć swoją broń do połowy.

Snake-eyes delikatnie pochylił głowę, jego ręce opadły luźno po bokach, a broń wyślizgnęła mu się z dłoni i upadła na podłogę. Po czym ugiął kolana i na chwilę przyjął modlitewną pozycję, po czym przewrócił się na bok z kulą Webstera tkwiącą prosto w sercu.

Jedna z obozowych kobiet krzyknęła, a szary dym unosił się cienką warstwą w powietrzu, na wysokości ramion, powiewając łagodnie jak delikatny koc. W panującej ciszy rozległ się męski kaszel. Światło słoneczne wpadające przez okno oświetlało postać Snake-eyes-a leżącego na boku na brudnej podłodze, a Webster cofnął się pod ścianę i spoglądał wyzywająco na połączone spojrzenia oszołomionych ludzi, którzy tworzyli jego wyjętą spod prawa ekipę.

— Ktoś jeszcze? Będziecie musieli wymyślić bardziej śliską sztuczkę, niż ta.

Nie było odpowiedzi.

Dustin uśmiechnął się od ucha do ucha do Webstera.

— Wygląda na to, że to ty jesteś górą. Ten człowiek nie powinien tak bardzo przejmować się swoją urodą.

Webster zastanawiał się; już od początku tych kłopotów przyszła mu do głowy myśl, że Snake-eyes wcale niekoniecznie mógł rozpocząć tę awanturę z powodu lania, jakie dostał. Wydawało mu się, że w tym wszystkim coś brzydko pachnie. Tajemnicze rozbawienie Dustina, siedzący w kącie Flint, jak myszołów czekający na śmierć cielęcia i - ta myśl uderzyła go nagle ostrzegawczo - fakt, że Dustin nie zrobił nic, aby przerwać walkę.

Dustin dostał ostrzeżenie, że jeśli Webster zginie, dowody, które Jim zebrał przeciwko niemu i Faulknerowi, zostaną ujawnione; Webster nawet jasno ostrzegł Dustina, że jego szyja będzie zagrożona, jeśli on - Webster - umrze.

Dlaczego więc Dustin zignorował to ostrzeżenie i pozwolił na kontynuację walki?

Webster odłożył tę sprawę na później i z powrotem zwrócił swoją uwagę na grupę ludzi, którzy siedzieli w milczeniu, w dużym sosnowym pomieszczeniu, czekając na jego następny ruch.

— Ilu masz w sumie ludzi? — spytał Dustina.

— Około szesnastu - to znaczy piętnastu, teraz, kiedy Snake-eyes już nam się do niczego nie przyda. Jest jeszcze sześciu ludzi z załogi tartaku.

— Czy oni są wtajemniczeni w to przedsięwzięcie?

— Wiedzą o nim i dostajemy od nich niewielką pomoc, kiedy jest nam to potrzebne. Są tam po to, by tworzyć zasłonę dymną, ale z zyskiem. Zostawiamy to Faulknerowi. Sprzedaż podkładów i drewna na mosty daje mu legalne pieniądze, ale najważniejsze są kontakty, które dzięki tej działalności nawiązujemy z kontrahentami.

— Ile wozów i załóg możesz zebrać?

— Może sześć lub osiem.

— No dobrze — powiedział Webster do całego pomieszczenia. — Zaczynajmy. Oto, co zamierzam zrobić: chcę, aby wszystkie wozy podjechały pod magazyn i załadowały cały towar. Chcę spędzić całe bydło i przygotować je do drogi. Wyjeżdżamy stąd w nocy. To nie da wam zbyt wiele czasu na przygotowania, ale damy radę. Do świtu wszystko ma stąd zniknąć i znaleźć się na prerii.

Ten rozkaz wywołał szum na sali. Dustin przez chwilę patrzył na niego tępym wzrokiem, po czym zapytał:

— Po co ten pośpiech?

— Co ci przed chwilą mówiłem? — odparł Webster. — Te rzeczy to towar, który wymienimy na pieniądze. Jak już powiedziałem, nie da się zarobić pieniędzy, próżnując.

— Ale mówiłem ci, że nie możemy sprzedawać tego szybciej niż kupujący będą w stanie to wykorzystać.

— Tak ci się tylko wydaje — stwierdził Webster. — Ty i Faulkner chcieliście zobaczyć, jak prowadzę interesy, i teraz się o tym przekonacie.

Jeden z ludzi wszedł do pomieszczenia i dołączył do nich, a Dustin przedstawił go:

— To jest Merle Tate. Jest kimś w rodzaju rezerwowego szefa, tak samo jak Flint.

— To mi o czymś przypomniało — powiedział Webster. Zawołał do Flinta. — Ike, ty i ten człowiek siedzący obok ciebie, chodźcie tutaj, weźcie Snake-eyes-a, zabierzcie go i zakopcie.

Flint nie ruszył się z miejsca, ale odpowiedział przez całe pomieszczenie.

— Niech ten skunks zgnije. Zabiłby nas, śpiąc na służbie. Nie zasługuje na pochówek.

Webster po raz pierwszy podniósł głos. Oznajmił pełnym gniewu i ostrzegawczym tonem.

— Powiedziałem, żebyś ty i ten drugi człowiek wzięli się do tego. Snake-eyes mógł być bardzo kiepskim człowiekiem, ale był człowiekiem, a każdy człowiek zasługuje na pochówek. A jeśli nadal nie przekonałem cię, że to ja prowadzę ten interes, to za chwilę sam będziesz potrzebował pochówku. Chcesz się przekonać?

Zapadła długa cisza, podczas której Flint przegrał walkę na nerwy z Websterem. Jego twarz wypełniła nienawiść, wstał z krzesła i powiedział do drugiego mężczyzny:

— Chodź, Tige.

Webster odwrócił się z powrotem do Dustina i zastępczego szefa.

— Załadujcie cały towar na wozy i przygotujcie bydło do drogi. Chcę, żeby wszyscy zabrali ze sobą broń. Możemy jej potrzebować. A teraz, Merle, co tam ci chodzi po głowie?

— Nie zamierzam spierać się z tym, co mówisz, ale oto co myślę. Sześć, osiem skradzionych wozów ze skradzionym towarem i siedemset, osiemset skradzionych krów to wielka wyprawa. Nie sądzisz, że ktoś może się zorientować, co do nas? Tak prawdę mówiąc, to nie wiem, jak moglibyśmy się przed tym uchronić?

— On ma rację — zawtórował Dustin.

— Tak — odparł Webster. — Taki sposób myślenia dominował tu przez cały czas. Teraz to się zmieniło. A co powiecie na takie rozumowanie: czy nie zdajecie sobie sprawy, że ludzie już od dawna wiedzą, iż te wzgórza są pełne złodziei? I nie wiecie, że boją się ludzi ze wzgórz? Oczywiście ci, z którymi robimy interesy, wiedzą, że jesteśmy złodziejami. Ale oni wiedzieli o tym od zawsze. Jak myślicie, kto się zbliży do oddziału szesnastu czy siedemnastu uzbrojonych przestępców i nazwie ich złodziejami? Ilu przypadkiem zabłąkanych tutaj zastępców szeryfa wyruszyłoby przeciwko nam, gdyby chcieli coś z tym zrobić? Jakie szanse miałaby przeciwko nam jakakolwiek grupa pościgowa? Czy jesteśmy tak kiepscy w walce jak banda farmerów, ranczerów i sklepikarzy, albo czy się ich boimy?

Dustin pokręcił głową ze zdziwieniem.

— Na Boga, Webster, ku czemu to zmierza? Masz zamiar grać coraz bardziej bezczelnie, aż wszyscy zawiśniemy na sznurach?

Webster roześmiał się.

— Ludzie tacy jak my zwykle kończą powiewając nad tłumem ludzi, prawda? Albo na szubienicy, albo na gałęzi drzewa. O co ci chodzi? Myślałeś, że rabunek nie zawiera w sobie żadnego elementu ryzyka, kiedy decydowałeś się na tę karierę?

Dustin gniewnie uderzył ręką w ścianę.

— Idź do diabła. Zmierzę się z taką samą ilością ołowiu, co i ty, o każdej porze dnia i nocy.

— Więc przestań jęczeć i pokaż mi listę waszych stałych klientów. Merle, zbierz ludzi.

Ludzie nie byli pewni, czy chcą jechać, czy nie. Webster dostrzegł, jak kłócą się z Merlem Tatem, kiedy ten chodził między nimi. Na ten widok głośno uderzył ręką w ścianę i krzyknął.

— Do cholery, kazałem wam ruszać! Dalej, albo ja was ruszę!

Ruszyli się. Niechętnie. Ale ruszyli.

## Rozdział 14

## Wymuszona sprzedaż

Zbliżała się północ, a nad górami wisiał sierp młodego księżyca. W lesie, skrywającym ukrytą wysoko w górach osadę, i wokół niego, panowało olbrzymie zamieszanie. Bydło było zaganiane w pobliże zakamuflowanego wyjścia na teren tartaku. W świetle kilku latarni naftowych niewielka grupa nieustannie przeklinających mężczyzn kończyła ładowanie wozów, i każdy ładunek był doprowadzany pod przybudówkę w oczekiwaniu na wyjazd na otwartą przestrzeń koło tartaku. Woźnice siedzieli już na swoich miejscach i nerwowo czekali, aż wielka karawana ruszy w drogę.

Bandyci byli zdenerwowani, ponieważ żaden z nich nigdy wcześniej, w swym długim doświadczeniu w złodziejskim fachu, nie widział ani nie wyobrażał sobie takiego przedsięwzięcia. Nie znając szczegółowo planu Webstera, niemal jednogłośnie uznali go za stratę czasu i niepotrzebne wystawianie się na niebezpieczeństwo. Niektórzy z nich byli nawet skłonni uwierzyć, że był to misternie uknuty plan, wymierzony w nich samych. Ale pamiętając o Snake-eyes-ie, żaden z nich nie wykazywał większej ochoty, aby stanąć twarzą w twarz z Websterem i wyrazić swoje zastrzeżenia.

Słyszeli też o walce Webstera z Flintem. Widzieli, jak nowy szef poradził sobie ze Snake-eyes-em i byli przekonani, że mają przywódcę, który wie, czego chce i ma odwagę, by to osiągnąć. Pracowali całe popołudnie i pół nocy pod ostrzałem jego języka i przekonali się, że jest to człowiek, który doprowadza sprawy do końca.

Nawet kobiety narzekały. Dziewczyny, które wybrały bezczynne życie, zdobywając pieniądze na nie od mężczyzn, którzy z przyjemnością je karmili i ubierali, nie miały w siedzibie bandytów żadnej konkurencji, panowały więc praktycznie jak królowe na tym ukrytym w wysokiej dolinie ranczu.

Ale tuż przed zachodem słońca obudziły się w nowej sytuacji w swoim życiu. Cztery kobiety siedziały w pokoju rekreacyjnym, piły i rozmawiały, podczas gdy mężczyźni pracowali jak szaleni, aby uruchomić transport.

Webster wszedł i popatrzył na nie.

— Co zamierzacie teraz robić? — spytał ostro.

Bessie była największa i najbardziej pyskata z nich. Była dziewczyną Merle'a Tate'a i, z racji jego pozycji, władczynią kobiecej grupy. Popatrzyła na niego z pełną arogancji pogardą.

— No cóż, przypuszczam, że jakoś damy sobie radę, dopóki wszyscy nie wrócą. To znaczy, pod warunkiem, że zostawisz nam wystarczająco dużo jedzenia.

— A co planujecie robić, zanim wszyscy wyjadą?

— Nic.

— Wasze plany właśnie uległy zmianie. Każdy w okolicy ma teraz co robić, a więc wy też możecie wziąć się do roboty. — Zabrał butelkę whisky ze stołu i z powrotem ją zakorkował. — Wszystkie macie pójść do kuchni i przygotować kolację oraz lunch do zabrania na jutro, dla mężczyzn. I zróbcie dużo jedzenia; będą głodni.

Bessie roześmiała mu się w twarz.

— Przygotować kolację dla tej bandy obwiesiów? Drogi panie, przecież ja nawet nie gotuję dla mojego faceta, to on gotuje dla mnie.

Pozostałe dziewczyny zachichotały, widząc, jak Bessie sprowadziła nowego szefa na ziemię.

— Może nigdy nie nauczyłaś się gotować — zauważył cicho Webster. — Może Tate musi sobie ugotować, żeby mieć coś nadającego się do jedzenia.

— O czym ty mówisz? — wybuchła kobieta. — Umiem gotować lepiej niż każda stara jędza, która kiedykolwiek tu trafiła.

— Dobrze! — oznajmił łagodnie Webster. A potem jego głos chlasnął jak biczem. — To idź tam zaraz do kuchni i zabieraj się za tę robotę! Wy, kobiety, macie wziąć ten ciężar na siebie - gotujecie i zmywacie naczynia. A jeśli nie będziecie tego robić, to wyrzucę was wszystkie z obozu i każę wam iść piechotą do najbliższej osady. A teraz ruszajcie się! Macie godzinę, żeby zapełnić ten stół stekami, plackami i kawą. Wynoście się stąd!

Bessie próbowała rzucać mu gniewne spojrzenia za swoje nieszczęścia, ona i inne dziewczyny dowiedziały się, że nowy szef rancza jest naprawdę szefem.

Teraz o północy wrota do przybudówki zostały otwarte, i młody księżyc ujrzał procesję siedmiu wozów podjeżdżających do szopy stanowiącej wyjazd z doliny, przejeżdżających przez jej zaciemnione wnętrze i zmierzających prowadzącą do tartaku drogą, w kierunku rozległych przestrzeni równiny, rozciągającej się daleko na północ, aż do osady McAlester.

Za turkoczącymi wozami podążało bydło, które przeciskało się przez wąskie przejście i wychodziło na drogę, którą ruszało za wozami i rozpoczynało krętą, rozryczaną wędrówkę w dół zbocza.

Webster osadził konia obok Dustina i patrzył, aż wszyscy wyjechali z doliny. Potem Dustin zsiadł z wierzchowca i zamknął za nimi wrota, tym samym ponownie zamykając potajemne wejście do ich kryjówki.

Następnie przez chwilę Webster i Dustin byli mocno zajęci, jeżdżąc w górę i w dół cienkiego rzędu wozów i bydła, przygotowując wszystko do długiej drogi, rozstawiając jeźdźców po bokach i na czele stada, aby spychali bydło z powrotem do kolumny, gdy część ze zwierząt będzie próbowała wymykać się, uciekając do lasu.

Webster był wszędzie, przeganiając swego konia przez chmury kurzu wzbijanego przez stado, utrzymywał wozy w ruchu na przedzie, utrzymywał jeźdźców w odpowiednich odstępach, kłócił się z tym i tamtym, groził, zastraszał.

Droga przecinająca głęboki sosnowo dębowy las, była tak wąska, że wierzchołki drzew tworzyły nad głowami baldachim, odcinający większość słabego światła księżyca i gwiazd. W zamieszaniu pochodu, ciemności i kurzu nikt nie wiedział nawet, gdzie jest następny człowiek.

Webster przedarł się na tyły kolumny i gdy przekroczyła mały strumień, pół godziny po opuszczeniu kryjówki, pozostał w tyle za ostatnimi krowami. Stopniowo ciemność pochłonęła jadącego coraz bardziej z tyłu człowieka. Webster skręcił koniem, podążając przez kilkaset jardów za strumieniem w dół i w prawą stronę, aż dotarł do niewielkiej polany. Zsiadł z konia między drzewami, wyciągnął rewolwer jako środek ostrożności i podszedł do stojącej na środku polany chaty.

W stojącym wejściu - w którym w ogóle nie było drzwi - cicho zawołał.

Odpowiedź nie nadeszła ze środka, lecz zza drzewa, zza którego wyszedł Dick Hammond z bronią w ręku.

— Nie śpisz, Dick?

— Jak człowiek mógłby spać, kiedy taka kolumna przetacza się koło jego drzwi? — odpowiedział Hammond. — Co się dzieje? Czy piekło przenosi się w jakieś nowe miejsce?

Usiedli na kilku pniach, a Webster zdał Hammondowi relację z całej historię, co do minuty. Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Hammondowi.

— Chcę, żebyś wziął ją i dał Swansonowi. To niewielki szkic terenu, dokąd zmierzamy, i lista wszystkich klientów, którym Faulkner i Dustin sprzedawali skradzione towary – kontraktorom rządowym, sklepom i tym podobnym. Każdy z tych klientów wiedział, że kupuje skradzione towary i zarabiał na tym.

— Dlaczego po prostu nie pojedziesz i nie zgarniesz ich?

— Ponieważ nie potrafiłbym im niczego udowodnić. Mogliby po prostu zaprzeczyć. Zdobędę dowody, które będą miały znaczenie w sądzie, jeśli będziemy musieli skorzystać z tej drogi. Powiedz Swansonowi, że dlatego właśnie będę musiał sprzedać te skradzione rzeczy. I powiedz mu, żeby pilnował tej listy nazwisk. Jeśli nie zdołam dokończyć swojej roboty, może przekazać ją następnemu, który się tym zajmie.

— Co jeszcze?

— Jest jedna sprawa, dla ciebie — powiedział Webster. — Jak dobrym jesteś detektywem?

— Potrafię znaleźć kleszcza u krowy, która pasła się w zakażonym terenie, ale wątpię, żebym mógł nazwać się śledczym. Dlaczego?

— Jest coś, co chcę, żebyście zbadali, ty lub Swanson. Nie potrafię ci powiedzieć, jak to zrobić. Może Swanson będzie miał jakieś pomysły. I nie jestem w stanie nawet ci powiedzieć, czego szukać; może to nic nie znaczy. Ale z drugiej strony, może to znaczyć wszystko dla Swansona. Ale chodzi o to; myślę, że szczury wślizgują się i wyjadają nasz ser.

— Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Swanson powiedział ci, co było w moim zeznaniu, jak sądzę?

— Tak.

— Zastanów się teraz nad tym uważnie. Tak jak ci mówiłem, pokazałem swoją kopię zeznań Dustinowi i Faulknerowi, żeby siłą wedrzeć się do ich organizacji. Lecz zwróciłem im wyraźnie uwagę, że duplikat znajduje się w bezpiecznych rękach, wraz z bronią i nabojami, które zostały uszkodzone. Powiedziałem im, że jeżeli coś mi się stanie, dowody trafią w ręce odpowiednich władz. W ten sposób byłem pewien, że nie będą próbowali mnie powstrzymać przy pomocy kuli. Ale - wydaje mi się, że Faulkner i tak próbował mnie wykończyć. Sądzę, że to on wysłał Flinta z rozkazem, żeby ten człowiek Snake-eyes wszczął walkę i mnie zabił. To tylko przeczucie, zrozum, ale nie wierzę, aby ten hombre chciał mnie zabić za to, że go pobiłem, nie podjąłby takiego ryzyka. Myślę, że Faulkner zrobił to w taki sposób, by zniwelować wrażenie, jakie wywarłem na Dustinie i na bandzie.

— No dobrze, do czego zmierzasz i co mam zrobić?

— O to właśnie chodzi - i to tylko przeczucie, tak jak ci mówiłem. Faulkner nie podjąłby takiego ryzyka, gdyby nie miał w rękach tych dowodów lub nie wiedział, że może je zdobyć. Nie kazałby mnie zabić, gdyby uważał, że istnieje jakiekolwiek ryzyko, iż duplikat moich zeznań wyjdzie na jaw. A jeśli tak, to ktoś mu powiedział, gdzie jest ten duplikat, a może nawet mu go dał.

Hammond zaśmiał się sucho:

— I chcesz, żebym poszedł i poprosił pana Faulknera, żeby grzecznie oddał nam nasze dowody, przeciwko sobie. Po prostu, ot tak.

— Nie, ja po prostu nie wiem, co ci powiedzieć. Powiedz o tym Swansonowi i niech on może spróbuje ustalić gdzie jest przeciek, jeśli będzie potrafił. Miał oddać ten papier Cromwellowi, który miał go wsadzić do sejfu w banku. Powiedz mu, żeby zajął się tym papierem i zabrał go z powrotem w swoje ręce, oraz upewnił się, że jest naprawdę bezpieczny u niego, a nie u kogoś innego. Może być już za późno. Faulkner może wiedzieć o każdym moim ruchu i o wszystkich planach. Jeśli tak jest, rozpęta się prawdziwe piekło.

— I oczywiście, może tu chodzić o coś zupełnie innego, co siedzi w głowie Faulknera — przypomniał mu Hammond.

— Pewnie! Ale trzeba rozważyć każdy aspekt, kiedy ma się z nim do czynienia. W przeciwnym razie wszyscy możemy obudzić się z ręką w nocniku i wylądować jako trupy w jakichś krzakach. Ty i Swanson dowiedzcie się wszystkiego, co wam się uda, a potem wracajcie i czekajcie. Ja będę z powrotem za kilka dni, i niezależnie od tego czy Faulkner jest daleko przede mną czy ja jestem daleko przed nim, wkrótce coś tutaj wybuchnie.

Webster spodziewał się raczej, że młody Hammond będzie podekscytowany i z zapałem rzuci się do wyjazdu, ale ten siedział na pniaku w postawie przygnębienia. Wydawał się być mocno pogrążony w myślach i Websterowi przyszło teraz do głowy, że być może młody człowiek nie uważał tak czujnie jak zwykle, w czasie całej ich rozmowy.

— Co tam ci chodzi po głowie? — spytał Jim.

Hammond wstał, rzucił papierosa i ze złością nadepnął na niego.

— Nic — odparł. — Absolutnie nic.

— A jednak, coś tam jest, i chyba wiem o co chodzi, a jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że jesteś cholernym głupcem.

— Co chciałeś przez to powiedzieć? — zapytał podejrzliwie Hammond.

— Cholernie dobrze wiesz, co chciałem powiedzieć. No dobrze, może gadam kiedy powinienem słuchać, ale powiem ci coś dla twojego własnego dobra. Teraz wiesz już wszystko o Dustinie i od dawna wiedziałeś, że próbował nakłonić Sonię Swanson do małżeństwa. Możesz nawet podejrzewać, że ten człowiek jest z natury oszustem i krętaczem.

— Ale co w tej sprawie zrobiłeś? Siedzisz i zamartwiasz się jak zakochany szczeniak. Uważasz, że zrobiłeś przyzwoitą rzecz, nie biorąc rewolweru i nie strzelając w tyłek Dustinowi w chwili, gdy się o nim dowiedziałeś. Chcesz i jednocześnie nie chcesz.

— Mówisz, jakbyś czytał mi w myślach, czy coś. Powinienem dorwać tego szczura i wywalić w niego cały bębenek rewolweru.

— Ale wiesz, że jeśli to zrobisz, Sonia będzie ci to miała za złe. Krótko mówiąc, będziesz potępiony, jeśli to zrobisz, i będziesz potępiony, jeśli tego nie zrobisz.

— Webster, może nie powinienem z tobą o tym rozmawiać, ale muszę ci to powiedzieć. Jasne, kocham Sonię. Jestem w niej zakochany od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. Tak naprawdę, myślę o niej tak wiele, że byłbym gotów zabić Dustina, żeby tylko nie sprawić jej przykrości. Ale ona jest taka, że gdybym go zabił, na zawsze stanęłoby to między nami. Nigdy by się nie dowiedziała, jakim jest skunksem i uwierzyłaby, że zabiłem go, żeby zdobyć ją. To znaczy, że gdybym musiał zabić go, żeby ją uratować, to nie mógłbym pójść do niej i powiedzieć jej, co do niej czuję.

— To ciężar, który musi dźwigać mężczyzna — przyznał Webster. Klepnął Hammonda w ramię, żeby go pocieszyć. — Ale nie pozwól, żeby cię to przygnębiło. Jej ojciec wie już, kim jest Dustin, i myśli o niej wystarczająco dużo, żeby upewnić się, że on jej nie dostanie. I jeszcze jedno - nie chcę, żeby Dustin zginął już teraz. Potrzebuję go w swoim planie. To na nim właśnie polegam, że doprowadzi mnie do wszystkich zamieszanych w ten bandycki interes.

— Wiem — przyznał Hammond. — To sprawia, że jest tak ciężko; stać z boku i patrzeć, jak ten nieustannie uśmiechnięty gnojek ją oszukuje.

— No dobrze, trzymaj tylko oczy szeroko otwarte — ostrzegł go Webster. — Muszę dogonić moją armię, zanim zauważą, że mnie nie ma.

* * * *

Było późne popołudnie, kiedy karawana złodziei dotarła do pierwszego przystanku, w osadzie o nazwie Big Brushy, w której znajdował się sklep i kilka domów oraz obóz kwatery głównej kontraktora, budującego drogę dla rządu. Oprócz obskurnych miejscowych domów, stało tam całe miasteczko namiotowe o znacznych rozmiarach, przy strumieniu,

niedaleko miejsca, w którym rządowy kontraktor stawiał most nad Brushy Creek.

Podczas gdy ludzie trzymali bydło na prerii za miastem, Webster podjechał jednym z wozów pod rampę wyładowczą sklepu, i on oraz Dustin weszli do środka, zabierając ze sobą Ike'a Flinta i grupę kilku ludzi.

Właścicielem był niechlujny człowiek, w koszuli z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi brudny podkoszulek. Tygodniowy czarny zarost na brodzie, pokrywał jego obwisłą, czerwoną twarz, i ciągle wciągał tabakę, której używał do nosa.

— Mamy dla ciebie dobry towar, Lansky — powiedział Dustin. — Chodź do wozu i obejrzyj go sobie.

Lansky podszedł za nimi do rampy dla wozów, a Dustin zaczął wymieniać rzeczy w pudełkach i paczkach. Następnie, po obejrzeniu, Lansky wygramolił się spod plandeki i stanął na rampie.

— Mogę sprzedać kilka trzonków do kilofów oraz siekier, i parę temu podobnych rzeczy — powiedział. — I może z pół tuzina bel tego grubego płótna. Ale to wszystko. Handel nie idzie teraz najlepiej.

Dustin dał znak czterem jeźdźcom, którzy podążali za wozem.

— Rozładujcie artykuły dla Lansky'ego — powiedział. Następnie powiedział do Lansky'ego: — Wejdźmy do środka, podczas gdy chłopcy rozładują towary dla ciebie. Chcę trochę tytoniu i parę innych rzeczy.

W sklepie Dustin odczytał listę zakupów, a gdy zostały ułożone w pudełkach, które mieli zabrać ze sobą, Dustin, Lansky i Webster wrócili na rampę.

Cały wóz z towarem został rozładowany. Lansky wyglądał na zdezorientowanego, po czym pokręcił głową.

— Nie chciałem wszystkich tych rzeczy — zaprotestował. — Nie dam rady ich sprzedać. Równie dobrze możecie załadować je z powrotem.

Dustin uśmiechnął się do niego.

— Lansky, chcę, żebyś poznał Jima Webstera. Teraz to on tutaj dowodzi, a ja tylko wykonywałem instrukcje. On ci wszystko wyjaśni.

Webster oparł się o ścianę sklepu, paląc papierosa. Flint mimochodem poruszał się tu i tam, i ostatecznie stanął koło Lansky'ego. Wtedy Webster wyjaśnił.

— To jest tak, Lansky. Mamy za dużo towaru w magazynie i musimy się go pozbyć. Więc wy, chłopcy, z którymi prowadziliśmy interesy, musicie nam pomóc. To twoja część. Dustin wystawi ci rachunek.

— Nie — odmówił Lansky. — Nie ma mowy. Nie mam nic przeciwko wzięciu od was, chłopaki, tego, czego potrzebuję, ale nie zamierzam przeładowywać się tylko dlatego, że macie za dużo pod ręką. Nie ma mowy. Nie!

— No cóż — stwierdził Webster swobodnie. — Powinieneś to przemyśleć. Zdecydowaliśmy, że to twoja część. Musisz ją wziąć.

— Nie! Nie! Ani myślę tego zrobić!

— W takim razie będziesz musiał zmienić zdanie. Widzisz, kupowałeś kradzione towary, więc tak naprawdę siedzisz w sprawie tej kradzieży, tak samo głęboko jak my. Oznacza to, że mogą cię wsadzić do więzienia tak

daleko, że wysłanie do ciebie pocztówki będzie kosztowało dolara. Myślałeś kiedyś o tym w ten sposób?

— Posłuchaj mnie — ryknął Lansky. — Nie będziesz mi robił żadnych sztuczek. Nie ma mowy! Zabieraj te cholerne rzeczy z mojej rampy i wynoś się stąd ze swoim wozem.

Webster westchnął znużony.

— No dobra, Ike, spróbuj sprawić, żeby przejrzał na oczy.

Pięść Ike'a Flinta wystrzeliła i trafiła Lansky'ego prosto w szczękę. Lansky poleciał tyłem z rampy, wylądował w ziemi i przewrócił się jak długi. Ike zeskoczył z pomostu, uniósł Lansky'ego za kołnierz podkoszulka i wymierzył mu w twarz pół tuzina donośnych policzków, kończąc głośnym plaśnięciem w ucho.

— Teraz właź na ten pomost i zacznij robić interesy, jak należy! — warknął Flint. — Właź tam, powiedziałem — dodał, podkreślając rozkaz kolejnym plaśnięciem.

Lansky na pół wpełznął sam i na wpół został wrzucony na rampę przez Flinta.

— No dobrze — powiedział Webster, — jeśli jesteś gotowy rozmawiać rozsądnie, powinieneś spojrzeć na sprawy z naszej perspektywy. Jesteś wspólnikiem bandy złodziei i próbowałeś sprawić zawód swoim wspólnikom. To nie jest miłe i nie kochamy cię, kiedy nas zawodzisz. Teraz więc, twoja część roboty polega na zabraniu tego towaru, zapłaceniu za niego i sprzedaniu go. Czy już jesteś gotów, żebym zaczął wystawiać ci rachunek?

— Do diabła, nie! Nikt mi nie będzie robił takich…

— Daj mu następną porcję, Ike! — oznajmił spokojnie Webster. — Trochę mocniejszą.

Tym razem pięść Flinta trafiła w kość policzkową Lansky'ego, ale potem Ike pogonił go ciosami po pomoście rampy, aby nie musiał go podnosić znowu z ziemi.

Lansky leżący na plecach zobaczył, że Flint zamierza kopnąć go w żebra.

— Już dobrze! — krzyknął. — Wezmę towar. Nie kop mnie! Nie kop człowieka, kiedy leży.

— Teraz mówisz bardziej jak partner — stwierdził Webster. — Dustin, wyjmij książeczkę z rachunkami i wypisz kwit, w którym pozbywamy się towaru. I użyj tego nowego cennika. Lansky, ceny trochę wzrosły od czasu, kiedy płaciłeś swój ostatni rachunek za towary.

— No, co ty próbujesz mi zrobić? — poskarżył się Lansky. — Najpierw muszę wziąć towar. Potem cena pójdzie w górę. Mogę go kupić legalnie.

— Zgadza się — zapewnił go Webster. — Nigdy nie wiadomo, co zrobi banda złodziei, co? Nie powinieneś był wdawać się w tego typu interesy, jeśli ci się nie podobały. Ale skoro już tu jesteś, od teraz będziesz przyjmował rozkazy ode mnie. Kupisz to, co ci każemy, i zapłacisz cenę, jaką ustalimy. A jeśli będziesz próbował za dużo gadać po okolicy, mamy wystarczająco wielu ludzi, żeby dopilnować, żebyś nie donosił na swoich partnerów biznesowych. A teraz przygotuj pieniądze.

Flint zaczął odprowadzać mężczyznę do jego sklepu, gdy Webster go zatrzymał.

— Chwileczkę — powiedział, sięgając do wozu. — Prawie zapomniałem. Oto lemiesz pługa, który należy do twojego przydziału towarów.

Dodał lemiesz pługa do stosu towarów, najpierw go odwracając i sprawdzając numer ze spodu odkładnicy — numer, który skopiował z odznaki szeryfa.

— A teraz wyciągaj pieniądze — oznajmił. — Chcę przed nocą zakończyć interesy z tym kontraktorem nad strumieniem.

Kiedy Webster i Dustin wyszli ze sklepu z pieniędzmi, Dustin pokręcił głową.

— Proszę, proszę! I czy to cię zabiło? Myślałem, że wiem coś o sprzedaży bydła i towarów. To po prostu pokazuje jedną rzecz; człowiek uczy się przez całe życie, prawda?

— Tak, z pewnością — odpowiedział Webster. — I czasami to zabija. Ale co za różnica? Pewnego dnia, człowiek i tak musi umrzeć, co nie?

— To jest coś, czemu nigdy nie poświęcałem należytej uwagi. Nie ma w tym nic zabawnego.

— Nie, ale jest w tym jakaś nauczka, jeśli już się nad tym zastanowić.

Dustin roześmiał się.

— Nie jestem zbyt dobrym uczniem.

— Nie — odparł zamyślony Webster. — Chyba nie.

Wsiedli na konie i ruszyli z wozami i bydłem w stronę obozowiska przedsiębiorcy budowlanego nad strumieniem. Ten człowiek, wydając rządowe pieniądze na żywność i zaopatrzenie dla swoich pracowników, wiele zaoszczędził, robiąc interesy z Dustinem, a oszczędności te trafiłyby do rządu, gdyby nie policzył rządowi pełnej ceny za to co kupił, i nie zachował dla siebie różnicy.

Kontraktor był dobrym kandydatem na odbiór dostawy dużej ilości mięsa i towarów.

## Rozdział 15

## Rozterki Emory’ego Dustina

Emory Dustin stanął przed problemem życia lub śmierci.

I, niezależnie od tego czy był dobrym uczniem czy nie, odczytał wskazówkę z zawoalowanej sugestii Webstera.

Już od dziecka Emory Dustin był skomplikowaną osobowością. Połączenie zewnętrznych wydarzeń oraz jego własnej złożonej natury i dobrego umysłu, tak go zawsze angażowało, że nawet podczas tych wielu okazji, kiedy w jego głowie pojawiały nagłe przebłyski ciekawości odnośnie tego, kim naprawdę był, czego naprawdę chciał i co naprawdę zamierzał robić, musiał odrzucać te problemy, jako chwilowo zbyt trudne dla niego, i podążać za tym, który, jak wynikało z jego sprzecznych trendów myślowych, był w danym momencie najsilniejszy. Teraz czuł, że nie może uniknąć obecnego problemu, nawet tak trudnego jak ten. Człowiek może umrzeć przez takie zaniedbanie.

Urodził się na ranczu w południowym Teksasie, które nie było ani biedne, ani bogate, podczas gdy jego sąsiedzi byli albo bardzo biedni, albo bardzo bogaci. Jego ojciec był prawym i ciężko pracującym ranczerem, którego żona zmarła, kiedy urodził się Emory, i który z pomocą meksykańskiej gosposi starał się wychować Emory'ego na miłego i szanowanego człowieka, silnego i odważnego. Chociaż ojciec sam o tym nie wiedział, jego interpretacja pojęcia miłego i odważnego chłopca, powodowała, że Emory przeraźliwie bał się jego i paska od uprzęży, który pojawiał się w jego dłoni, kiedy chłopiec źle postąpił. A przecież powinien być nieustraszony i uczciwy w relacjach z innymi.

Mając siedzenie wrażliwe na pasek, dumę uczuloną na sprawiedliwe nauki ojca, oraz umysł, który był sprytny i aktywny, Emory szybko poznał silne i słabe strony swego rodzica i wykorzystał je na swoją korzyść. Tak długo, dopóki jego ojciec szedł swoją własną, sprawiedliwą drogą oraz tak długo, dopóki Emory spoglądał na niego jako na filar moralności i siły, i pokazywał, że bardzo podziwia starego człowieka, mógł uzyskać od niego wszystko, czego chciał. Nauczył się okazywać łamiącą serce uległość, zamiast gniewu, kiedy coś poszło nie po jego myśli, a jego ojciec był zbytnio przekonany o własnej doskonałości, by pozwolić sobie na przyznanie, że mógłby źle traktować swoje dziecko. Tak więc, kiedy podejrzewał, że Emory cierpi w ciszy, z powodu twardości jego starca, staruszek udowadniał, że nie jest twardy, dając Emory'emu to, czego ten chciał.

W ten sposób Emory Dustin już w bardzo młodym wieku nauczył się tego, czego większość chłopców uczy się o życiu od swoich ojców: że najsilniejszy ma zawsze rację i że jeśli okażesz mu, że się z nim zgadzasz, możesz dalej myśleć, co ci się podoba, i żerować na jego próżności, która zawsze towarzyszy zadufaniu w sobie.

Wkrótce dowiedział się, że stara Meksykanka, która go wychowywała, gardziła jego ojcem i współczuła mu, i szybko nauczył się wykorzystywać tę wiedzę. Ponieważ matka-gospodyni obawiała się, że chłopiec dostanie lanie, nie zgłaszała jego nieposłuszeństw ojcu, więc Emory robił, co mu się podobało. Będąc dla niej miłym, utrzymywał ją po swojej stronie.

To właśnie ta wiedza była odpowiedzialna za rozwój wesołego i swobodnego stylu zachowania Dustina, który zawsze nosił go jak maskę, ukrywając pod nim swoją chciwość, wywołaną przez frustrację wściekłość, a przede wszystkim gryzący strach, który pożerał jego siły witalne i za który przeklinał swojego ojca. Uśmiech przynosił mu korzyści, lecz kosztował go również utratę szacunku do samego siebie. A ponieważ zdawał sobie sprawę z własnej dwulicowości, nieustannie obwiniał ojca za swoje poczucie hipokryzji. Wiedział, że się boi i wiedział, że rozwinął w sobie filozofię bezwzględności wyłącznie jako obronę przed tchórzostwem, do którego sam się przed sobą przyznawał.

Ta bezwzględność skrystalizowała się u niego za maską swobodnego luzu w chwili śmierci ojca, gdy Emory miał piętnaście lat. Starzec był od kilku lat kaleką, a po jego śmierci Emory został wyzuty z własności, tracąc ranczo, i nie mógł zrobić nic innego, jak zacząć żyć na własny rachunek. Dawno już nauczył się sztuki wymigiwania się od pracy, ale był zbyt młody, niedoświadczony i nieodpowiedzialny, aby dostać pracę jako zwykły kowboj, i skończył jako najemny pomocnik pozbawionego skrupułów kupca bydła. Konieczność pracy była dla oszusta wielką raną dla jego dumy, ale była też ogromną szkołą. Emory szybko się uczył.

Przez kilka lat przemęczył się w tej pracy, podczas gdy jego własna duma rosła proporcjonalnie, aby zrównoważyć upokorzenia związane z koniecznością wykonywania przez oszusta uczciwej pracy, to zaś rozpaliło jego pragnienie niezależności.

Nauczywszy się kilku handlowych sztuczek, używał ich przeciwko swojemu szefowi, dopóki nie zdobył wystarczającej ilości pieniędzy, aby odejść na własne śmieci. Ruszyłby spokojnie swoją drogą, gdyby nie fakt, że wtrącił się tu jego były szef. Doszło do tego, kiedy szef, który ze swej natury nikomu nie ufał, w końcu zdecydował, że może zaufać Emory'emu, oraz że młody pomocnik przepędzi stado gorącego bydła do właściciela pobliskiej firmy konstrukcyjnej, regularnie kupującego towar bez zadawania zbędnych pytań, i płacącego gotówką, aby nie pozostawić żadnych zapisów tych pokrętnych i dochodowych transakcji. Szef Emory’ego zdecydował, że ten ostatni jest godny zaufania, kiedy sam leżał w łóżku ze złamaną nogą, w chwili gdy dostał cynk, iż jego stado będzie sprawdzane przez inspektorów. Zmuszony do pozbycia się go w krótkim czasie i niezdolny do wyruszenia z nim w drogę, aby odebrać zapłatę, nagle uwierzył w uczciwość Emory'ego i wysłał go samego, aby sprzedał bydło i przywiózł mu pieniądze. To była jedyna rzecz, jaką mógł zrobić.

Emory sprzedał bydło, zgarnął pieniądze do własnej kieszeni i pojechał dalej, wiedząc, że szef nie może otwarcie zgłosić kradzieży bydła. W ten sposób Emory Dustin, wykorzystując własną inteligencję, rozpoczął działalność w branży handlu bydłem.

Zdobył niezależność.

I radził sobie dobrze, zachowując niezależność, dopóki jego własna chciwość nie zaciągnęła go do stołów hazardowych. Skończyło się to tym, że obudził się, przyjmując zlecenia od J.B. Faulknera, który miał większe doświadczenie w tego typu sprawach niż Emory i był bardziej zimnokrwisty w swoich interesach. Faulkner stał się oszustem, nie po to by uleczyć zranioną dumę wątpliwej niezależności, lecz wyłącznie w mściwym celu zdobycia pieniędzy i władzy nad tymi, którzy byli o wiele lepsi od niego, pod względem wyglądu, zdrowia, szacunku do samego siebie i prostych radości życia. Faulkner walczył z nimi z agresywną i lodowatą mściwością, która nie pozostawiała w jego duszy miejsca nawet na własną emocjonalną satysfakcję. W ten sposób Emory Dustin po raz drugi w życiu znalazł się pod dominacją człowieka potężniejszego od siebie.

Pracując u Faulknera zarabiał pieniądze i tracił je w pokera, a w tym samym czasie jego szacunek do samego siebie spadł do jeszcze niższego poziomu, potęgując konflikt z samym sobą. Wiedząc, że ma wysoką inteligencję, uważał, że zasługuje na rzeczy, jakie mają przyzwoici ludzie. Miał silną potrzebę szacunku, jednocześnie nienawidził tych, którzy mieli szacunek. O którym wiedział, że sam nigdy nie zdoła go zdobyć.

Musiał zadowalać się symbolami szacunku zamiast prawdziwym uczuciem, a Swanson i jego córka reprezentowali rzeczy, którymi gardził i których jednocześnie pragnął.

Tak więc, chociaż zakochał się w Soni Swanson, chociaż chciał się z nią ożenić, aby zdobyć szacunek, nadal nie myślał o niej inaczej niż w świetle własnych pragnień. Ona reprezentowała rzeczy, których pragnął, a on pragnął jej, ale nie zastanawiał się nad tym, co ona czuje do niego. Własny egoizm przekonał go, że powinna być zadowolona z uwagi młodego mężczyzny o jego osobowości i energii, więc jego zainteresowanie nie wynikało z żadnego szacunku dla niej, ale miało na celu pokazanie jej własnych kwalifikacji i przekonanie jej w ten sposób, że będzie szczęśliwa, jeśli powierzy swoją przyszłość w jego ręce. Odkąd ją poznał, był przekonany, że kiedy będzie gotów poprosić ją o rękę, ona natychmiast skorzysta z okazji.

A jednak, aż do tej pory, czający się w nim strach powstrzymywał go przed poproszeniem jej o rękę. Wiedział, że prowadzi podwójne życie, a ona wkrótce się o tym dowie i będzie nim gardzić, zaś jego duma nie pozwalała mu tolerować myśli o pogardzie ze strony jakiejkolwiek przyzwoitej osoby. Tak więc ponownie wewnętrzny konflikt w nim samym, paraliżował go przed podjęciem działania; pragnął jej i bał się, że ona dowie się, jakim jest człowiekiem. I znowu chciał żyć zintegrowanym życiem, lecz wiedział, że tkwi w nim zbyt wiele sprzecznych dążeń, aby na to pozwolić. Jego nienawiść i lęki były tak ogromne, że musiały być skrywane za maską, a konieczność noszenia maski stwarzała w nim

poczucie własnej niższości, które z kolei znajdowało się w ciągłym konflikcie z jego egotyzmem.

Krótko mówiąc, Emory Dustin wiedział, że jego życie jest tak poplątane, że nie ma nadziei, aby kiedykolwiek je rozplątał, i wiedział, że boi się nawet spróbować tego zrobić.

Pojawienie się Webstera wpędziło go tylko w jeszcze większą konfuzję. Podziwiał zimnokrwistą bezduszność Webstera i bystry umysł tego człowieka, który uczynił z Jima przywódcę, lecz jednocześnie gardził Websterem za to, że był oszustem, nienawidził go i jednocześnie się go bał, ponieważ Webster był lepszym oszustem niż on sam.

Dustin był szefem na ranczu, drugim po Faulknerze, co podsycało jego dumę. Lecz pojawił się Jim i Emory wiedział, że Webster jest lepszym człowiekiem do tej roboty, i wiedział, że tamten go wygryzł. Ta wiedza podsycała ogień jego nienawiści, ale strach przed Websterem sprawiał, że musiał ukrywać swą nienawiść i obawę przed tym człowiekiem. W ten sposób narzucono mu jeszcze więcej uwikłań, a to z kolei zrodziło nowy strach - strach przed całą tą sytuacją. Wiedział, że sprawy toczą się dla niego zbyt szybko; że wymknęły mu się spod kontroli, a jego zdrowy rozsądek ostrzegał go, że znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Jego domek z kart mógł runąć w każdej chwili, a wraz z tym wydarzeniem Dustin umrze; może na końcu liny lub z kulą w ciele. Możliwość tej hańby i zagłady podsycała jego strach, aż do poziomu wewnętrznej paniki.

Webster i ludzie byli w drodze już od ponad tygodnia; całe bydło i towary, łącznie z wozami, na których je przewożono, zostały sprzedane, a teraz grupa znajdowała się, z pieniędzmi w kieszeniach i palącym pragnieniem upuszczenia trochę pary z głowy, w Boggy Depot, stacji dyliżansu na szlaku przez Terytorium, około trzydziestu mil na południe od McAlester.

Stacja dyliżansu była skrzyżowaniem hotelu, saloonu, sklepu i domu schadzek, a nieliczni mieszkańcy, którzy mieszkali w sosnowych chatach wokół tego punktu, Indianie i paru nijakich białych, utrzymywali się w ten czy inny sposób z pasażerów dyliżansów lub osadniczych karawan, oraz kowbojów pędzących stada bydła.

Poprzedniej nocy dojechali do Boggy, i chłopcy zajęli się poważnym piciem, razem z kobietami, które przyjechały z nimi, a także z pół tuzinem białych, prawie białych i indiańskich kobiet, kręcących się po barze w czasie, gdy stacja miała gości.

Następnego ranka, kiedy większość ludzi cierpiała na bóle głowy i zastanawiała się, co się stało z pieniędzmi, które Webster im rozdał, sam Webster siedział przy stole śniadaniowym w innej części rozległego budynku i rozmawiał z człowiekiem, który wysiadł z dyliżansu i szukał konia, mogącego zabrać go do Teksasu.

Webster znał tego człowieka w Teksasie, był to kowboj, który przez pewien czas pracował dla Cattlemen's Protective Association.

Kiedy rozpoznali się przy śniadaniu, mężczyzna, który nazywał się Hoot Ballew, zapytał:

— Co tu robisz, Webster?

— Właśnie sprzedałem trochę wołowiny — przyznał Webster. — Jak zabłądziłeś tak daleko od Santone?

— Po prostu rozglądałem się po okolicy. Słyszałem, że to raj dla hodowców i chciałem się przekonać na własne oczy, jak tu wygląda.

— No i co?

— Dobra ziemia. Ale chyba tylko tyle dobrego da się o niej powiedzieć. Robię się za stary, żeby siedzieć na progu ze strzelbą na kolanach tylko po to, by mieć dach nad głową. Wracam tam, skąd pochodzę, gdzie są trochę bardziej cywilizowane warunki.

— Jak na kawałek nieba, jest tu chyba dosyć twardo — przyznał Webster. — Ale tym zajmiemy się w odpowiednim czasie. Śpieszy ci się z powrotem tam, skąd przybyłeś?

Ballew spojrzał na niego ostro, po czym uśmiechnął się.

— Trzeba teraz uważać. Znam cię. Gdzie pojawia się Webster, tam jest pełno dymu prochowego. Czuję go w twoich włosach. Nie, nawet nie składaj mi żadnych propozycji. Mówiłem ci, iż w zapachu dymu jest coś takiego, że aż skręca mnie w żołądku, a w szczęku broni coś takiego, co sprawia, że podskakuję. Nie jestem taki jak ty.

— A kto mówił o pracy? — odparł Webster. — Pomyślałem tylko, że chciałbyś zarobić pieniądze, w łatwy sposób, bez żadnego ryzyka. Prawdopodobnie mógłbyś robić wszystko, co trzeba, siedząc w bujanym fotelu, dobrze się przy tym bawiąc, a przy tym dostawać za to pieniądze. Gdybym ci powiedział, na czym to polega, założę się, że natychmiast skorzystałbyś z okazji, żeby robić to za darmo, dla samej zabawy.

— Nie, nic mi nie mów! Ani słowa więcej! Nie chcę tego i nie chcę nawet o tym słyszeć. Powiedziałem ci, że teraz kroczę ścieżką pokoju. Nie chcę bujanego fotela w niebie; chcę go pod drzewem w moim własnym ogródku. Nawet mi nie mów, o co ci chodzi.

— Niech będzie — zgodził się Webster. — Nie powiem ani słowa więcej. Po prostu zdałem sobie sprawę z tego, jak lubisz się dobrze bawić i pomyślałem, że chciałbyś trochę się pośmiać. Ale nawet nie będę się trudził, żeby ci mówić, co to miało być. Dzięki temu nie będziesz wiedział, co straciłeś.

— A co miałbym przegapić?

— Nic. Ja tylko… po prostu zapomnij.

— O czym? Nie bądź taki, mówisz człowiekowi tylko tyle, by rozbudzić jego ciekawość, a potem nabierasz wody w usta. To nie jest miłe, prawda?

— No cóż, w pewnym sensie jesteś starym stróżem prawa i wiesz, jak działają złodzieje. Pomyślałem, że chciałbyś zobaczyć, jak się zachowują, kiedy wiedzą, że są obserwowani. Byłoby to pouczające i mógłbyś się z tego pośmiać.

— No dobrze, co to jest? No dalej, powiedz mi. Nie owijaj w bawełnę. Powiedz, o co ci chodzi.

— Niech będzie, już ci mówię. Byłem na objeździe z bydłem dla agencji indiańskich, kontraktorów rządowych i tym podobnych, i mam dość szorstkich ludzi i zarządcę. Mam przy sobie jakieś dwadzieścia dwa tysiące dolarów w gotówce, a języki tych sukinsynów zwisają na milę, kiedy o tym pomyślą.

— Auć… jest i haczyk. Potrzebujesz strażnika z bronią.

— Nie! Gdybym nie potrafił o siebie zadbać, to zasługiwałbym na to, aby stracić te pieniądze. Nie musiałbyś nawet nosić broni.

— Co chciałeś przez to powiedzieć? W tym pogańskim kraju chętniej chodziłbym bez spodni, niż bez broni. W każdym razie, o co tu chodzi?

— Sprawa wygląda tak; zostawię ludzi tutaj, żeby się zabawili przez kolejną noc lub dwie, ale ja wyruszę z tymi pieniędzmi około południa, jak tylko mój zarządca kowbojów stanie na nogi po wczorajszych wygłupach. On pojedzie ze mną. Ten facet na pierwszy rzut oka wygląda w porządku, ale w sercu ma węża. Jest głodny pieniędzy, a te dwadzieścia dwa tysiące to dla niego cała fortuna. Postawiłbym wszystkie pieniądze na to, że właśnie zastanawia się, kiedy i jak mnie zabić. Oto, co chcę, żebyś zrobił; i tak jedziesz do Woodbine. Mogę dać ci konia. Pojedziesz ze mną i będziesz sprawiał wrażenie, że prowadzisz tutaj jakieś duże śledztwo. Nie mów o co chodzi, ani z kim jesteś związany, ale zachowuj się jak głupi przedstawiciel prawa, który za dużo zdradza swoim zachowaniem. Udawaj, że jesteś podejrzliwy wobec wszystkich.

— Później, w czasie podróży, daj temu facetowi do zrozumienia - ma na imię Dustin - że możesz być zainteresowany jego osobą. Ja szepnę mu dyskretnie na boku, że mam takie same odczucia.

— Kiedy dotrzemy do Woodbine, nie łap pierwszego dyliżansu, który będzie stamtąd wyjeżdżał. Pokręć się po okolicy, zachowując się w tajemniczy sposób. Za każdym razem, kiedy zobaczysz Dustina, przywitaj go miło, ale daj mu też odczuć, że masz go na oku. Pozwól, żeby cię przyłapał na śledzeniu go. I tak dalej, nasilaj to, aż się zdenerwuje. To wszystko, co musisz zrobić. Zapłacę ci za to, a ty będziesz się dobrze bawił, obserwując jego zachowanie. Później, jeśli spodoba ci się ta gra, powiedz, a może wtajemniczę cię w coś jeszcze. Ale przecież jesteś zmęczony ściganiem złodziei, Ballew, więc pewnie nie będzie to już dla ciebie takie zabawne.

— Ty… Wiedziałem. Przez cały czas mówiłem ci, że masz coś w zanadrzu. Nie oszukasz mnie, Webster. I powiedziałem ci, że nie zamierzam już więcej pozwolić na dziurawienie siedzenia moich bryczesów ołowiem.

— A więc pewnie nie chcesz pojechać z nami i zobaczyć, jak zachowuje się Dustin. Zapomnij, że o tym wspominałem.

— Och, pojadę z wami, niech będzie. I posiedzę trochę w Woodbine dla ciebie, ale nie licz na to, że potem wciągniesz mnie w zabijanie. Mówiłem ci...

* * * *

Emory Dustin był w swoim pokoju, na pierwszym piętrze budynku stacji, leżąc na starym żelaznym łóżku. Głowa dymiła mu indiańską whisky, a ciało było roztrzęsione przez emocjonalne napięcie, jakie pojawia się u przerażonego człowieka, stojącego na rozdrożu.

Przez całą tę podróż zastanawiał się nad swoim położeniem, a im więcej o tym myślał, tym bardziej niemożliwe wydawało mu się

wypracowanie jakiegokolwiek sposobu, który rozwiązałby jego obecny problem. Sprawy stanęły na głowie; nie mógł kontynuować tego dalej, w obecnym stanie rzeczy.

Wiedział, że nie jest wystarczająco mocnym człowiekiem, aby wyrwać Websterowi przywództwo siłą. Teraz nie mógł nawet uciec od tej całej sprawy i osiedlić się gdzieś jako szanowany obywatel, co było pomysłem, który od czasu do czasu rozważał, lecz którego realizację odkładał zawsze na później, w nadziei że zbierze wystarczająco dużo pieniędzy, aby wyjść na prostą. Jednakże był już u kresu sił.

Webster skrupulatnie liczył pieniądze, które zgarnęli za skradziony towar i natychmiast oddał mu jego czwartą część. Potem szybko wygrał je z powrotem od Emory'ego podczas ich nocnej gry w pokera.

W tej chwili Webster był na dole ze wszystkimi pieniędzmi z wyjątkiem jednej czwartej zysków, które wypłacił ludziom. Dustin oszacował, że musi to być ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, i myśl o tych pieniądzach nieustannie dręczyła jego umysł. Z takim łupem mógłby się wycofać z całej sprawy, wyjechać gdzie indziej i rozpocząć życie od nowa. Mógłby nawet poślubić Sonię Swanson i zabrać ją ze sobą.

Ucieczka zraniłaby co prawda jego męską dumę, ale w końcu człowiek nie umiera z powodu takiego drobiazgu, co przecież łatwo mu się może przydarzyć w efekcie dobrze ulokowanej kuli. Zaś Webster był człowiekiem, który wiedział, jak lokować swoje kule.

Dustin pomyślał o pewnej nieuniknionej kwestii, która stała między nim a pieniędzmi. Trzeba było zabić Webstera. Ale osobowość tego człowieka była tak silna, miał tak władczy wygląd, że sama myśl o zabiciu go sprawiała, że Dustin trząsł się, jakby dostał dreszczy.

Jednak trzeba było to zrobić; albo Webster albo on, a on nie miał problemów z dokonywaniem wyborów w takiej sytuacji. Po zabiciu Webstera i z pieniędzmi w kieszeni, miałby praktycznie wszystko, czego pragnął: pieniądze, Sonię Swanson i wyzwolenie spod dominacji Faulknera.

I, jak przekonywał sam siebie, byłoby to łatwe. Pozwolili ludziom zostać tu jeszcze jeden dzień, przed powrotem na ranczo, a Webster i on mieli pojechać do Woodbine sami. Jedną noc mieli przespać na dworze. Webster nie mógł przecież przez cały czas czuwać. A wystarczy tylko chwila, by unieść broń i zabić śpiącego człowieka.

Potem, gdy Webster zniknie już z drogi, mógłby pojechać i wyjaśnić Faulknerowi, że napadli ich i okradli rabusie, zabijając Webstera, kiedy ten stanął do walki. Następnie zamieniłby słowo z Sonią i uciekliby do południowego Teksasu lub Meksyku, ewentualnie do Kalifornii.

Chwytając się tego pomysłu, Dustin rozwinął swoje marzenie w bajeczne imperium bydła na Dalekim Zachodzie, z kilkoma kopalniami złota odkrytymi na swojej ziemi, z Sonią jako dostojną panią jego pretensjonalnego zamku (i z pół tuzinem innych ładnych dziewcząt rozmieszczonych strategicznie tu i tam, czekających aby zaspokajać jego przyjemności).

I wszystko to mogło być rezultatem uniesienia na kilka centymetrów małego pistoletu i pociągnięcia za spust - mniej niż pół minuty pracy.

Łatwe, jak upadek z konia i nawet w połowie nie tak niebezpieczne. Żadnych świadków, nikogo, kto by wiedział lub przejmował się tym, co się stało.

Jedyną trudnością był - sam Webster. Nawet śpiąc, Webster był niebezpiecznym człowiekiem. Mógł się przecież obudzić!

Dustin budował w głowie swoje bydlęce imperium, kiedy przypomniał sobie, że Webster przygotował się na taką ewentualność. Duplikat obciążających zeznań Webstera, wraz z bronią i pociskami związanymi z zabiciem dwóch przedstawicieli prawa, znajdował się w czyichś innych rękach, tak aby zostały one ujawnione w przypadku śmierci Webstera. Webster wskazał, że w interesie Faulknera i Emory'ego było utrzymanie go przy życiu, aby dowody nie wpadły w ręce prawa.

Ta kwestia na chwilę zmroziła Emory'ego, który wytężył wszystkie siły, by znaleźć sposób na ominięcie możliwości uruchomienia każącej ręki prawa. Wtedy wpadł na pomysł; mógł przecież powiedzieć, że Webster nie został zabity, lecz ruszył tropem bandytów i nie wróci, dopóki ich nie dopadnie i nie odzyska pieniędzy. To dałoby jemu - Emory'emu - czas na bezpieczną ucieczkę. Potem, kiedy już zniknie i bezpiecznie ukryje się gdzieś w Kalifornii pod przybranym nazwiskiem - wtedy, w gruncie rzeczy, miał nadzieję, że dowody Webstera wyjdą na jaw - i poślą na szubienicę Faulknera!

Niech będzie! Ta robota przysporzy mu kilku przykrych chwil, ale musiał ją wykonać. A potem - wolność, pieniądze i Sonia Swanson!

Przez chwilę jeszcze oddawał się marzeniom na jawie, a tuż przed południem ubrał się i zszedł na dół, aby przygotować się do wyjazdu. Webster siedział przy stole, jedząc fasolę i wołowinę z jakimś innym człowiekiem.

— Emory — oznajmił Webster, kiedy Dustin do nich dołączył — chcę, żebyś poznał Hoota Ballewa. Jedzie do Woodbine, więc pożyczyłem mu konia i pojedzie z nami. Będziemy mieli towarzystwo w drodze.

Dustin poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Nie chciał mieć świadków zabójstwa Webstera, ale zachował na twarzy uśmiech, gdy w odpowiedzi przywitał się z nowopoznanym człowiekiem.

— Cieszę się, że będziesz z nami — uśmiechnął się. — Webster nie jest zbyt zabawnym towarzyszem w podróży w interesach, a miło byłoby dla odmiany porozmawiać z jakimś kulturalnym człowiekiem. Mieszkasz gdzieś na tych terenach?

— Nie. Byłem tu tylko trochę się rozejrzeć. Cieszę się, że już stąd wyjeżdżam.

Ballew wstał i poszedł zapłacić rachunek, a Webster poczekał, aż zniknie im z oczu, po czym zwrócił się do Dustina przyciszonym głosem.

— Uważaj na tego hombre — powiedział. — Nie jest tym, za kogo się podaje.

— Skąd wiesz? — spytał Dustin, a jego i tak już spore zdenerwowanie, jeszcze wzrosło.

— Twierdzi, że szukał tylko kawałka ziemi, aby się tutaj osiedlić. Ale tak się składa, że ja wiem, kim on jest.

— A kim on jest?

— Nie słyszałeś nigdy o Hootcie Ballewie? On i człowiek o nazwisku Gibson są najlepszymi detektywami Cattlemen's Protective Association. Są też bardzo dynamicznymi ludźmi. Zawsze pracują razem i nie sądzę, by kiedykolwiek w życiu nie udało im się rozwiązać jakiejś sprawy.

— Jak myślisz, co on tu robi? — spytał Dustin.

— Nie wiem, ale mógłbym się założyć, że czymś się tu jednak zajmuje. A Gibson nie jest daleko za nim. Oni są jak bliźnięta syjamskie. W ten sposób uważają na siebie nawzajem.

— Nie sądzisz chyba, że to nas obserwują?

— Tego właśnie nie wiem, ale musimy rozegrać to w bezpieczny sposób. Po prostu nie mów za dużo i podpompuj go trochę. Zobaczymy, czy nie mówi czegoś niejasno, czy nie zaprzecza sam sobie w niektórych sprawach, o których mówi.

— Wolałbym, żeby z nami nie jechał.

— Znowu się mylisz. Lepiej mieć go na oku, żebyśmy mogli obserwować go, kiedy on będzie obserwował nas, prawda?

— Ty zawsze myślisz o wszystkich aspektach sprawy — musiał przyznać Dustin.

— Jeszcze jedno — ostrzegł go Webster. — Kiedy dotrzemy do Woodbine, lepiej nie biegnijmy prosto do Faulknera. Jeśli ten hombre będzie nas śledził, będzie to dla nas ostateczne potwierdzenie naszych podejrzeń.

— Co zrobimy?

— Rozdzielimy się. Spróbuję go odciągnąć, by poszedł ze mną. A jeśli mi się uda, ty pójdziesz do Faulknera i zdasz raport. O wszystkim, łącznie z tym gościem. Powiedz mu, że odciągam go od was i że zobaczymy się później.

— Z tymi pieniędzmi!

— Nie bądź głupcem. Faulkner nie będzie chciał takich dowodów w swoim sejfie. Powiedz mu, że ukryję je do czasu, aż ten hombre zniknie z pola widzenia. Potem zobaczę, czy coś jest na rzeczy i spotkamy się w saloonie. W porządku?

— Tak będzie najlepiej — przyznał Dustin.

Pomimo uśmiechu na twarzy, Dustin był chory w środku. Mając na karku stróża prawa i kolejnego, który go pilnował, nie mógł zaryzykować zabicia Webstera. Jego plany legły w gruzach; marzenie o wielkiej stawce odpłynęło w niepamięć.

Nie pozostało mu teraz nic innego, jak uciec z okolicy, póki jeszcze mógł. Robiło się zbyt gorąco, a on nie miał zamiaru tu zostawać, do czasu aż jego własny ogon stanie w płomieniach. Musiał namówić Sonię, by uciekła razem z nim i udała się na zachód, aby gdzieś rozpocząć życie od nowa.

— Posłuchaj, Webster — powiedział. — Wyczyściłeś mnie do cna w tego pokera, a po powrocie mam ważny dług do spłacenia. Jakie są szanse, że pożyczysz mi tysiąc dolarów, dopóki nie sprzedamy więcej towarów? Wtedy ci oddam.

Wiedząc, jak zimnokrwisty potrafi być Webster, był zaskoczony, gdy ten odpowiedział.

— Pewnie!

Webster otworzył swój pas z pieniędzmi i odliczył sztuki złota. Złoto pochodziło z napadu, w którym zginęło dwóch przedstawicieli prawa. Oczy Dustina skierowały się na Webstera z czymś w rodzaju mdlącego strachu, ale Webster kontynuował liczenie. Ten człowiek miał umysł jak dobrze naoliwiona maszyna.

— Możesz płacić tymi pieniędzmi, skoro ja mogę — rzucił Webster. — To przecież ty je ukradłeś! Lepiej znajdź gdzieś sobie jakiś żelazny pręt, żeby usztywnić kręgosłup. Robisz się coraz słabszy, a ja nie lubię słabych ludzi.

## Rozdział 16

## Zaczyna rozpętywać się piekło

Opuszczając Boggy Depot w południe, trzej jeźdźcy jechali do zapadnięcia nocy, przenocowali nad strumieniem i jechali przez cały następny dzień, docierając do Woodbine po zmroku. Dustin był nerwowy i milczący, zaś człowiek o nazwisku Ballew, odmiennie - dużo mówił, chociaż dosyć wymijająco.

Dustin stopniowo utwierdził się w przekonaniu, że ten człowiek jest na tropie jakiejś gorącej sprawy, a najgorętszą sprawą, jaka przychodziła mu do głowy, był przestępczy układ, w którym siedział po uszy. Porzucił więc pomysł zabicia oraz obrabowania Webstera, i obecnie jego jedyną nadzieją było spotkać z Faulknerem, aby nie wzbudzić podejrzeń, a następnie wymknąć się do Soni i przekonać ją, żeby z nim wyjechała. Najchętniej jak najszybciej pozostawiłby Woodbine za sobą.

Trzej mężczyźni podjechali do stajni w Woodbine i tam zostawili konie. Ballew spytał o drogę do hotelu i opuścił ich.

— Idź za nim — powiedział Webster do Dustina — i pilnuj, żeby nie zawrócił i nie śledził mnie. Zamierzam ukryć te pieniądze. Nie chcemy przecież żeby nas przyłapał z nimi w kieszeni. Do zobaczenia później.

Dustin ucieszył się, że znalazł się daleko od Webstera, mając własne sprawy do załatwienia. Udał się do magazynu Faulknera, w nadziei, że go tam złapie. Magazyn był jednak zamknięty i ciemny, więc wrócił do hotelu, w którym mieszkał Faulkner, i zapytał o niego w recepcji.

— Jest za miastem w interesach — poinformował go urzędnik. — Wyjechał nagle kilka nocy temu. Nie powiedział, kiedy wróci.

— Nie wiadomo, dokąd pojechał?

— Nikt nie wie takich osobistych rzeczy, na temat Faulknera — uśmiechnął się urzędnik.

Dustin wyszedł z hotelu i zjadł kolację w restauracji, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Nieobecność Faulknera mogła dać mu chwilę wytchnienia, której potrzebował, aby bezpiecznie wydostać się z miasta. Po posiłku poszedł do swojego pokoju w hotelu, założył czyste ubranie i udał się do fryzjera, aby się wykąpać i ogolić, oraz ogólnie doprowadzić się do porządku, przed spotkaniem z Sonią.

Wychodząc z salonu fryzjerskiego, Dustin natknął się na starego księgowego, który pracował dla Faulknera. Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego i chciał z nim porozmawiać.

— Co ci tam chodzi po głowie, Lester? — spytał Dustin, zatrzymując się na chodniku.

Stary Lester, siwy i przygarbiony, rozglądał się niespokojnie po niemal opustoszałej ulicy.

— Lepiej przespaceruj się kawałek ulicą, a ja pójdę za tobą. To ważne.

Dustin ruszył ulicą i wkrótce dotarł do ciemnego miejsca koło dawnej kuźni, gdzie dołączył do niego stary księgowy.

— Co się dzieje? — spytał Dustin. Jego nerwy były mocno napięte przez ostatnie parę dni, a zachowanie starca wywołało w nim przeczucie zbliżających się kłopotów.

— Gdzie byłeś? — zapytał starzec.

Współpracownicy Faulknera przyzwyczajeni byli do traktowania małomównego urzędnika z pogardą, tak więc Dustin odwarknął:

— A co to cię obchodzi?

— Mnie nic — odpowiedział szybko Lester — ale pan Faulkner był bardzo zdenerwowany, że nie pojawiłeś się wcześniej. Potrzebował cię i wysłał człowieka na ranczo. Posłaniec powiedział, że ty, ten nowy człowiek, Webster, oraz cały inwentarz, wszyscy zniknęliście. Faulkner był wściekły.

— No pewnie, że zniknęliśmy — odparł Dustin. — Nie mogliśmy pozwolić, by ta cała zdobycz tak leżała na ranczu. Zabraliśmy wszystko i sprzedaliśmy. Czego chciał Faulkner?

— Może nie słyszałeś. Wiesz kim jest ten Jim Webster?

— Sporo już o nim wiem. To bardzo twardy i sprytny facet.

— Czy wiesz dla kogo on pracuje?

— Jasne, pracuje dla Jima Webstera i nikogo innego. W tej chwili pracuje razem ze mną i Faulknerem, ale mnie nie oszuka. Pracuje dla siebie i tylko dla siebie.

— Nie, nie pracuje tylko dla siebie. Pracuje dla Erica Swansona.

Lester zatrzymał się, pozwalając, by ta ważna informacja dotarła do jego rozmówcy.

Dustin warknął:

— Co? — Po chwili dodał: — Zwariowałeś! To złodziej i oszust, nie ma wątpliwości.

Lester rozkoszował się swoją chwilą ważności i powiedział:

— Tylko tak myślisz! Tak samo myślał i Faulkner. Ale teraz wiemy już coś innego.

— Co wiecie? Nie mów zagadkami. Mów, co ci leży na sercu.

Coś w umyśle Dustina wrzało; poczucie, że świat wokół niego się rozpada, doprowadzało jego nerwy do granic wytrzymałości.

— Wiesz przecież, że Asa Cromwell jest winien Faulknerowi mnóstwo pieniędzy. No cóż, a może o tym nie wiedziałeś. Mało kto o tym wiedział poza nimi dwoma i mną. No dobrze, Cromwell miał pewne informacje, za które jego zdaniem Faulkner dobrze by zapłacił, więc zawarł z Faulknerem umowę. Powiedział Faulknerowi, co wie. I to było straszne - absolutnie straszne.

— Co to było? Opowiadaj dalej.

— Więc tak, wygląda na to, że ten Webster to zawodowy specjalista od rozwiązywania problemów, z Teksasu, po którego posłał Swanson, by dowiedział się, co się stało z jego bydłem i wszystkimi innymi rzeczami,

które zaginęły w naszej okolicy. Webster obmyślił plan działania, polegający na zdobyciu zaufania Faulknera i przyłączeniu się do nas poprzez udowodnienie Faulknerowi, że jest twardszy niż którykolwiek inny z pracujących dla niego ludzi. Raportował Swansonowi o każdy swoim ruch. Swanson ma jego oświadczenie, broń, z której zabito stróżów prawa i wszystko inne. Oświadczenie mówi…

— Wiem, co jest w oświadczeniu — warknął Dustin. — Pokazał mi je. Ale skąd wiesz, że Swanson ma teraz drugą kopię?

— Swanson nie ma jej już. Cromwell miał ją włożyć dla Swansona do skrytki depozytowej w banku, ale zamiast tego włożył do koperty puste papiery i zapieczętował je. Prawdziwe oświadczenie przekazał Faulknerowi, aby anulować swój dług.

Dustin przeanalizował tę wiadomość, a możliwości, jakie ona oferowała, dały mu nową nadzieję. Niebezpieczeństwo, że duplikat oświadczenia wyjdzie na jaw, kiedy Webster umrze, już nie istniało. Webster mógł zostać zabity, a posiadaną przez niego kopię oświadczenia można było zabrać z kieszeni jego zwłok, co zniszczyłoby wszystkie dowody przeciwko niemu i Faulknerowi.

I znów byłby szefem rancza.

Jedynymi dowodami przeciwko niemu i Faulknerowi mogły być karabiny i atrapy pocisków.

— W zeznaniu wspomniano o dwu karabinach i kilku pociskach — powiedział do starca. — Czy wiesz, co się z nimi stało?

— Cromwell powiedział, że Swanson ukrył je w domu pani Halsell. To tam Swanson i Webster spotykali się, żeby wszystko ustalać. Po pierwsze, Faulkner chciał, żebyś odzyskał tę broń. Powiedział mi, że jeśli się pojawisz, to masz ją zdobyć.

— Jak według niego miałbym je zdobyć?

— To już twoja sprawa — odparł Lester. — Robisz słodkie oczy do tej dziewczyny Swansona i odwiedzasz panią Halsell. Powiedział, że masz zdobyć tę broń.

— Do diabła, nie mogę tak po prostu wejść i obrabować czyjegoś domu.

— Powiedział, że lepiej, żebyś zdobył te karabiny i kule; nie obchodziło go, jak to się stanie, ale masz to zrobić.

— Dlaczego to on ich nie zdobędzie? To on je sprzedał i to jego za to powieszą.

— Ma teraz inną sprawę na głowie.

— Co?

— Inną sprawę, za którą obwinia ciebie. Z tego co wiem, Swanson dostał zamówienie od komisarzy z Kansas City na dużą ilość wołowiny. Przygotował transport pięciuset sztuk bydła i zaczął pędzić je do linii kolejowej w McAlester. Faulkner chciał zdobyć o bydło, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby je dla niego zrabować. Musiał sprowadzić innych ludzi i samemu też wziąć się do roboty. Jest wściekły jak szerszeń.

— Komu to zlecił?

— Cloydowi Martinowi i jego ludziom. Kogo innego mógł wziąć do tej roboty. Martin próbował mu odmówić, dlatego że to zbyt niebezpieczne.

Ale Faulkner zmusił go do tego. Ma dużo na niego. Mieli zapędzić krowy na ranczo. Powinni już skończyć tę robotę. Faulkner chce, żebyś tam pojechał, kiedy tylko odzyskasz te karabiny.

— Nigdy nie słyszałem, żeby tak się rozkręcał.

— Musiał. Sytuacja jest tak gorąca, że musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Jest zbyt wiele do zrobienia; trzeba pozbyć się Webstera, odzyskać karabiny i amunicję, odzyskać zapasy - przypuszczam, że to Webster przeprowadził sprzedaż tych zapasów, co?

Dustin powiedział:

— Tak. To był jego pomysł.

— Więc pewnie i on zatrzymał wszystkie pieniądze?

Teraz Dustin zrozumiał, dlaczego Webster namówił go do pozostawienia u niego i ukrycia pieniędzy. Webster wcale nie miał zamiaru przekazywać ich Faulknerowi. W takim razie Dustin wiedział już, gdzie są te pieniądze. Webster używał domu pani Halsell jako kwatery głównej. To właśnie tam zabrał pieniądze na przechowanie.

Teraz Dustin pozbył się starego księgowego.

— W porządku — oznajmił. — Zabieram się do roboty. Jeśli Faulkner wróci i będzie mnie szukał, powiedz mu, że wszystko załatwię. Zdobędę broń i prawdopodobnie będę miał też okazję zająć się Websterem. Do zobaczenia później.

Dustin zostawił starego księgowego i ruszył z powrotem w kierunku miasta, mając zamęt w głowie. Znalazł się teraz na rozdrożu i musiał dokonać szybkiego wyboru.

Mógł wykonywać rozkazy Faulknera i być może uda im się uładzić wszystkie sprawy, odzyskać obciążającą ich broń oraz naboje, odzyskać pieniądze i podzielić je między siebie, a następnie wrócić do miejsca, w którym byli, kiedy w okolicy pojawił się Webster.

Mógł też udać się do pani Halsell, zdobyć pieniądze i zatrzymać je dla siebie. Kosztowałoby go to dziewczynę, ale to była szansa, jakiej szukał. Mógł wyjechać z okolicy z tymi wszystkimi pieniędzmi i zostawić Faulknera na miejscu, aby stawił czoła konsekwencjom.

Zatrzymał się w saloonie i szybko wypił cztery mocne drinki. Następnie zapiął mocnej pas i poszedł w stronę domu pani Halsell.

* * * *

Kiedy Dustin zostawił Webstera w stajni, po ich przybyciu do Woodbine, ten ostatni zdjął dwie torby przytroczone do swojego siodła i ruszył pieszo. Zniknął w kępie zarośli na pustej działce i czekał na tyle długo, aby upewnić się, że nikt go nie śledzi. Następnie wyłonił się z krzaków, przeszedł w ciemnościach nocy do domu pani Halsell i zapukał do drzwi.

Kiedy go wpuściła, zobaczył wyraz zaskoczenia na jej twarzy, a kiedy wyraz ten ustąpił, gdy szybko zamknęła za nim drzwi i zaprowadziła go do salonu, został on zastąpiony przez zmartwienie. Wyczuł kłopoty, ponieważ pani Halsell była kobietą o pogodnym usposobieniu.

Rzucił torby na stojący na środku pokoju stół i położył obok nich kapelusz. Usiadła, a potem wskazała mu krzesło, czekając, aż się odezwie.

— Pani Halsell — oznajmił Jim. — Likwidowałem łupy złodziei. Część bydła należała do pana Swansona, a ja mam listę wszystkich znaków i liczbę sztuk bydła z każdym oznakowaniem, które tam znalazłem. Jeśli chodzi o towary, też jest odpowiednia lista, ale nie ma sposobu, aby zidentyfikować ich właścicieli. Mamy również podpisy ludzi, którzy kupowali kradziony towar, znajdujące się bezpośrednio na rachunkach za same towary.

— Pieniądze za zapasy i towary są w tych torbach. Chciałbym przekazać je panu Swansonowi na przechowanie. Przypuszczam, że następnym krokiem będzie zebranie ludzi. Poprosiłem pana Swansona, by załatwił mi kilku ludzi, na czas kiedy będę ich potrzebował, a teraz właśnie jest taka potrzeba.

Pani Halsell zapytała:

— Nie widział pan się z nikim, Dickiem ani Ericem?

— Nie. Dopiero co przyjechałam. — Wyczuł jej poruszenie. — Coś się stało?

— Bardzo dużo — uśmiechnęła się smutno. — Wysłał pan Dicka, aby Eric dowiedział się czegoś o pańskim zeznaniu.

— Tak.

— Nie będzie pan zadowolony z tego, czego dowiedział się Eric, ani z rezultatu tego, że pan to zrobił.

— Co się stało?

— Eric poszedł do Cromwella i zasugerował zwrot oświadczenia, tak jak pan proponował. Cromwell wykręcał się i kluczył, aż Eric zrobił się podejrzliwy i zażądał tego wprost. Cromwell zaczął wymyślać kolejne wymówki, więc Eric złapał go za kołnierz, zaciągnął do banku i zmusił do pokazania koperty.

— Panie Webster, w kopercie, którą Asa Cromwell zdeponował w banku, były tylko puste papiery. Eric nigdy w życiu nie był tak zaskoczony, jak wtedy, kiedy dowiedział się, że pan Cromwell jest oszustem.

— Co więc zrobił?

— Zaprowadził pana Cromwella z powrotem do jego własnego biura, zamknął drzwi na klucz i bił Cromwella tak długo, aż stary prawnik rozpłakał się jak dziecko i opowiedział całą historię. Był bardzo zadłużony u Faulknera, a Faulkner zmuszał go do wykonywania dla niego wielu przestępczych działań prawnych - cokolwiek to było - i chciał wyrwać się ze szponów Faulknera. Wiedział, że jego pozycja względem Faulknera jest zła, użył więc tego papieru, aby uregulować swój dług. Dał go Faulknerowi.

Webster zastanowił się nad tym.

— To wszystko wyjaśnia — stwierdził niejasno.

— Co wyjaśnia?

— Faulkner próbował doprowadzić do mojej śmierci. Zastanawiałem się, jak mógłby to zrobić, jeśli by nie wiedział, że moje zeznanie nie wyjdzie na jaw. Cieszę się, że wysłałem Dicka, żeby to sprawdził. Gdzie on teraz jest?

— Jest z Ericem.

— A gdzie oni są?

— Lepiej nich mi pan pozwoli powiedzieć, co jeszcze się wydarzyło. Eric musiał przewieźć trochę bydła do Kansas City, aby wypełnić kontrakt, i zaryzykował, pędząc je do stacji kolejowej w McAlester. To, i zdobycie wiadomości o zdradzie Cromwella, miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie. Właśnie bydło wyruszyło pod kierownictwem jego zarządcy, kiedy odkrył sprawę Cromwella. Zdał sobie sprawę, że Faulkner odzyskał przewagę i zaczął się martwić.

— Rozpytał się trochę i dowiedział się, że Faulkner nagle opuścił miasto. Dowiedziawszy się od Dicka, że pan i Emory zabraliście ludzi z ich kryjówki, podejrzewał, że Faulkner również o tym się dowiedział i zbiera kolejną bandę, żeby go zaatakować. Zawsze podejrzewał, że niejaki Cloyd Martin, który prowadzi ranczo nad rzeką, nie jest uczciwym człowiekiem. Trzyma zbyt wielu ludzi, wyglądających na twardych, jak na wielkość swojego stada. Pojechał więc do niego w odwiedziny, a Cloyda Martina również nie było w domu. Martin i wszyscy jego ludzie zniknęli.

— Do tego czasu Eric był już przekonany, że Faulkner wziął Martina oraz jego ludzi i wyruszył, by odebrać siłą stado jego bydła. Eric zebrał więc wszystkich ludzi, którym mógł zaufać, i teraz próbuje dowiedzieć się, co się stało z jego stadem. Dick jest razem z nim.

Webster obracał to w myślach, wizualizując sobie tragiczne możliwości tej sytuacji.

— Ilu ludzi ma ze sobą Swanson? — spytał.

— Mówił, że ma około sześciu chętnych. Nie licząc siebie i Dicka, oczywiście.

„Nie mają większych szans” — pomyślał Webster, ale nie powiedział tego głośno kobiecie.

— Pojadę z nimi i pomogę im — powiedział. — Miałem zamiar zostawić te pieniądze tutaj, ale jeśli Faulkner wie o wszystkim, to lepiej zabiorę je gdzie indziej. I tę broń. Może próbować dostać ją w swoje ręce.

— Eric schował broń w bezpiecznym miejscu, kiedy tylko zobaczył, że pozostawienie jej tutaj może być dla mnie niebezpieczne.

Webster zastanawiał się, gdzie mógłby zostawić pieniądze, kiedy oboje usłyszeli trzask frontowej bramy i kroki na kamiennym chodniku.

Pani Halsell okazała zaniepokojenie, pośpiesznie rozglądając się po pokoju.

— Proszę wejść tutaj — powiedziała, kierując się w stronę drzwi do kuchni.

Webster wziął swój kapelusz i sakwy, wszedł do ciemnej kuchni i zamknął za sobą drzwi. Kiedy znalazł krzesło i usiadł, usłyszał panią Halsell idącą do drzwi frontowych, a potem inne głosy. Rozpoznał głos Emory'ego Dustina, który rozmawiał z panią Halsell, a potem głos Soni Swanson.

— Spotkałam Emory'ego w drodze ze sklepu Millera — wyjaśniła Sonia. — Przyszedł ze mną. Powiedział, że ma z tobą o czymś ważnym do pomówienia.

— O co chodzi, Emory? — spytała pani Halsell.

— To dosyć żenująca sprawa — oznajmił Dustin. — Ale nie wiem, jak to powiedzieć inaczej, niż bezpośrednio relacjonując fakty. Faulkner prowadzi punkt handlowy na Terytorium, zajmując się handlem towarami i bydłem. Byłem zainteresowany wejściem z nim w spółkę. Wygląda na to, że ten człowiek, Webster, który wywołał tyle emocji, odkąd pojawił się w tych stronach, zdołał jakoś zdobyć zaufanie Faulknera i pomagał mu w zarządzaniu tym interesem. Jak już kiedyś mówiłem Soni, czułem, że ten człowiek jest nieuczciwy. Oto, co zrobił, i tym razem jestem w stanie z całą pewnością powiedzieć, że to jego sprawka. Udało mu się sprytnie ukraść wszystkie krowy i wszystkie towary, jaki tam mieliśmy. Wyczyścił nas do zera, pozostaliśmy zupełnie goli.

— Jego plan był fantastyczny. Nie uwierzyłybyście panie, gdyby to się nie wydarzyło. Podawał się za jakiegoś stróża prawa ścigającego bandę złodziei i jak rozumiem wielu ludzi w to uwierzyło. Posunął się nawet do spreparowania szeregu fałszywych dowodów przeciwko paru szanowanym obywatelom. Przez pewien czas zwodził nawet Asę Cromwella, bardzo bystrego prawnika. Ale Cromwell nabrał podejrzeń i sprawdził go w południowym Teksasie. Ten człowiek jest niezwykły. Wydaje się rozkoszować oszukiwaniem całych społeczności.

— W każdym razie sprzedał wszystkie nasze towary i żywy inwentarz i wrócił tu z pieniędzmi. Rozumiem, że udało mu się zamydlić oczy Ericowi i pani. Słyszałem, że zrobił się nawet tak zuchwały, iż używał pani domu jako swojej kwatery głównej.

— Kto ci to powiedział? — spytała pani Halsell.

— Pośrednio wiem to od samego Asy Cromwella.

— Pośrednio od tego człowieka — powtórzyła pani Halsell. — Czy to ma sens, Emory? Dowiedziałeś się tego pośrednio, czy od niego samego?

— No cóż, dowiedziałem się tego od człowieka, który słyszał, jak Asa wyjaśniał co się stało.

— Kto to był?

— Przepraszam, pani Halsell, ale nie mogę powiedzieć.

— Więc, w jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

— Chciałem prosić panią o współpracę w schwytaniu Jima Webstera. Po pierwsze, chciałbym odebrać te fałszywe dowody, broń i tak dalej. Następnie jestem pewien, że musiał zostawić u pani pieniądze na przechowanie. Wiem oczywiście, że nie chciałaby pani pomagać oszustowi w okradaniu swoich przyjaciół.

— Nie — odpowiedziała powoli pani Halsell. — Z pewnością nie chciałabym pomagać oszustowi w okradaniu moich przyjaciół. Co mam zrobić?

— Prosiłbym, żeby oddała mi pani tę broń, żebym mógł ją zniszczyć, i prosiłbym, żeby oddała mi pani pieniądze, które dał pani na przechowanie.

— Nie mam tutaj tej broni — odparła pani Halsell.

— No cóż, to jest mniej ważne — powiedział Dustin. — Ale pieniądze tak; część z nich jest moja, reszta należy do Faulknera. Jestem pewien, że nie będzie pani chciała ukrywać skradzionych pieniędzy przed ich prawowitymi właścicielami.

— Oczywiście, że nie, Emory. Ale nie mam tych skradzionych pieniędzy.

— Chce pani powiedzieć, że Webster nie zostawił u pani żadnych pieniędzy?

— Tak. Dokładnie to chciałam powiedzieć. Wątpisz w moje słowa?

Emory Dustin milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się swoim najlepszym uśmiechem.

— Z niechęcią poddaję w wątpliwość słowa damy — stwierdził — ale uważam, że Webster omamił panią tak zupełnie, że próbuje pani być lojalna wobec niego i nie chce zawieść jego zaufania. Więc, bez urazy, nie wierzę pani.

— W takim razie — odparła chłodno pani Halsell. — Proszę wyjść.

— Nie mogę odejść bez tych pieniędzy, pani Halsell. — Głos Dustina był nieco wyższy, bardziej ostry. — Wiem, że Webster przyniósł je tutaj i wiem, że nie chodziłby, mając je przy sobie.

— Emory, zasugerowałam, żebyś sobie stąd podszedł. Powiedziałeś już wystarczająco dużo.

— Przykro mi, ale nie odejdę bez tych pieniędzy.

— A jak masz zamiar je zdobyć?

— Zdobędę je, nawet jeśli będę musiał rozwalić ten dom na kawałki.

Dziewczyna milczała przez cały czas, pod wrażeniem tego, co usłyszała. Teraz jednak zawołała:

— Emory, czyś ty kompletnie postradał zmysły?

— Straciłem ponad dwadzieścia tysięcy dolarów — oznajmił ostro Dustin. — Te pieniądze są w tym domu i zamierzam je odzyskać.

— Zastanawiam się, czy spróbowałbyś tego, gdyby był tu jakiś mężczyzna — powiedziała spokojnie pani Halsell.

— Zdobyłabym te pieniądze, nawet gdyby był tu cały pułk.

— A gdyby był tu Webster?

— Chciałabym, żeby tu był, ten śmierdzący złodziej!

Pani Halsell lekko odwróciła głowę.

— Panie Webster — zawołała. — Jest tu pewien człowiek, który chce się z panem zobaczyć!

Webster wyszedł z ciemnej kuchni i zamknął za sobą drzwi, opierając się o nie.

— No dobrze, Dustin — powiedział cicho. — Dosyć już tego. Dałem ci pieniądze na wyjazd stąd. Powinieneś był to zrobić. A teraz ręce do góry.

Oczy Dustina rozszerzyły się. Na jego policzkach pojawiły się dwie różowe plamy, a potem twarz przestępcy zmieniła się w żywą maskę frustracji i nienawiści. Rozejrzał się dookoła, jakby szukając drogi ucieczki, ale żadnej nie było. Potem odwrócił się w stronę Webstera i w gorączkowym pośpiechu wyszarpnął broń z kabury.

Webster strzelił mu prosto w serce, a on runął jak długi na biały, ręcznie tkany dywan.

Sonia Swanson krzyknęła, opadła na fotel ojca i skryła twarz w dłoniach, a jej ramionami wstrząsnął szloch.

Pani Halsell stała przy stole na środku pokoju, a światło lampy oświetlało jej twarz: twarz uprzejmej kobiety, która próbowała zwalczyć

naturalne współczucie dla człowieka, o którym wiedziała, że jest kompletnie zły. Przez tę krótką chwilę przed śmiercią cała natura Dustina widoczna była na jego twarzy.

Webster odezwał się szybko.

— Zabiorę panią i Sonię, dokąd tylko zechcecie — zaproponował.

— Najlepiej chodźmy do doktora Bensona. On może zająć się Emorym.

Webster przeszedł przez pokój i stanął nad dziewczyną. Położył jej dłoń na ramieniu.

— Bardzo mi przykro — powiedział.

Dziewczyna pozbierała się i popatrzyła na niego.

— To nie tak, jak myślisz — odparła. — Wcale nie miałam zamiaru poślubić Emory'ego. Na początku myślałam, że jest miłym człowiekiem, ale stopniowo przekonałam się, że on myśli tylko o sobie.

— Nie wiedziałem tego i nie sądzę, aby ktokolwiek inny wiedział. Wciąż się z nim spotykałaś.

— Dopóki nie zmusiłam taty, żeby mi powiedział, co o nim wie. Nie chciał tego zrobić, ale domyślałam się, że dzieje się coś strasznego i zmusiłam go do tego. Dlaczego nikt nie powiedział mi tego wcześniej? Coro, dlaczego nie powiedziałaś mi, kim był ten człowiek? Dlaczego tata mi nie powiedział? Dlaczego Dick mi nie powiedział? Kim ja jestem? Czy dla nikogo z was nic nie znaczę?

Pani Halsell podbiegła do niej przez cały pokój, próbując ją uspokoić.

— Nie mówiliśmy ci, bo myśleliśmy, że jesteś dostatecznie dorosła, żeby wiedzieć, co sama myślisz — wyjaśniła.

Webster wtrącił:

— Pani Halsell, dziś wieczorem już raz nazwano panią kłamczuchą. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu. Teraz będę musiał zrobić to ponownie.

A następnie zwrócił się do dziewczyny.

— Soniu, stary Jim Webster jak zwykle wtrąca się w sprawy innych ludzi. Wtrącałem się już wcześniej w twoje, więc kolejny raz nie zaszkodzi. Sądzę, że powód dla którego byłaś dalej z Dustinem, nawet po tym, jak go przejrzałaś, był następujący; mam przeczucie, że o wiele więcej myślisz o Dicku, niż dajesz po sobie poznać, i w powietrzu wisi pewien stary pomysł, że dobrym sposobem na skłonienie mężczyzny do oświadczyn jest sprawienie, żeby myślał on, iż traci cię dla innego mężczyzny. Czy słyszałaś o czymś podobnym?

Po słowach Webstera dziewczyna uniosła twarz z dłoni i zrobiła się pąsowa aż po uszy. Wyglądała, jakby przyłapał ją na oszukiwaniu przy grze w karty.

— A — kontynuował Webster — ci ludzie bardzo cię kochają. Dick cię kocha i wszyscy o tym wiedzą. Lecz Dick kocha cię tak bardzo, że uznał, iż jeśli Dustin miałby cię uszczęśliwić, to on chce, żebyś została jego żoną. Bardziej myślał o twoim szczęściu niż o swoim, a to jest ten rodzaj miłości, który nie rośnie na każdym krzewie krwawiącego serca. Zaś pani Halsell należy do osób, które nie są w stanie zrobić żadnej złej rzeczy tylko po to, aby odciągnąć cię od mężczyzny, o którym myślała, że go

kochasz, i pchnąć cię w stronę Dicka, chociaż bez przerwy myślała o was obojgu. Tak to działa, moja panno, i powinnaś być dumna z takich ludzi.

Dziewczyna popatrzyła na niego poważnie, po czym wyprostowała ramiona.

— Nie wiem, kim jesteś, Jimie Webster. Nie widywałam cię zbyt często i nie mam pojęcia, jak mogłeś tak wiele się dowiedzieć. Ale i tak, wielkie dzięki.

Wstała i po tym ruchu widać było, że wróciła jej energia i sprężystość.

— Jesteś gotowa do wyjścia, Coro?

## Rozdział 17

## Huk broni w górskiej dolinie

J.B. Faulkner był człowiekiem, którym zawsze rządziła mściwość. Dla niego życie było walką człowieka z człowiekiem, a wygrywał ten, kto był najmądrzejszy i najbardziej bezwzględny.

Miał głęboko zakorzenione poczucie własnej niższości z powodu słabej postury i kiepskich umiejętności, i całe swoje życie spędził rekompensując to sobie nienasyconą żądzą władzy i pieniędzy. Pieniądze oznaczały dla niego władzę, a dzięki władzy mógł kontrolować innych ludzi, mógł patrzeć na nich z obojętnością, a tym samym w pewnym sensie mógł pogrzebać własne poczucie tego, że jest od nich kimś gorszym.

Był inteligentnym człowiekiem, więc dostrzegał swoje słabości i gardził nimi. Lecz ta pogarda dla siebie samego była zbyt wielka, aby człowiek był w stanie ją znieść, więc nieświadomie rzutował ją na zewnątrz, gdzie wyrażała się przez zazdrość, do której się nie przyznawał, oraz nienawiść, do której dla odmiany przyznawał się w pełni. Nienawidził takich ludzi jak Swanson, którzy wydawali się czerpać z życia radość. Nienawidził wszystkich, którzy zdawali się posiadać zdrowe poczucie moralnych wartości, i wyładowywał na nich swój gniew za to, że byli tacy, jakim on nigdy nie potrafił się stać. Aby skrywać wiedzę o własnej niższości, rozwinął w sobie poczucie tak aroganckiej dumy, że z prawdziwym jadem przyjmował każdą myśl, iż ktokolwiek mógłby go pokonać.

Kiedy więc dowiedział się, że Webster i Swanson współpracują aby go zniszczyć, jego wściekłość była tak ogromna, że doprowadziła go wręcz do fizycznej dolegliwości. Po raz pierwszy odrzucił swoją stałą zasadę zmuszania innych do wyciągania za niego kasztanów z ognia. Zamiast tego zmuszony został aby samemu wychynąć z jamy i spuścić swój gniew na głowy tych, którzy w taki sposób niemalże go zniszczyli.

Nie miał większych trudności z pozyskaniem Cloyda Martina i jego ludzi. Ponieważ regularnie kupował od nich kradzione towary, łatwo było mu zmusić ich do pomocy, po części szantażem, a po części obietnicami.

Następnie, zdając sobie sprawę, że Webster, Dustin i wszyscy jego ludzie mogą sprzedać należące do niego zapasy i kontynuować bandycką działalność, wpadł na nowy pomysł.

— A może ty poprowadzisz to ranczo w górach? — spytał Martina. — Mógłbyś zrobić tam o wiele więcej, dla siebie i swoich chłopców.

— A co z Dustinem i z tym nowym człowiekiem?

— Są do niczego. Obaj są złodziejami. Okradliby mnie równie szybko, jak każdego innego.

— To źle, nienawidzę oszustów — odparł Martin, ciesząc się perspektywą przejęcia pracy Dustina. — Może się dogadamy.

— Jeśli wrócą, prawdopodobnie będą chcieli walczyć — ostrzegł go ostrożnie Faulkner. — Być może będziesz musiał wystrzelać sobie drogę do tej roboty.

— Nie martw się o mnie. Potrafię złapać to, co wpada mi w ręce.

Tak więc porozumieli się. Przejechali przez góry i rankiem drugiego dnia, tuż przed świtem, znaleźli stado Swansona obozujące na płaskiej prerii, nad potokiem. Zjechali ze wzgórza i przepędzili prawowitych kowbojów, nie oddając nawet pół tuzina strzałów.

Teraz stado zostało już zapędzone do opuszczonego rancza w dolinie, a Faulkner siedział w pustym magazynie i patrzył, jak ludzie Martina piją pozostawioną tam whisky.

— Co teraz zrobimy? — dopytywał się Martin. — Kiedy wyjedziemy stąd i sprzedamy to bydło? Może powinniśmy zapędzić je do któregoś z twoich klientów?

— Poczekamy tutaj. Najpierw musimy załatwić parę spraw.

— Jakich spraw?

— Przede wszystkim sprawę nauczki dla moich poprzednich ludzi; przekonania ich, że popełnili błąd wywożąc stąd i sprzedając mój towar.

— Najprawdopodobniej więcej już się tu nie pojawią.

— O nie, przyjadą tutaj. Zabrali przybory kuchenne, ale zostawili tu spory zapas jedzenia. To oznacza, że mieli zamiar wrócić.

— Co zrobimy, kiedy się pojawią?

— Pozbędziemy się ich. Chciałeś przejąć ten interes ze swoimi ludźmi, prawda?

Martin przetrawił tę wiadomość.

— Dla mnie to zabrzmiało dość zimnokrwisto.

— To prawda. Nie da się inaczej prowadzić takiego interesu. Jeśli zamierzasz się tym zająć, musisz mi pokazać, że potrafisz to zrobić po mojemu. Czy to ci odpowiada?

— Tak, jeśli tak każesz. Ta idea spadła mi na głowę trochę niespodziewanie, że tak powiem.

— I to będzie sposób, w jaki na nich uderzymy, kiedy się pojawią. Niespodziewanie, że tak powiem.

— Masz jakieś pojęcie, kiedy mogą się pojawić?

— W przybliżeniu. Myślę, że zabrali towar i sprzedali go moim stałym klientom. Zakładając, że tak się stało i jeśli wezmą sobie paru dni wolnego, aby roztrwonić pieniądze na alkohol i kobiety, powinni pojawić się tutaj jutro lub pojutrze. Będziemy na nich czekać.

— Mogą zakraść się potajemnie.

— Umieść jednego z ludzi na szlaku, jakieś ćwierć mili stąd. Zmieniaj wartownika co cztery godziny.

* * * *

Jim Webster opuścił Woodbine natychmiast po odprowadzeniu pani Halsell i Soni do lekarza i ponownie ruszył szlakiem przez rzekę i góry.

Dopiero następnego dnia, natknął się na Swansona i Dicka Hammonda oraz należących do nich ludzi.

Ze Swansonem było w tej chwili piętnastu ludzi. Ranczer ruszył śladem swoich wracających do domu kowbojów i znalazł ich z jednym rannym. Był to jedyny człowiek, który ucierpiał podczas napadu na stado. Potwierdziwszy swoje podejrzenia, że skradzione stado zostało skierowane z powrotem na ranczo w górach, Swanson był już w drodze do ukrytej doliny, gdy spotkał Webstera.

On i Webster odbyli rozmowę, w której Webster zrelacjonował swoje własne działania. Przyglądał się Dickowi Hammondowi, gdy relacjonował ostatnie poczynania Dustina, lecz Hammond zachował nieprzeniknioną twarz, nie zdradzając niczego ze swoich uczuć.

Następnie Webster, Hammond i Swanson usiedli nieco dalej od reszty ludzi, i Webster nakreślił Swansonowi swój plan działania, przekonany, że jeśli Swanson pójdzie do doliny, tak jak to zamyślał, wpadnie w pułapkę.

W wyniku tej rozmowy grupa udała się w góry i rozbiła obóz na sucho, w starej chacie, w której ukrywał się Hammond. Webster opuścił ich i nie było go przez resztę nocy i część dnia.

Wieczorem następnego dnia, jeden z ludzi, którzy stali na posterunku przy drodze, wrócił do chaty aby zameldować o odgłosie zbliżających się koni.

Webster dosiadł konia, wyjechał na drogę i ruszył na spotkanie zbliżających się jeźdźców. Na ich czele jechali Merle Tate i Ike Flint i to właśnie do nich przemówił Webster.

— Chłopcy, czy jesteście na tyle trzeźwi, żeby trochę powalczyć? — zapytał.

— Tak — burknął Flint. — Temu sklepikarzowi skończył się alkohol, zanim my skończyliśmy zabawę. Czemu pytasz?

— Będziecie musieli spalić trochę prochu, jeśli chcecie dzisiaj spać we własnych pryczach.

— Jak to? — spytał Tate.

— Wygląda na to, że od naszego wyjazdu miała miejsce mała reorganizacja. Nasz braciszek Faulkner zdecydował, że lepiej poradzi sobie bez nas i sprowadził na ranczo nowych ludzi z rozkazem wystrzelania nas, jeśli spróbujemy wrócić do domu. Mnie osobiście nie podoba się wywalenie z roboty w taki sposób.

— Kto tam jest?

— Gość o nazwisku Cloyd Martin i jego banda. Są gotowi zmieść nas z powierzchni ziemi, jeśli spróbujemy wrócić do domu.

— Co oni tam robią?

— Sprowadzili na ranczo duże stado bydła. Musieli je komuś zabrać, kiedy nas nie było. To dużo bydła, by pozwolić im na zdobycie go bez walki. Powinniśmy pojechać tam i dać popalić tym chłopcom, a bydło zabrać dla siebie.

— To najrozsądniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem — zauważył z zapałem Flint. — Nie lubię też, kiedy ktoś wtrąca się do mojej roboty.

— Tak właśnie myślałem — odparł Webster. — I od tej chwili, nie sądzę byśmy potrzebowali Faulknera bardziej niż jemu się wydaje, że potrzebuje nas.

— Też tak myślałem już od dłuższego czasu — stwierdził Tate. Odwrócił się do chłopców, którzy podprowadzili konie bliżej. — A co z resztą z was? Podkulicie ogony pod siebie i zawrócicie?

— Ja nie zawrócę — oznajmił jeden z nich. — Przyzwyczaiłem się do tego miejsca. To mój cały dom.

Inny z ludzi rzucił:

— Faulkner nie ma prawa odbierać człowiekowi środków do życia. To nie w porządku.

Reszta się z nim zgodziła.

— Więc jedźcie, chłopcy, i zróbcie z tym porządek. Ja ruszę ścieżką od tyłu i nie pozwolę żadnemu z nich na ucieczkę tylnym wyjściem.

Kiedy ludzie ruszyli, Webster wrócił do swojej grupy w ukrytej chacie i poinformował o odniesionym sukcesie.

— Damy im trochę czasu, żebyśmy ich nie wyprzedzili — powiedział. — Potem pojedziemy za nimi i zobaczymy, co się wydarzy.

* * * *

Cloydowi Martinowi nie podobała się niepewność oczekiwania. Faulkner nalegał, aby pozostali na miejscu, i do dziś spędzili już tutaj dwa niespokojne dni i dwie noce, w narastającym wraz z upływem czasu napięciu.

Nic nie wiedzieli; nie mieli pojęcia, czy stara ekipa wróci, czy nie, ani czy będą w stanie zastawić na nich pułapkę, jeśli ci się tutaj pojawią. Ludzie zrobili się nerwowi, za dużo pili i kłócili się między sobą. Martin krążył niespokojnie między składem a zagrodami, wyglądając także na drogę, gdzie mógł rzucić okiem wzdłuż niej, lecz nie widział niczego poza pochłaniającymi w oddali szlak drzewami.

Faulkner trzymał się bardziej na uboczu, jego zraniona duma podsycała ogień nienawiści do Dustina, Webstera oraz reszty świata. Od czasu do czasu wydawał rozkazy swoim zdecydowanym głosem, a złośliwość widoczna w jego oczach sprawiała, że ludzie robili się jeszcze bardziej nerwowi.

Jasna sytuacja, w której wiedziało się jakie są szanse i można było albo ukształtować je na swoją korzyść, albo zrezygnować z walki, to jedno. Ale takie bezczynne siedzenie i oczekiwanie na pojawienie się grupy ludzi, którą trzeba będzie wystrzelać - albo samemu zarobi się kulę - to coś zupełnie innego. Ludziom się to nie podobało. Martinowi też się to nie podobało i miał trudności z utrzymaniem ich w ryzach.

Była już noc, a Faulkner zwołał ich wszystkich z różnych chat między drzewami i zebrał ich w dużym magazynie.

— Według moich kalkulacji, przyjadą dziś wieczorem — oznajmił Martinowi, kiedy usiedli przy jednym ze stołów w magazynie. — Gdy tylko strażnik usłyszy, że nadjeżdżają i da nam znać, schowamy między drzewami i poczekamy, aż pojawi się cała gromada. Otworzymy bramę

przybudówki, a oni zaczną wjeżdżać. Niech kilku twoich ludzi wyjdzie i schowa się za szopą tartaku. Kiedy tamci wjadą w przejście w przybudówce, odetniemy im drogę od przodu i od tyłu. Nie chcę, żeby choć jeden z nich uciekł.

Martin pokręcił głową.

— To jak strzelanie do kaczek.

— Nie, to po prostu praktyczna metoda załatwienia tej sprawy. Po co robić coś na pół gwizdka, skoro można to zrobić we właściwy, łatwiejszy sposób?

W drzwiach prowadzących ze szlaku pojawił się jakiś człowiek i rozejrzał się. Za nim wszedł kolejny. Pierwszym z nich był Merle Tate, a drugim Ike Flint.

Flint rzucił tylko:

— Dobry, Faulkner — po czym błyskawicznie wyszarpnął broń i wystrzelił.

Faulkner spadł na bok z krzesła, kiedy kula uderzyła w ścianę za nim. Zobaczył, że Tate również uniósł broń, a między Tate'em a Flintem przez drzwi wpadało coraz więcej ludzi ze starej ekipy. Ktoś, mógł to być Martin, zrzucił wiszącą lampę naftową, pogrążając całe pomieszczenie w ciemności.

Potem zaś pomieszczenie zamieniło się w tumult odgłosów szurających stóp, krzyków ludzi i ogłuszających eksplozji pocisków w zamkniętej przestrzeni. W powietrzu unosił się ostry dym, a tu i ówdzie, niczym gigantyczne, śmiercionośne świetliki, w ciemnościach rozkwitały płomienie wystrzałów rewolwerowych.

Faulkner wyciągnął broń i strzelił w stronę drzwi na zewnątrz; w odpowiedzi z tamtego kierunku nadeszła salwa świeżego ognia, a zza okna kolejna, której towarzyszyły tańczące ognie wystrzałów i brzęk tłukących się szyb.

Usłyszał postępujące do przodu kroki napastników, którzy rozproszyli się i zbliżali do ludzi Martina, prowadząc nieustanną kanonadę w ich kierunku. Odczołgał się od stołu, który przewrócił, i pociągnął go za sobą w stronę ściany, gdzie zostawił go z tyłu jako coś w rodzaju przedpiersia, kryjąc się tak nisko, jak tylko mógł. Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl - w tym całym szalonym zamieszaniu - że ludzie, aby przeżyć trochę dłużej, robią czasami niesamowicie głupie rzeczy. Takie, jak nadzieja, że blat stołu zatrzyma kulę.

Faulkner zaczął czołgać się wzdłuż ściany i na rękach i kolanach dotarł w końcu do baru w rogu. Przechodząc za niego, znalazł drzwi prowadzące do pomieszczenia z towarami i wyciągnął do góry rękę, żeby je otworzyć.

Bał się uklęknąć i sięgnąć do klamki, gdy wokół rozlegały się trzaski łamanych krzeseł oraz stołów, krzyki, strzały i świst kul. Przykucnął w tym miejscu na dłuższą chwilę i zdał sobie sprawę, że pomimo wszystkiego, co zrobił, aby przekonać samego siebie, że niczego się nie boi, gdzieś w jego wnętrzu tkwił głęboko zakorzeniony strach, który teraz wypływał na powierzchnię. Był to rodzaj bezradnego przerażenia, nowe doświadczenie dla niego.

Słyszał uderzenia kul w ludzkie ciała, słyszał, jak ludzie chrząkają i wydają ostatnie przedśmiertne okrzyki. Ogarnęła go panika. W ciemności jakiś człowiek dotarł do baru i próbował ukryć się za jego skąpą osłoną. Wpadł na Faulknera. Faulkner zaklął i uderzył go w głowę swoim rewolwerem, po czym odepchnął go, by mieć więcej miejsca dla siebie.

Teraz, już w kompletnej panice, podniósł się na nogi i znalazł klamkę drzwi. Wpadł przez nie do pustego pomieszczenia handlowego, gdzie oparł się o ścianę i próbował odzyskać przytomność umysłu.

Pomyślał o człowieku, który stał na straży, człowieku, który powinien ostrzec ich o zbliżaniu się starej grupy. Musiał zostać zaskoczony. Co oznaczało, że w czasie gdy zastawiał pułapkę na swoich dawnych ludzi, oni wiedzieli, czego się spodziewać, i przybyli przygotowani, aby, zamiast zginąć sami, zlikwidować intruzów.

Tak więc, jego plany musiały mieć luki; ku swojemu kłopotowi udało mu się nastawić połowę swoich ludzi przeciwko drugiej połowie. Teraz wyniszczali się nawzajem i bez względu na to, która grupa wygra, pod jego rozkazami pozostanie bardzo niewielu ludzi.

To była katastrofa, to była jakaś brudna sztuczka, której Dustin lub Webster użyli przeciwko niemu, kiedy zwrócili się przeciwko niemu ze starymi ludźmi. Tak swobodnie rozmawiał z Martinem o wyrżnięciu starej ekipy, i tylko powierzchownie zdawał sobie sprawę z tego, co znaczy ten pomysł. Teraz, w środku dzikiej rzezi zwróconej przeciwko niemu samemu, był wstrząśnięty do szpiku kości. Słyszał, jak ludzie krzyczą i umierają, a on sam nie do końca był poza tym wszystkim. On, człowiek, który nigdy w życiu się nie denerwował, teraz był spocony z nerwów, a jego mięśnie były takie napięte, że odczuwał wręcz fizyczny ból w płucach i skurcze nóg. J.B. Faulkner próbował obecnie tego, po co wcześniej wysyłał innych ludzi. Myślał tylko o tym, że nie zdoła tego znieść, że musi uciekać.

Wiedział, że jego przywództwo w tym miejscu, zostało unicestwione; zwrócił swych ludzi przeciwko sobie, a sam uciekł przed walką. Nikt już nie przyjmie od niego rozkazów.

Cóż, przygotował się na tę chwilę, choć nie spodziewał się, że nadejdzie ona już teraz. Jedyne, co musiał zrobić, to wrócić do Woodbine, zabrać swą fortunę w obligacjach rządowych, małą paczkę, i przenieść się na nowy i bezpieczny teren.

Ruszył, aby wydostać się z budynku, kierując się odgłosami walki w sąsiednim pomieszczeniu. Słuchał kroków i głosów ludzi na zewnątrz, którzy otaczali budynek, słuchając jednocześnie ludzi w środku.

Podszedł wzdłuż ściany do bocznego okna i pod osłoną odgłosów walki, rozbił szybę lufą swojego rewolweru.

Wysunął głowę na zewnątrz, po czym szybko ją schował.

Zbliżali się kolejni jeźdźcy. Kim oni mogą być?

Poczekał, aż okrążą front budynku i zsiądą z koni. Wtedy wyczołgał się przez okno, zsuwając się z niego w mrok cieni obok budynku. Wydostał się ze śmiertelnej pułapki. Wróciło mu trochę odwagi.

Zatrzymał się tutaj, obserwując ruchy nowoprzybyłych, umiejscawiając ich po odgłosach kroków. Zsiedli już z koni i okrążali budynek.

Kiedy upewnił się, że wszyscy zsiedli z koni, mocniej ścisnął broń i okrążył front składu, trzymając się najciemniejszych plam mroku. Udało mu się dotrzeć do osiodłanego konia i odwiązać zwierzę w momencie, gdy gruchnęła nowa seria wystrzałów, ze strony nowoprzybyłych. Zalewali deszczem ołowiu wnętrze budynku, nie zważając na to, w którą grupę walczących trafią.

Wtedy Faulkner już wiedział wszystko! Miał dosyć rozumu, by poznać teraz całą gorzką prawdę. Webster - przypuszczał, że to ten właśnie człowiek, zaplanował cały obecny przewrót - przechytrzył go.

Wiedział, choć nie miał na to dowodów, że Webster zwrócił jego dawnych ludzi przeciwko nowym, skłaniając ich w ten sposób do wybijania się nawzajem, postawił ich przeciwko sobie i zmniejszył ich liczebność. I wreszcie, w chwili gdy jego ludzie niszczyli się nawzajem, Webster wysyłał przeciwko nim oddział, by załatwił tych, którzy przeżyją.

Pojął całą tę sprawę w mgnieniu oka, od początku do końca. Nie musiał znać wszystkich szczegółów, by zrozumieć, że Webster wkroczył na żądanie Swansona i wybił jego ludzi do nogi. To była kwintesencja całej tej sprawy; tylko to się liczyło. Webster zniszczył Faulknera.

Kiedy wsiadał na konia strzelanina za jego plecami była ogłuszająca. Ktoś podpalił budynek w trzech lub czterech miejscach wzdłuż zewnętrznych ścian, i obecnie czerwone języki ognia strzelały już w górę. Ludzie krzyczeli i umierali, a powietrze drżało od huku rewolwerów i karabinów.

To był koniec dzieła Faulknera; to był stos pogrzebowy jego mściwej wrogości, wobec świata ludzi lepszych od niego. Odwrócił się do tego plecami i poprowadził konia jak najdalej od płonącej szopy tartaku.

Wtedy z cienia drzew wyłoniła się jakaś postać na koniu i rozpoznał głos Jima Webstera.

— Zatrzymaj się, Faulkner. Jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

Faulkner jechał na koniu z bronią w ręku, a jego wściekłość nie miała granic. Nie odezwał się nawet słowem, tylko uniósł broń i popędził wierzchowca wprost na człowieka, który stał mu na drodze, tak jak stawał mu na niej, od chwili przybycia do Woodbine.

Trzymał broń mocno wystawioną przed siebie, pociągając raz za razem za spust, w kierunku postaci, która pojawiła się przed nim, tak jakby chciał ją jak szybciej dosięgnąć deszczem ołowiu. W tej chwili jego wściekłość znalazła się w pełni pod kontrolą; dręczące go obawy i lęki zostały pogrzebane gdzieś głęboko pod jej pokładami. Mściwość w jego duszy została całkowicie opanowana i stała się motorem popychającym go na jego dręczyciela.

Widział, jak Webster chwieje się w siodle i chwyta się za jego łęk. Mimo to ciągle kierował chwiejący się pistolet w stronę Webstera. Widział, jak kapelusz Webstera zsuwa mu się z głowy, a mimo to nieustannie pędził na niego.

I wtedy poczuł oszołamiające uderzenie czegoś, co walnęło go w klatkę piersiową. To był tylko jeden cios, ale sprawiał on wrażenie jakby spadła na niego góra i unieruchomiła swoim ciężarem całe jego ciało i wszystkie zmysły. Poczuł, że spada z konia i nie mógł nic zrobić, aby utrzymać się w

siodle. Unosił się w morzu czerni, które go wciągało, pochłaniało jego uczucia, pochłaniało nienawiść i dumę, pochłaniało samą świadomość istnienia...

J.B. Faulkner był już martwy, kiedy jego ciało uderzyło o ziemię. Jedna z nóg mściwego bandyty utknęła w strzemieniu, a wystraszony koń poderwał się, zawrócił i szaleńczo pomknął w kierunku płonącej szopy, znikając w jej gorejącej czerwonej czeluści....

* * * *

Jim Webster stracił przytomność na drodze, w miejscu gdzie siedział na koniu i strzelił do Faulknera. A kiedy ponownie zorientował się, że żyje, leżał w łóżku w jednym z pokoi pani Halsell. Dick Hammond, cały owinięty w bandaże, leżał w sąsiednim łożu, podczas gdy Sonia siedziała obok niego, karmiąc go łyżką, zupą.

Wyglądało na to, że u pani Halsell było sporo ludzi. Wkrótce, po tym, jak lekarz jeszcze trochę po-opukiwał Webstera, dwu z gości weszło do niego. Swanson i przyjezdny, którego Webster zabrał z sobą, Hoot Ballew.

Porozmawiali chwilę o walce i Swanson powiedział, że to już koniec, pozostała tylko kwestia ustaleń z Websterem i danie mu chwili wytchnienia do czasu zagojenia się powierzchownej rany na skórze głowy.

— Powiem ci jedną rzecz, którą możesz dla mnie zrobić — powiedział Webster do Swansona. — Gdyby udało ci się w jakiś sposób powiadomić Rangerów, powinniśmy przekazać im całą sprawę. W końcu jeden z ich ludzi został zabity, razem z szeryfem Stanów Zjednoczonych, więc w grę wchodzą przedstawiciele prawa. A tak przy okazji, jestem coś winien Ballewowi za to, że pomógł mi wykurzyć Dustina z krzaków.

Swanson roześmiał się.

— Wydaje mi się, że możemy to wszystko załatwić nie wychodząc z pokoju. Ballew powiedział mi, że teraz jest Strażnikiem i że to on osłaniał Clantona. Wygląda na to, że Ballew i Clanton byli partnerami. Dawny partner Ballewa poddał się wirusowi małżeństwa i otrzymał od swej świeżo poślubionej małżonki surowe rozkazy, aby porzucić żywot stróża prawa, jeśli ma nadzieję na choćby odrobinę spokoju w domu. Tak więc Ballew jest gotów przejąć twoje dalsze obowiązki w tej sprawie. Co daje ci swobodę przyjęcia oferty partnerstwa w moim biznesie, jeśli uda mi się przekonać cię do przyłączenia się do mnie.

Oczy Webstera powędrowały na drugą stronę pokoju, do Hammonda i Soni, i nikt mu nie musiał mówić, że ich sytuacja jest absolutnie pod kontrolą.

— Lepiej trochę wyluzuj — powiedział do dziewczyny. — Może się okazać, że będziesz musiała karmić go łyżeczką przez dłuższy czas. To może wejść wam w nawyk.

Uśmiechnęła się do niego.

— No cóż, taki był w zasadzie twój pomysł. Dołożyłam starań, aby się upewnić, że właśnie to będę robiła. Musiałam go złapać kiedy go zranili, żeby nie mógł mi uciec, ale teraz mam go już na sznurze. Zamierzamy

zrobić podwójnie wesele, kiedy tata i Cora będą się pobierać. A ty, oczywiście, będziesz drużbą całego naszego plemienia.

Jim Webster pokręcił głową. Tego rodzaju rzeczy, napawały go smutkiem. Bolało go zbyt głęboko, kiedy widział szczęście otaczających go ludzi; sprawiało to, że tym bardziej wyraźna stawała się świadomość tego, czego życie mu nie dało; był to głęboki, melancholijny ból, za którym zdecydowanie nie przepadał.

— Nie — odparł. — Nie, odnośnie wszystkich ofert. Choć bardzo bym chciał, kiedy tylko będę zdolny do dalszego działania, czeka na mnie praca. Mam parę rzeczy do zrobienia nad rzeką Sabine. Ale gdyby pani Halsell zaproponowała mi kawałek tej swojej słynnej szarlotki i szklankę mleka, wątpię, czy miałbym siłę odmówić, będąc tak strasznie osłabiony.

KONIEC